

CHOPIN W SALONIE WYTRZEŻWIEŃ, CZY JANOSIK DONOSIŁ?

PRZE

Numer 15/2964 14 kwietnia 2002 r.

KRÓT

ena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

**ZIEMIA ŚWIĘTA
- ZIEMIA ŚMIERCI**

**Jonasz Kofta:
Posłuchać każdy może**

**ONIEGIN TRELIŃSKIEGO
WYPRAWA
DO RAJU SZTUCZNOŚCI**



ISSN 0033-2488



Indeks 371424 • Y-9013-C

Zadzwoń

i podziel się szczęściem



rozmowy lokalne

od **29** gr
za **3 minuty**

Przeżywasz coś nowego i ekscytującego? Każdy dzień przynosi nowe umiejętności i ciekawe wydarzenia? Zadzwoń i podziel się szczęściem, jest tańsze niż myślisz – **3 minuty rozmowy lokalnej już 29 groszy!**

Chcesz wiedzieć więcej? Odwiedź Biuro Obsługi Klientów TP lub zadzwoń pod numer Linii Bezpłatnej 0-800 100 100.



TELEKOMUNIKACJA
POLSKA S.A.

WIWAT „OKIENKO Z WIERSZEM”

Dobrej poezji nigdy dosyć! I dlatego bardzo dziękuję, że nie zawahaliście się przedrukować wielkiego poematu Blaise’a Cendrarsa „Wielkanoc w Nowym Jorku” w klasycznym już, ale wciąż tchnącym świeżością, przekładzie Adama Ważyka („P” 13/2962). Myślę też, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby w „Okienku z wierszem” pojawiały się nie tylko utwory mające na łamach „P” swoją premierę, lecz także te dawne, zdawałoby się dobrze znane, a przecież zepchnięte w niepamięć. Iwaszkiewicz, Sebyła, Czechowicz to tylko niektóre z nazwisk wielkich poetów natychmiast przychodzących na myśl w związku z tym pomysłem. W tygodniku wiele spraw powinno być przedstawianych na bieżąco, ale poezja może się chyba spod tego dyktatu aktualności wyłamać?

PS A świąteczny zajączek Pana Tomasza Brody malujący marchewkopisanek – rzecz wielkiej piękności i śmieszności zarazem!

ANNA MATERNA, Świnoujście

Czytam „P” od dawna, na tyle na ile pozwala mi mój wiek – 27 lat. Podobacie mi się, ale jak tak trochę sobie pomyślę, to wydaje mi się, że gdzieś zgubiliście styl. Trochę popkultury, trochę nowości i trochę skandali jakoś mi się kupiny nie trzyma. Co z tego, że teksty na poziomie, jak brakuje myśli przewodniej. Ale tak w sumie strasznie mnie to nie boli, bo i tak Was lubię czytać. Bardzo dobrze, że znów pojawiło się „Okienko z wierszem” i fragmenty prozy. Kultura to kierunek, który według mnie winniście obrać. Dużo muzyki, i to nie tylko tej popularnej. Dużo kina, ale tego mniej znanego itp. Po co komu kolejne artykuły o gwiazdach. Ja i moi znajomi wolimy czytać coś, o czym jeszcze nie

słyszeliśmy. Kiedy mam pewność, że coś mnie zaskakuje, chcę to poznać, kiedy niczym się nie wyróżnia, nudzi mnie.

MARIAN „LUCKY” BROSDECKI

PYTHON RAZ JESZCZE

„P” czytam dopiero od kilku miesięcy, a więc jestem zupełnie „świeżą” czytelniczką pisma (i chyba jedną z najmłodszych, bo mam 20 lat). Sięgnęłam po nie, bo bardzo mi odpowiada styl tygodnika. Najlepiej i najciekawiej przekazuje informacje ze świata kultury. Przybliża mi sylwetki znanych osób oraz wydarzenia, które dla mnie są tylko imieniem i datą, bo przeszły do historii, jeszcze zanim się urodziłam. A ja lubię wracać do tego, co było.

Bardzo dziękuję za artykuł „Śmieję się śmiać” Andrzeja Saramonowicza („P” 10/2959). Jestem fanką, o ile to dobre określenie, Monty Pythona. Kilka lat temu TVP emitowała odcinki z serii „Latającego Cyrku...” i starałam się oglądać każdy z nich. Ten artykuł mnie ucieszył i zasmucił. Ucieszył, bo dobrze jest usłyszeć słowa krytyki w stronę tępych seriali i płytkiego poczucia humoru, które w niebezpiecznych rozmiarach zalewają telewizję. Przyznaję, że „13. posterunek” wzbudza we mnie współczucie (zresztą nie tylko on). Zasmucił, bo miałam nadzieję, że wkrótce telewizja znów powtórzy tamte odcinki, a tymczasem pan Saramonowicz dał mi do zrozumienia, że nie ma co się łudzić.

Żałuję, że dzisiejszy humor nie należy do takich jak Pythoni. Ale mam nadzieję, że dzięki takim artykułom jak ten coś się zacznie zmieniać w naszej mentalności i głos zabiorą ci, których śmieszy znacznie więcej niż czyjeś beknęcie.

AGNIESZKA LUDWIŃSKA

CZARODZIEJKA

Kochani, dzięki stukrotne za Amelię! Jak to dobrze, że zamiast wpadać w zachwyt nad werdyktami oscarowej komisji, wolicie coś europejskiego. Album na pewno kupię, bo uwielbiam takie szperanie po filmach w poszukiwaniu smakowitych szczegółów, co po angielsku nazywa się *trainspotting*. Może byście coś o tym napisali?

I tylko nie wiem, czemu na okładce Amelia jest z Leszkiem M. Czy sądzicie, że to taka czarodziejka, że nawet z polityką może zrobić dobrego człowieka? Ja aż taką optymistką nie jestem.

A w ogóle to chciałam przypomnieć, że 30 marca były imieniny Amelii!

Wasza czytelniczka ALICJA

KRASNAŁ AMELII

„Grobu matki” – tak brzmi odpowiedź na pytanie zadane naszym Czytelnikom w konkursie z poprzedniego numeru („P” 14/2963): Czego ozdobą był krasnał porwany przez Amelię?

Pierwsze 10 osób, które zadzwoniły 4 kwietnia do redakcji z poprawną odpowiedzią i wygrały nagrody, książki „Amelia Poulain i jej magiczny album” ufundowane przez redakcję „Przekroju” i wydawnictwo MUZA, to: Olga Piłśniak z Krakowa, Anna Grzelak z Łodzi, Agnieszka Potyrato z Piaseczna, Ewelina Biedrowska z Poznania, Martyna Taliga z Chorzowa, Ewa Rytter z Warszawy, Maria Kwaśniewska z Warszawy, Magdalena Adamczyk z Przybysławic, Marcin Kaleta ze Świętej Katarzyny i Małgorzata Brażewicz z Milanówka.

„PAN ZENEK WESOŁY SANITARIUSZ” — ANDRZEJ MLECZKO.



A GDZIE HUMOR?

Z tego, co opowiadali mi rodzice (sama jestem za młoda, żeby to pamiętać), „P” był kiedyś bardzo dowcipnym piśmie. Zaczęłam kupować Wasze pismo w nadziei, że znajdę tam dawkę naprawdę inteligentnego humoru, subtelnej drwiny z otaczającej nas rzeczywistości, może trochę zwykłej autoironii, której w dzisiejszych pismach jak na

lekarstwo. Tymczasem większość waszych artykułów jest strasznie poważna i nadęta, ton bywa mentorski, a humor nie wiadomo czemu zbity na kilku końcowych stronach, jakby w myśl zasady „A teraz się pośmiejmy”. Może warto sięgnąć po inspirację do starych roczników i zobaczyć, z czego śmiali się nasi rodzice? Przeglądałam niedawno numery z roku 1962 (nakład 450 tysięcy egzemplarzy!) i obśmiałam się jak norka!

MARYSIA TARGOWSKA,
Poznań

HUCULIADA

Ja po „Przekrój” sięgam chętnie,
Wielkanocne me czytadło,
Zwłaszcza gdy tak pisze pięknie
Pióra augur, pan Podsiadło.

Z Mądrą Głową vel Kramarzem
Opisali tak Czeremosz,
Że ja zaraz się rozmarzę...
Nieś mnie, duszo! Głodem nie mórz!

My wszak na wsi też lubimy
Czytać wiersze z dźwięczną frazą,
Więc chwalimy fotki, rymy...
A krytyka? Inną razą.

K. MATOLEK,
Sieradz

Z MIASTA ŁODZI

Warszawa okazuje się bardziej neutralna niż Kraków! Łatwiej z niej zauważyć taką Łódź chociażby. I to nie tylko przez pryzmat Wajdowskiej „Ziemi obiecanej”.

Spędziłem w Łodzi siedem lat, pobierając nauki i szlifując bruki (taki akcent liryczny). Łódź Kaliska, Bagdad Café – wiele by mówić... W każdym razie cieszę się, że „P” właśnie mówi o tej Łodzi. Nie jako o zapleczu dla Warszawy, nie o „Pietrynie” służącej szpanerom do wydawania pieniędzy na tańsze niż w stolicy piwo. O tej Łodzi, która – choć szara i wymęczona różnymi recesjami – nadal płynie. O!

A Filipowi Łobodzińskiemu gratuluję świetnego pióra. Czytałem go jeszcze w przedłódzkich czasach (pamiętacie takie miesięczniki jak „Non Stop” czy „Rock’n’Roll”) i widzę, że im starszy, tym lepszy. Więcej takich wywiadów poproszę! Niekoniecznie o Łodzi.

CZESIEK

Redakcja „PRZEKROJU”
ul. Wiejska 16

00-490 Warszawa

e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

PRZE
KROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor MARIAN EILE

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Maria Świetlik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędziorska

DZIAŁY:

KULTURA: Marcin Baran (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Magda Sendecka, Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Anna Tarnowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino Velez

NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA: Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef),

Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dominika Kłimko

FOTOEDYCJA: Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Tercjak

ARCHIWUM: Wanda Lacrampe

PRODUKCJA: Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor

ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 627 23 06 do 08, faks (0-prefiks-22) 627 23 05 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29, faks (0-prefiks-22) 621 19 76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała

WICEPREZESI: Krystyna Kaszuba, Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW

MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit

DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 233, Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY: Agata Eigener – dyrektor, Maciej Stożek,

Bartek Kluczny, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 12, tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09, 626 96 17

DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel./faks (0-prefiks-22) 625 08 20, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 210

przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju

przez Ruch SA – informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną.



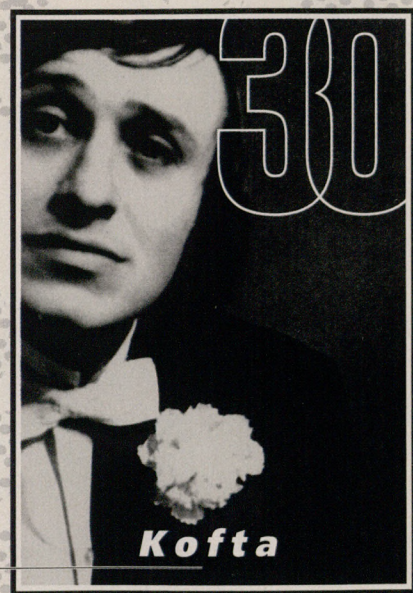
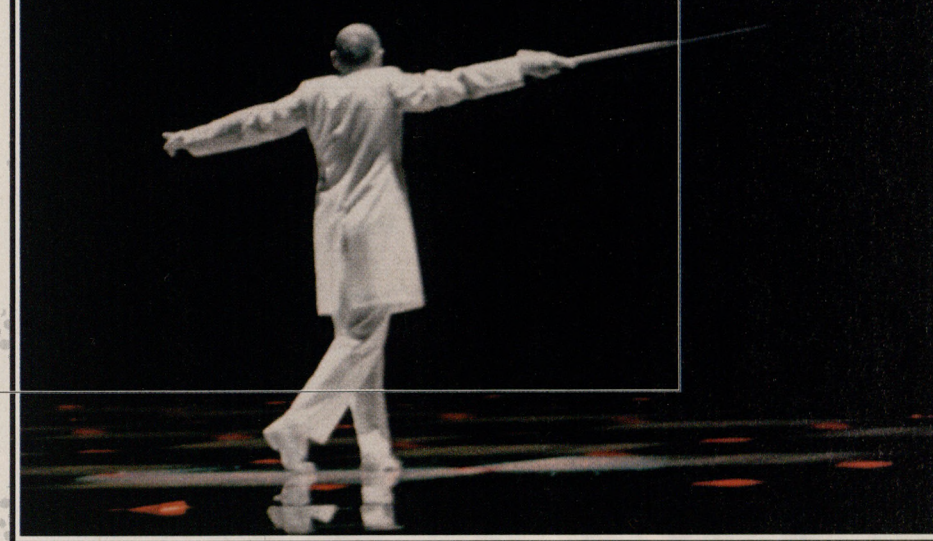
Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skrótnów w nadesłanych artykułach i listach.

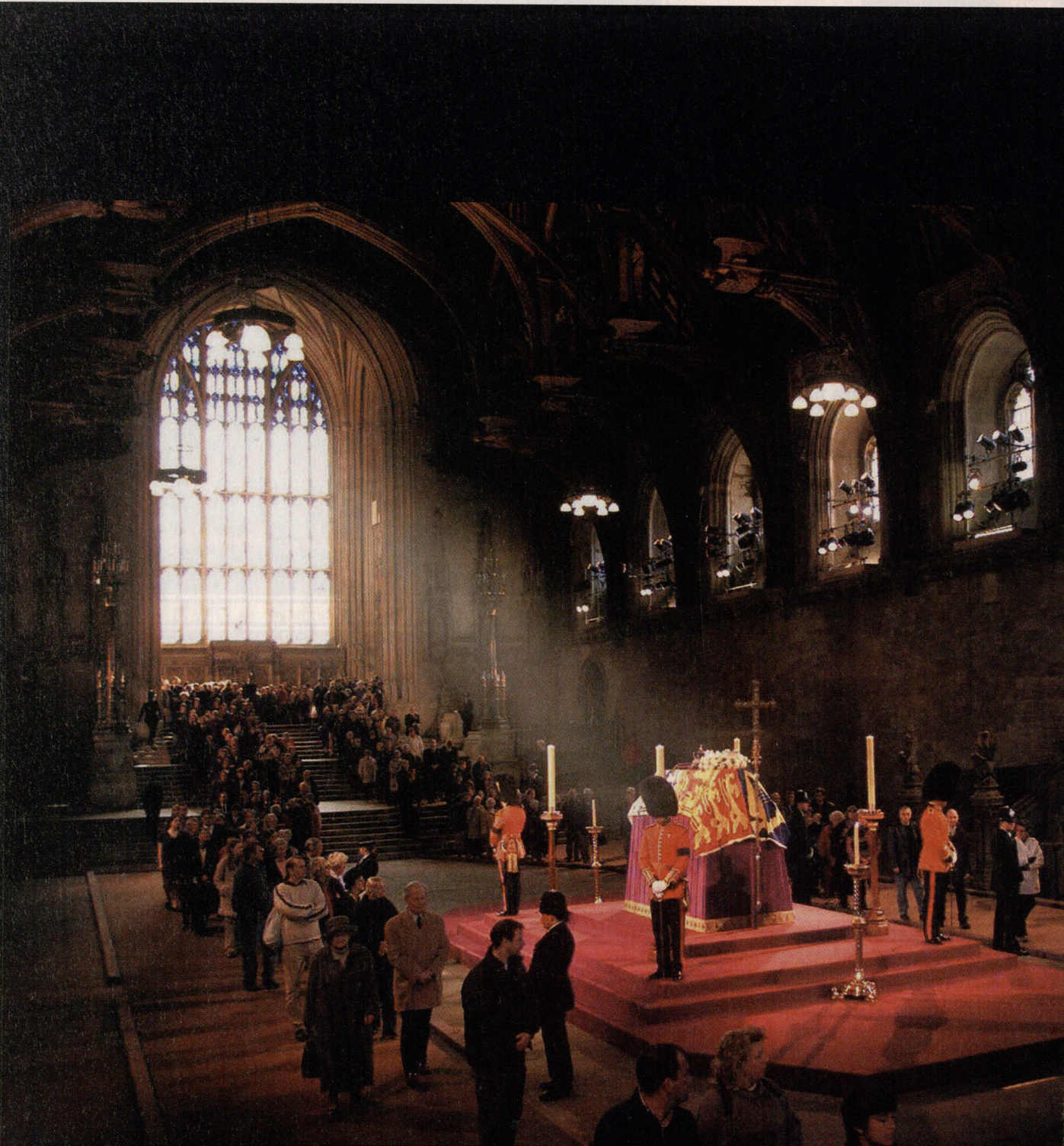
NUMER 15/2964
14.04.2002



- 3 **Listy**
- 6 **Ilustrowany „Przekrój” tygodnia**
- 10 **Z tygodnia na tydzień DARIUSZ ROSIAK**
- 12 **Fotoreportaż Ziemia śmierci**
- 18 **Mężczyństwo – najlepsza broń**
– SAUD ABU RAMADAN Z PALESTYNY
- 19 **Nienawidzę palestyńskiej nienawiści**
– ANNA LIBROWSKA Z IZRAELA
- 20 **Nowe maski i twarze opery**
– z MARIUSZEM TRELIŃSKIM
rozmawia PAWEŁ PIOTROWICZ
- 26 **Dokąd podróżował Baltazar Gąbka?**
– PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ
- 29 **List z Kuby – TANIA DÍAZ CASTRO**
- 30 **Walc z Koftą – JUSTYNA SOBOLEWSKA**
- 37 **O Jimim Tenorze – JACEK HAWRYŁUK**
- 38 **„Co ci powiem, to ci powiem...”**
czyli prawdziwa historia Janosika
– MICHAŁ WÓJCIC
- 43 **Piękna i garbus**
– listy GEORGA CHRISTOPHA LICHTENBERGA
- 44 **Pamiętam jak przez sen**
– OLGA WOŹNIAK
- 45 **Koń by się uśmieł**
– MARZENNA NOWAKOWSKA
- 46 **Piątka klepka, STEFANIA GRÓDZIŃSKA, Polska Angola, WILHELM SASNAL, MORDILLO**
- 48 **Rosyjska śnieżynka – PIOTR RYPSOŃ**
- 52 **Salon Wytrzeźwień TADEUSZA NYCZKA**
- 56 **Teatr Historycy, psiakrew!**
ŁUKASZ DREWNIĄK
- 58 **Film Forsa jest sexy**
– ANDRZEJ SARAMONOWICZ
- 60 **Książki Samotnicy z pewnej kamienicy MARTA MIZURO**
- 61 **Okienko z wierszem**
– GRZEGORZ WRÓBLEWSKI
- 62 **Literatura CLAUDIO MAGRIS „Wzgórze”**
- 66 **Kici, Kici, JERZY BRALCZYK, Inne pytania ZBIGNIEW NIEMCZYCKI**
w rozmowie z MARIĄ CZUBASZEK
- 68 **Kulinarne PIÓRO Polski**
- 69 **Krótką przerwę**
– WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI
- 70 **MAŁGORZATA BARANOWSKA, Wyteż wzrok, Senniczek ściśle jawny**
- 72 **Krzyżówka, zagadka i jolka**
- 74 **Co Pan na to, Panie LEM?**
- 76 **Różności**

20
Trelński





FOT. MIKE MOORE/AP

Uroczystości pogrzebowe brytyjskiej Królowej Matki trwały prawie tydzień. Ostatni hold matce Elżbiecie II oddało ponad sto tysięcy ludzi. W kolejce do Westminster Hall, gdzie wystawiona była trumna, londyńczycy czekali nawet siedem godzin. Niektórzy przynosili w hołdzie kwiaty, inni butelki ulubionego ginu zmarłej. Przy katafalku czuwali gwardziści szkoccy, lecz z królewskiej kaplicy trumnę wyprowadzili gwardziści irlandzcy – Królowa Matka szczególnie lubiła żołnierzy tej formacji. W ceremonii wzięli udział również gwardziści emeryci. Wymarsz konduktu próbowały zakłócić gęsi z ogrodów przy Buckingham Palace – interweniowała policja.



FOT. ANIA NIEDRINGHAUS/EP/REX



FOT. SANG TAN/AP



FOT. HUGO PHILPOTTER/WAP



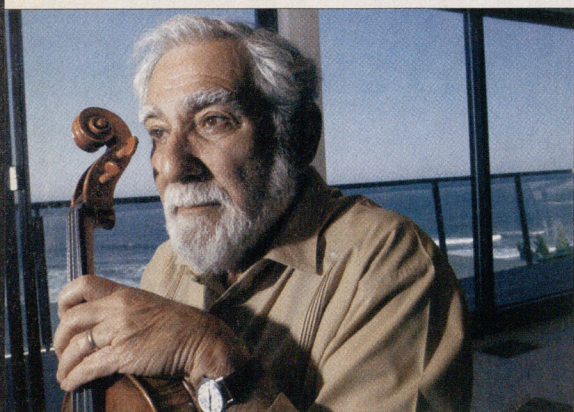
FOT. MARTIN HAYHOW/AP



FOT. KAI PAFENBACH/AP



Wiosna. Wraz z pojawieniem się zebra na wybiegach ogrodów zoologicznych powraca dyskusja wśród uczonych zebrologów. Jedni twierdzą, że czarne pasy służą zebrom do wzajemnego rozpoznawania się i wzmacniania więzi w stadzie. Przeciwnicy tej teorii uważają zaś, że pasy odstraszały lwy i leopardy. My nie mamy w tej sprawie zdania, ale to zdjęcie z frankfuckiego zoo bardzo nam się spodobało i dlatego je pokazujemy.



FOT. AP

Za połowę ceny zamierza sprzedać swoją kolekcję instrumentów smyczkowych znany kolekcjoner Herbert Axelrod. W kolekcji, wycenianej na 50 mln dolarów, znajdują się skrzypce i wiolonczele XVII-wiecznych mistrzów Stradivariusa i Guaneri del Gesu. „Mam 75 lat i nie chcę stawać mojej żony w niezręcznej sytuacji po mojej śmierci” – powiedział Axelrod.

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY O...

- ...projekcie zmian w finansowaniu kultury przedstawionym w sobotę przez ministra Andrzeja Celińskiego. Napiszemy o tym, kiedy pomysły ministra przyobleką się w ciało oficjalnego rządowego programu.
- ...tym, że na Węgrzech w pierwszej turze wyborów parlamentarnych wygrała prawica obecnego premiera Viktora Orbána, który karierę polityczną zaczynał na uniwersytecie, studiując doświadczenia KOR-u i Solidarności.
- ...tym, że brytyjski reżyser Peter Greenaway, gdyby był polską kobietą, mógłby przejść na emeryturę, bo właśnie skończył 60 lat.

FOT. STANISŁAW ZBYNIEK/CTVAP



Praga, sobota 6 kwietnia. To nie zmartwychwstanie Golema. To Amerykanin Emanuel Yarbrough, mistrz świata w sumo, kroczy w kierunku maty. Stoczy tam pojedynek z czeską zawodniczką wrestlingu Klarą Janu. Emanuel waży 350 kg i jak łatwo się domyślić – wygra.



czecrot

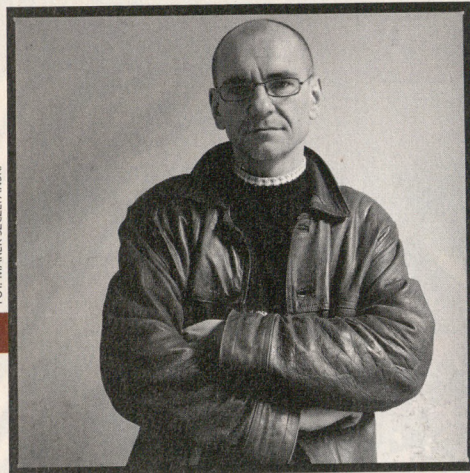
MYŚL TYGODNIA



FOT. JERZY GUMOWSKI/AP

Bylibyśmy obsobaczeni przez cały świat jako machający szabelką Polacy.

Jerzy Dzieńkowski – były szef jednostki antyterrorystycznej – o tym, że polska policja nie próbowała zatrzymać porywaczy w obawie o życie zakładniczek. Uciekający z Niemiec bandyci poddali się dopiero na Ukrainie



FOT. MAREK SZCZEPANIK

W POSZUKIWANIU SZAROŚCI

DARIUSZ ROSIAK

Zachód przegrywa wojnę z terroryzmem. Nie, Zachód wygrywa wojnę z terroryzmem. Nie, chwilowo jest remis, ale wkrótce wygramy. Nie, jeszcze inaczej: znajdowanie sensu w wojnie – w każdej wojnie – jest zajęciem jałowym. Nie ma sensu, bo i tak nic nie zrozumiemy. Kto jest dobry? Zamknięty w bunkrze Arafat marzący o niepodległej Palestynie czy Szaron-buldożer równający z ziemią palestyńskie osiedla? Kto jest zły? 16-letnia Ayat Akhras, która wysadza się w powietrze, zabijając siebie i Izraelczyków robiących zakupy w supermarkecie, czy państwo Izrael, które – jak mówił w ubiegłym tygodniu francuski minister spraw zagranicznych Hubert Vedrine – „codziennie stwarza tysiąc nowych kandydatów na zamachowców-samobójców”?

Białe jest białe, a czarne czarne: wszystko znów przez Żydów. Palestyńczycy w końcu walczą o niepodległość, a Żydzi nie dość, że nie chcą jej dać, to jeszcze próbują wygonić Arafata na emigrację. Żle to wygląda w polskiej telewizji. Żle wygląda Szaron, dając Arafatowi bilet w jedną stronę. Żle się kójarzy uzbrojone po zęby wojsko otaczające kościół z przeciwnikami politycznymi w środku. U nas też kiedyś rozdawali bilety w jedną stronę, a porządni ludzie uciekali przed kulami do kościołów. Łatwo o analogie, choćby nie wiem jak nieuprawnione.

A jednak globalna wszechwładza telewizji skazuje Izraelczyków na pożarcie. O ile łatwiej utożsamić się z uciemiężonym Palestyńczykiem mieszkającym z 10-osobową rodziną w baraku dla uchodźców niż z armijnym robotem schowanym w kuloodpornym hełmie i kombinezonie. Pacyfiści – ci najwytrwalsi z „pożytecznych idiotów”, których nie zmoęła ani klęska komunizmu, ani 11 września – nie mają problemu z wyborem. Maszerują, siedzą, okupują – wszystko w imię pokoju, który, gdyby ich posłuchać, musiałby oznaczać zgodę na radosne mordowanie Izraelczyków. W Wielkim Tygodniu w Izraelu terroryści za-

bili 45 osób: 40 z nich siedziało w restauracjach Netanii i Hajfy, jedząc posiłek. Reszta gdzieś jechała, skądś wracała. A jednak francuscy, włoscy, brytyjscy pacyfiści nie zdecydowali się w imię pokoju okupować izraelskich knajp i autobusów. Woleli bronić Jasera Arafata, który – jeśli wierzyć jego słowom – nie marzy o niczym innym jak o męczeńskiej śmierci z rąk niewiernych. Gdyby nie był tak bezcenny dla sprawy, pewnie sam ubrałby się w troyt i gwoździe. Kiedyś zachodni pacyfiści przykuwali się do amerykańskich baz wojskowych, bo do radzieckich było trudniej. Teraz też chodzi o to, żeby było łatwiej.

Tak, to wszystko przez Żydów. Żydów i Amerykanów. Według najnowszych zdobyczy francuskiej literatury faktu Amerykanie wymyślili 11 września. Nie wszystko, co się wówczas wydarzyło, ma się rozumieć, ale przynajmniej atak na Pentagon. Thierry Meyssan wydał właśnie książkę pt. „L'Effroyable Imposture” („Przerażające fałszerstwo”), w którym udowadnia, że samolot American Airlines nie rozbił się o Pentagon, a atak terrorystyczny na siedzibę amerykańskiego Departamentu Obrony został zainscenizowany przez władze amerykańskie. „Uważam, że władze kłamią” – powiedział autor w ubiegłym tygodniu w wywiadzie dla francuskiej telewizji, a na poparcie swej tezy dodał, że zeznania świadków eksplozji są sprzeczne, nie ma zdjęć wraku samolotu, a zniszczenia budynku nie pasują do wzoru zniszczeń wywołanych wypadkiem samolotowym. Jakaś bomba wywołała wybuch – mówi Meyssan, nie wyjaśniając chwilo-wo, gdzie się podziało 68 ofiar lotu 77 AA.

Książkę teoretycznie można by zignorować jako przejaw francuskiej manii prześladowczej. Można by, gdyby nie czytelnicy. 20-tysięczny nakład „L'Effroyable Imposture” sprzedano w ciągu dwóch godzin, utwór znalazł się w ubiegłym tygodniu na topie francuskiego oddziału Amazona i na drugim miejscu wśród najlepiej

sprzedających się książek we Francji. Dla wielu ludzi nowa wersja historii pióra Thierry'ego Meyssana będzie wersją prawdziwą, ponieważ w medialnym galopie, w którym wszyscy bierzemy udział, prawdziwe może być wszystko i wszyscy mogą mieć rację. Wystarczy powiedzieć cokolwiek, a ludzie z zainteresowaniem głową pokiwiają, przeanalizują, debatę podejmą. I jutro zapomną.

Na szczęście nie o wszystkim. My na przykład długo będziemy pamiętać ubiegłotygodniowe bicie rekordu świata w przekraczaniu granic przez bandytów. Zdaniem niektórych polityków trzeba było złodziei stuknąć w droid, a nie przekazywać Ukraincom, i pewnie jest w tym sporo racji. W światowej telewizji lepiej by wyglądało parę świeżych trupów niż kolebiący się po polskich wertepach seat i tankowanie paliwa w Bystrzejowicach. Można było pokazać światu, jakich sprawnych mamy kamerzystów. A tak okazja przepadła.

Nie tylko my mamy problemy z dobrym programem telewizyjnym. BBC znalazła się w ostatnich dniach w oku cyklonu z powodu niesłusznego krawata. Po śmierci Królowej Matki kierownictwo stacji zakazało prezenterom występowania w czarnych krawatach do czasu pogrzebu zmarłej. Pałac Buckingham uznał to za przejaw braku szacunku dla monarchii, a książkę Karol w proteście udzielił wywiadu o swojej babci komercyjnej stacji ITV. Dyrektor BBC bronił się, mówiąc, że bordowy krawat prezentera lepiej oddaje nastrój narodu po stracie ukochanej monarchini, niż miałyby to czynić krawaty czarne. Zapewne miał rację. Krawat czarny kójarzy się bowiem bezapelacyjnie ze stanem żałoby, podczas gdy Królowa Matka była osobą pogodną, a jej śmierć – tylko lekko smutną. BBC jako instytucja w pełni neutralna światopoglądowo i politycznie szuka różnych odcieni szarości, w tym wypadku trafiając w bordo. Bierzmy przykład z chłodnych Anglików, próbując zrozumieć obrazy w telewizji.

Daktarin TRADEMARK

pSSS...
...stosuj błyskawicznie,
przeciwwgrzybicznie



Daktarin puder w aerozolu:

- zawiera lek, który likwiduje objawy i zapobiega nawrotom grzybicy stóp
- równomiernie nanosi się i świetnie przylega do skóry
- zapobiega przykreemu zapachowi stóp

Już wiesz, że...

...gdy skóra między palcami stóp pęka, swędzi i piecze, to masz do czynienia z grzybicą. Jeśli obawiasz się jej powrotu, stosuj profilaktycznie raz dziennie **Daktarin puder w aerozolu**. To nowa i wygodna forma leku do błyskawicznego stosowania. Przydaje się wszędzie tam, gdzie wielu osobom zdarza się chodzić boso: w hotelowych łazienkach i pokojach, w publicznych przebieralniach, pod prysznicami, na basenach, w fitness klubach. Warto zawsze mieć Daktarin w swojej kosmetyczce.

Jeśli grzybica stóp jest twoim problemem
i chcesz o tym porozmawiać z lekarzem,
zadzwoń w godzinach 15.00 - 21.00 pod numer infolinii:

0 801 172 744

Całkowity koszt rozmowy w cenie jednego impulsu za połączenie lokalne.



krem

puder

Strefa Gazy.
Palestyński chłopiec
przechodzi obok graffiti
przedstawiającego
zamach na izraelski autobus

Ziemia śmierci

FOT. AHMED JADALLAH/REUTERS/FORUM



Izraelscy policjanci przypatrują się głowie samobójcy.
Palestyńczyk wysadził się w powietrze w handlowej dzielnicy Jerozolimy.
Zabił siebie i dwoje Izraelczyków



Palestyński chłopiec na schodach swojego domu w obozie dla uchodźców Dżabalia. Jego ojciec i dziadek zostali zastrzeleni przez żołnierzy izraelskich



Męczeństwo – najlepsza broń

To ziemia naszych ojców. Jeśli ktoś wdziera się do twojego domu, bije twoje dzieci i matkę, wyrzuca je na bruk, co wtedy masz robić? Będziesz się bronił, walczył z okupantem, aż opuści twój dom

SAUD ABU RAMADAN

– Szaron to morderca – mówi mi Mansoor Ghannam, 54-letni właściciel warzywniaka w Gazie. – Wymordował tysiące Palestyńczyków w Libanie w 1982 roku i morduje nas teraz na Terytoriach Okupowanych. Powinien się stąd wynosić i zostawić nas w spokoju.

Od piątku przed Wielkanocą trwa największa operacja wojskowa Izraela na Zachodnim Brzegu od roku 1995. W niecały tydzień Izraelczycy okupowali Ramallah, Dżenin, Kalkilę, Tulkarem, Nablus, Betlejem, część Hebronu. Zabili dziesiątki naszych rodaków, setki Palestyńczyków zostało aresztowanych.

Tak jak Mansoor Ghannam myśli większość z nas. Nigdy się nie poddamy, bez względu na to, co wymyślą Izraelczycy, i bez względu na to, jak długo miałyby trwać walka. I – jak mówi Ghannam – nawet jeśli on nie zobaczy wolnej Palestyny, to zobaczą ją jego wnukowie.

– To jest ziemia naszych ojców – mówi. – Jeśli ktoś wdziera się do twojego domu, bije twoje dzieci i matkę, wyrzuca je na bruk, co wtedy masz zrobić? Będziesz się bronił, walczył z okupantem, aż opuści twój dom.

Ghannam ma rację. My, Palestyńczycy, wierzymy, że jeśli Izrael będzie zajmował naszą ziemię, burzył nasze domy, zabijał nasze dzieci, ta wojna nigdy się nie skończy. Ale my nie chcemy wojny. Chcemy pokoju.

– Jeśli jakiegokolwiek izraelski lider polityczny – ktokolwiek, byle nie Szaron – zaproponuje nam pokój, przyjmujemy taką propozycję – mówi mi Anwar Hamdan, 23-letni student z Gazy. – Jeśli wycofałby wojska Izraela z ziemi palestyńskiej, przyjąłbyśmy go z szacunkiem.

Nawet władze Autonomii Palestyńskiej, które przecież negocjowały z Izraelczykami, uważają, że przemoc, agresja i napady wojska nie złamią naszego oporu. – Rząd Szarona nie chce pokoju z nami – mówi mi palestyński minister informacji Yasser Abed Rabbo. – Został on utworzony po wybuchu intifady, a jego celem jest walka z Palestyńczykami, złamanie nas, narzucenie obcej woli.

Palestyńczycy uważają, że Szaron jest politykiem, który nie ma żadnego planu zakończenia tego konfliktu. Dla nas Szaron w ogóle nie jest politykiem – on nie myśli o zaprowadzeniu pokoju, opracowuje tylko kolejne plany akcji militarnych, które dzień po dniu wprowadza w życie. – Ale żaden plan Szarona nigdy nie



Ayat Akhras wysadziła się w powietrze w sklepie w Jerozolimie 29 marca. Zabiła siebie i dwoje Izraelczyków

złamał i nie złamie narodu palestyńskiego – mówi Abed Rabbo. – Jedno jest pewne: pokój z tym człowiekiem nie jest możliwy.

Izraelczycy twierdzą, że ich akcja ma na celu zwalczenie „palestyńskiego terroryzmu, ataków samobójczych i zamachów przeciwko Izraelowi”. Jednak my widzimy to zupełnie inaczej i dobrze, by świat zrozumiał, dlaczego tak wielu naszych młodych ludzi decyduje się zginąć za sprawę.

Om Nidal Farahat ma 52 lata i mieszka w Gazie. Jeden z jego sześciu synów, 21-letni Mohamed, został zabity przez wojsko izraelskie, gdy wdarł się do osiedla żydowskiego Atzmona na południu Strefy Gazy. Mohamed zabił i zranił co najmniej 20 Izraelczyków. – Mój syn nie zginął – mówi mi Om Nidal – jest *shahid* (męczennikiem) i piątka moich pozostałych synów również chciałaby zostać *shahidami*. Chcieliby pójść do Raju jak ich brat. Zabici Izraelczycy oczywiście poszli do piekła.

Ojciec Mohameda Farahata wiedział, że jego syn ma zamiar dokonać zamachu na osiedle żydowskie. Jego matka również wiedziała. Mohamed był członkiem organizacji Hamas. Tuż przed wyjściem na akcję uściskał matkę i powiedział do niej: „Do zobaczenia w Raju”.

My, Palestyńczycy, uważamy, że ataki samobójcze i zamachy zbrojne na Izraelczyków nigdy nie powinny być traktowane jako terroryzm. Szejk Ahmed Yasin, który jest założycielem Hamasu, powiedział, że tak długo jak Izrael będzie okupował Strefę Gazy i Zachodni Brzeg, tak długo jak Izraelczycy będą zabierać nam ziemię, budować swoje osiedla na naszych terenach, mordować mężczyzn, kobiety i dzieci, męczeństwo pozostanie naszą najlepszą bronią. Będziemy jej używać tak długo, jak będzie to konieczne.

– Izrael wykorzystuje czołgi, helikoptery, samoloty F16 i każdą inną broń przeciwko nam – mówi Yasin. – My nie mamy takiej broni. Gdybyśmy ją mieli, to oczywiście użylibyśmy jej do wyzwolenia naszej ziemi. Jednak w tej chwili jedyną i najpotężniejszą bronią, jaką możemy walczyć z Izraelem, są Palestyńczycy gotowi wysadzić się w powietrze, zabijając Żydów.

Szejk Yasin ma rację. Po tym, co zgotował nam Izrael w ostatnich tygodniach, Palestyńczycy nigdy się nie poddadzą, nigdy nie zrezygnujemy ze zbrojnego oporu. To nasza jedyna droga do wolności i niepodległości. ■

Autor jest palestyńskim dziennikarzem z Gazy.

Nienawidzę palestyńskiej nienawiści

To nie jest już tylko zwykła walka narodowowyzwoleńcza, to jest szaleństwo w połączeniu z samozagładą. Ciarki mnie przechodzą na samą myśl o strachu, w jakim oni żyją

ANNA LIBROWSKA



Ofiary zamachu bombowego na kawiarnię w Jerozolimie 9 marca. Zginęło wówczas sześciu Izraelczyków

To będzie bardzo stronniczy tekst. Nie mogę nie być stronnicza, mieszkając w Izraelu, mając tu rodzinę, wychowując dzieci. Z jednej strony zdaję sobie sprawę z tego, że w Autonomii Palestyńskiej drżą ze strachu kobiety i dzieci, chciałabym, żeby między nami był pokój i żeby nasze dzieci mogły spotykać się razem w parku. Ciarki mnie przechodzą na samą myśl o strachu, w jakim oni żyją. Ale z drugiej strony poza zwykłym ludzkim współczuciem żal mi ich serdecznie z powodu ojców, synów i mężów szaleńców, którzy opętani nienawiścią dokonują samobójczych ataków przeciw Izraelczykom.

To nie jest już tylko zwykła walka narodowowyzwoleńcza, to jest szaleństwo w połączeniu z samozagładą. Różnica między obu stronami jest taka, że Palestyńczycy nienawidzą Izraelczyków w sposób niewysłowiony, niewyobrażalny, patologiczny. Izraelczycy zaś po prostu mają dość Palestyńczyków wraz z całą ich nienawiścią.

Coraz więcej ludzi w Izraelu ogarnia wściekłość, zwykła codzienna wściekłość.

Wciąż na nowo roztrząsany jest fakt, że poprzedni premier Ehud Barak oferował Palestyńczykom państwo, którego nie przyjęli.

Izraelczycy wierzą, że Palestyńczycy dużo mówią o pokoju, ale tak naprawdę zainteresowani są wojną, w nadziei, że w ten sposób wywalczą więcej. To nie jest walka o stworzenie państwa palestyńskiego graniczącego z Izraelem, bo takie państwo mogło powstać już dawno. I nie jest prawdą, że nie było możliwości negocjacji, a Palestyńczycy musieliby przyjąć warunki stawiane im przez rząd Ehuda Baraka.

Izrael przegrał całkowicie wojnę medialną, w której Palestyńczycy okazali się mistrzami. Błąd, który popełnili Izraelczycy, polegał głównie na tym, iż uznali, że batalia, którą prowadzą, jest oczywista, i nie ma potrzeby tłumaczenia się komukolwiek z czegośkolwiek. Efekt, jaki jest, każdy widzi – są źli Izraelczycy i biedni Palestyńczycy. W reportażu „Gazety Wyborczej” z 9–10 marca 2002 w celu ukazania obrazu negatywnego Izraelczyka przedstawia się żołnierza w drogich okularach przeciwsłonecznych, który rewiduje Palestyńczyka na blokadzie wojskowej. Zaraz w następnym zdaniu występuje tajniak izraelski w dżinsach bodaj Calvina Kleina. Ludzie, o co tu chodzi? Albo traktujemy ten konflikt poważnie, albo pakujemy złych Żydów w pasiaki i za druty, bo tam ich miejsce.

Ostatnio w BBC w programie „Hard Talks” wystąpił jeden z rzeczników Hamasu. Byłam absolutnie przerażona tym, co mówił, a mówił jednoznacznie. Kiedy prowadzący program zapytał go, jak się zachowa Hamas, jeśli Jaser Arafat wyda polecenie przerwania intifady, powiedział, że Jaser Arafat takiego rozkazu nie wydał i nie wyda. Mówił cały czas o palestyńskim marzeniu o pokoju. A jak to marzenie wygląda? Po pierwsze, Izrael musi się najpierw zgodzić na przyjęcie czterech milionów uchodźców palestyńskich, a dopiero potem można rozmawiać o ewentualnym powstaniu dwóch państw. Izrael ma tu wystąpić nie jako kraj, który już istnieje, ale jako ten, który ewentualnie może istnieć. Plan zasadniczo jednak nie przewiduje istnienia Izraela – Żydzi mieliby żyć jako mniejszość w państwie palestyńskim. Perspektywa świetlana.

Wiem, że zdjęcia z Autonomii robią piorunujące wrażenie, robią takie wrażenie też na Izraelczykach, którzy są naprawdę normalnymi ludźmi z ludzkimi uczuciami. Z drugiej strony, przy współczuciu dla ofiar i przerażeniu tym, co dzieje się w Autonomii, znaczna część Izraelczyków (nie wszyscy, rzecz jasna) nie widzi innego wyjścia, jak fizyczne zniszczenie infrastruktury terroru, a dopiero potem podjęcie negocjacji. Są też Izraelczycy, którzy głośno krzyczą, że obecna sytuacja jest niepotrzebnym przelewaniem krwi, natomiast nie bardzo umieją pokazać jakieś inne wyjście.

Dla prawie wszystkich Izraelczyków jest sprawą jasną, że jeśli Izrael wycofa czołgi i wojsko z Autonomii, odda Jerozolimę, zgodzi się na powstanie państwa palestyńskiego i nawet zostawi mu dostęp do prądu i telekomunikacji, to i tak zamachy się nie skończą. Zawsze znajdują się niezadowoleni Palestyńczycy gotowi na śmierć za sprawę.

Wystarczy spojrzeć wstecz – kiedy w Oslo trwały negocjacje, w Jerozolimie w tym samym czasie wylatywały w powietrze autobusy. Dlaczego tak się działo? Nie wiem.

Do jednostek izraelskich zgłosili się już prawie wszyscy rezerwiści, którzy ostatnio otrzymali wezwania poborowe do wojska. Na 20 tysięcy zmobilizowanych jedynie 21 odmówiło służby. To pokazuje najlepiej, jakie jest nastawienie Izraelczyków do narzuconego im przez logikę Arafata rozlewu krwi. ■



Nowe maski i twarze opery

Zaczynał od filmu, ale świat poznał go dzięki operze. Po polsko-amerykańskim sukcesie „Madame Butterfly” znowu nas oszołomił. Mariusz Treliński w piątek pokazał „Eugeniusza Oniegina” w Teatrze Wielkim w Warszawie



PAWEŁ PIOTROWICZ: Od kilku lat odnosi Pan sukcesy, wystawiając opery. Co ciekawego odnalazł Pan w tej chyba najsztuczniejszej i najbardziej konwencjonalnej ze sztuk?

MARIUSZ TRELIŃSKI: Właśnie sztuczność i konwencjonalność! A zachwyciły mnie dlatego, że we współczesnym świecie sztuki wyraźnie widać brak reguł. Weźmy sonatę. Jej precyzyjna struktura nie przeszkadzała tworzyć Haydnowi, Mozartowi czy Beethovenowi acy-dzień w tym gatunku! Dzisiaj, kiedy wszystko jest wszystkim i nie ma żadnych zasad, stajemy się chaotyczni, a nasza sztuka – anarchizująca. W operze zauroczyły mnie rządzące nią bardzo określone prawidła. Przede wszystkim jest nienaruszalna partytura. Na przestrzeni kilku taktów trzeba rozegrać miłość, nienawiść, śmierć... Na samym początku, kiedy dotknąłem sztuki w sposób nieświadomy, dokonałem pewnego wyboru, któremu pozostaję wierny do dzisiaj. To bodaj André Bazin podzielił reżyserów filmowych na tych, którzy wierzą w obraz, i tych wierzących w rzeczywistość. Ci pierwsi stwarzają świat od nowa, drudzy obserwują ten, który otacza nas dookoła. Ja stoję zdecydowanie po stronie tych pierwszych: próbuję dotrzeć do świata idei, który ukrywa się pod podszewką realności, do świata wykreowanego. Przecież sztuka z samej swojej definicji jest sztuczna i to ją różni od natury. A opera jest właśnie kwintesencją sztuczności! Pojęcie „operowy” jest bardzo szerokie. Można je odnieść zarówno do filmów Kurosawy czy Felliniego, jak Greenaway lub Lyncha. Bo „operowy” to znaczy mający świadomość konwencji, operujący bardzo wyraźną formą, odwołujący się do pewnej zasady, a nie do realności, będący refleksem świata rzeczywistego, jego krzywym zwierciadłem, a nie lustrem.

Jak wytłumaczyć fakt, że prześmiewana i wciąż nieodwołalnie wysyłana do lamusa opera przeżyła już ponad trzy wieki, interesując coraz to nowe pokolenia?

– Czasami mam takie poczucie, że interesuję się operą jak antropolog. Fascynuje mnie, że może być grana non stop przez 200 lat, że „Otello”, „Carmen” czy „Butterfly” przynajmniej z tytułów znane są każdemu, że tak nazywane są kawiarnie, restauracje, samochody, a nawet typ lampy. Realizując te dzieła obecnie, musimy mieć świadomość takiej ich obecności. Dlatego inscenizując konkretną „Butterfly”, wypowiadam się jednocześnie na temat jej fenomenu. Każdy, kto przychodzi dzisiaj do opery, dobrze wie, że jest to opowieść o młodej kobiecie, która w finale popełnia harakiri, tak jak wiemy, że Hamlet na końcu powie: „Reszta jest milczeniem”. Ten sposób spojrzenia pozwala mi zachować dwuznaczność ich realności. Uważam, że widzowie moich spektakli nie do końca interesują się samą anegdotą. Wiadomo, że Otello udusi Desdemonę, ale chodzi o to, jak to robi

raz jeszcze. Dlatego bardziej niż sama historia interesuje mnie jej wewnętrzna struktura, jej zasada, mit, który przekazuje. To wydaje mi się najważniejsze.

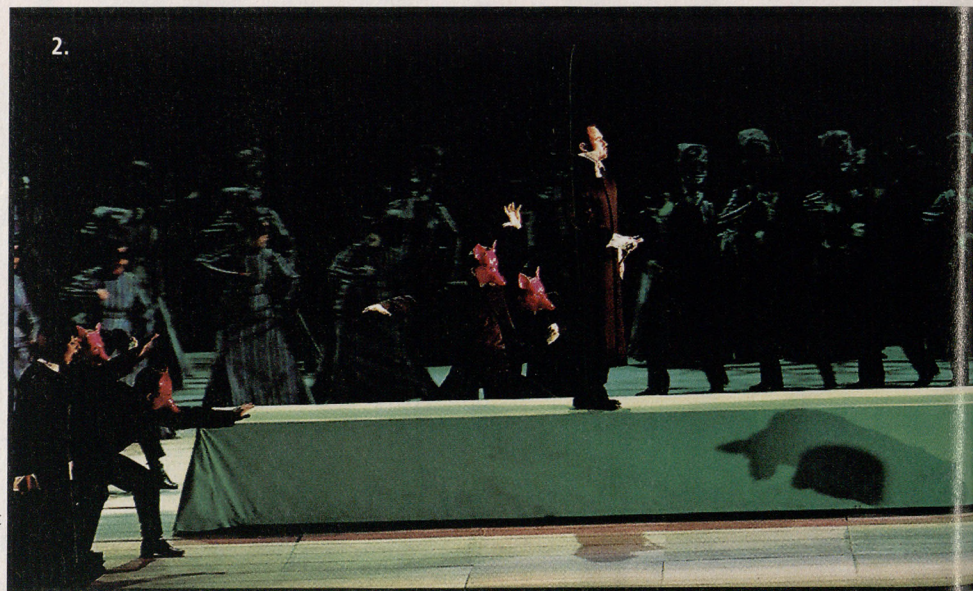
Z czego bierze początek Pańska inspiracja?

– Z obrazu – co do tego nie mam wątpliwości. On jest przed muzyką, zresztą w ogóle nasze myślenie jest obrazowe. Każde dziecko, nim zaczyna mówić, porozumiewa się najpierw właśnie obrazami. I nim kompozytor zaczyna tworzyć, widzi zapewne sekwencje obrazów. Te, które demonstruję w operze, są specyficzne, staram się poprzez nie rozszerzać granice naszej wyobraźni. Bardzo lubię światy niedookreślone, sugestie pewnych przestrzeni, a nie coś do końca zdefiniowanego. Naprawdę wystarczy czasem parę kresek, chodzi bowiem przede wszystkim o obrazowanie emocjonalne – nie wodospady, lasy, burze, lecz obrazy duszy, obrazy wewnętrzne, a nie realistyczne.

niszczymy pomysł, by na jego ruinach zbudować coś więcej, następuje długi ciąg kreacji i dekonstrukcji. Pierwsze pomysły często są nietrafne, szkolne, banalne, potrzeba czasu, by przyrzyć im się z dystansu. Właściwie do końca, do premiery, odwołujemy się do intuicji, poszukujemy. Jednak później, gdy wszystko jest już ostatecznie ustalone, rzecz odtwarzana jest dokładnie tak samo na każdym spektaklu.

Jeden z najciekawszych reżyserów Pańskiego pokolenia Krzysztof Warlikowski powiedział mi kiedyś, że w pewnym momencie przestaje się czytać, słuchać, absorbować całą sztukę świata, po to by móc w sobie otworzyć już wypełnione komórki, co oczywiście nie wynika z pychy, ale z dojrzałości do twórczej samodzielności. Jak Pan pojmuje swoją twórczą samodzielność?

– Nie odcinam się od źródeł. Ciągłe oglądam filmy Felliniego, chodzę do teatru na wszystkie możliwe premiery, staram się widzieć, co się



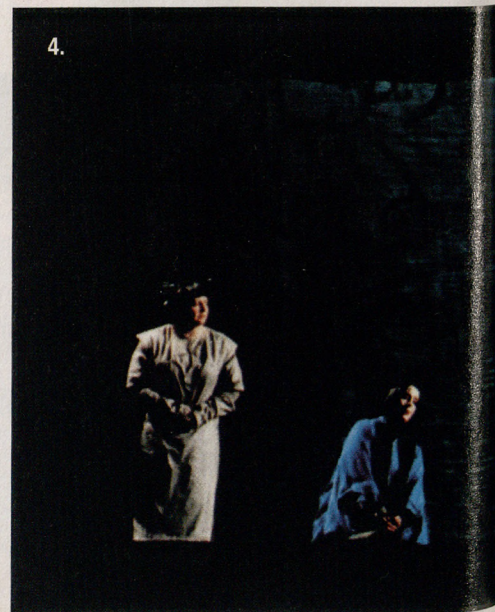
FOT. EPOKA (3)

Ale opera to także słowo i muzyka...

– Oczywiście. I czasem wobec siebie sprzeczne. Najsilniej doświadczyłem tego w przypadku „Króla Rogera”, że słowa jedno, a muzyka drugie. Często mówi się tam o upojeniu dionizyjskim, o orgii, o szaleństwie, podczas gdy muzyka jest chłodna, wręcz zimna, matematyczna i nie ma nic wspólnego z erotyzmem.

Jak Pan pracuje? Od razu jawi się Panu wizja całości, którą potem próbuje Pan zrealizować, czy też jest to mozolne, intelektualne dochodzenie do efektu, który i Pana samego potrafi zaskoczyć?

– Do wystawienia opery przygotowuję się bardzo długo, około roku. „Eugeniusza Oniegina” rozrysowaliśmy z Borisem Kudlicką już zeszłego lata, choć oczywiście nie jest tak, że potem dokładnie to samo dzieje się na scenie. Przeciwnie: podchodzimy do utworu wielokrotnie,

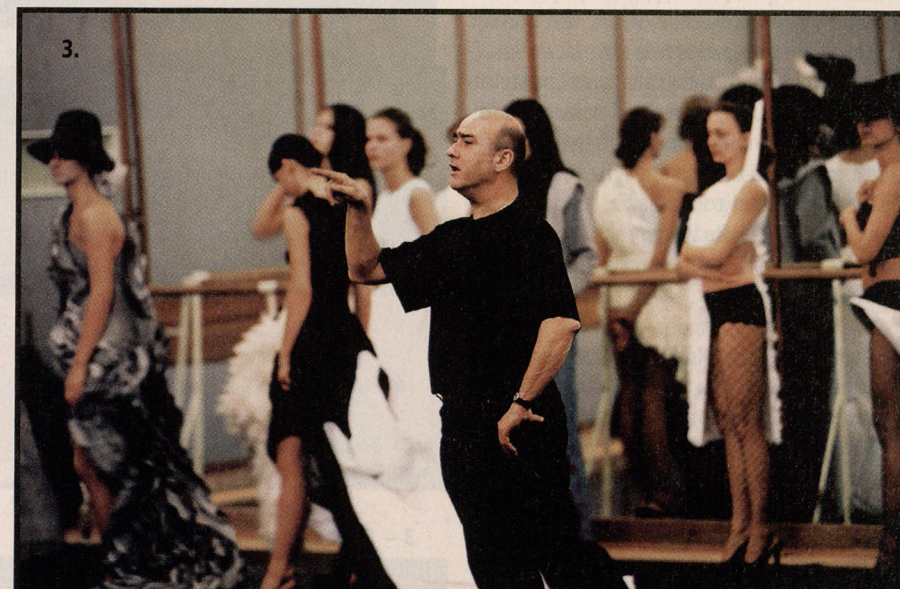
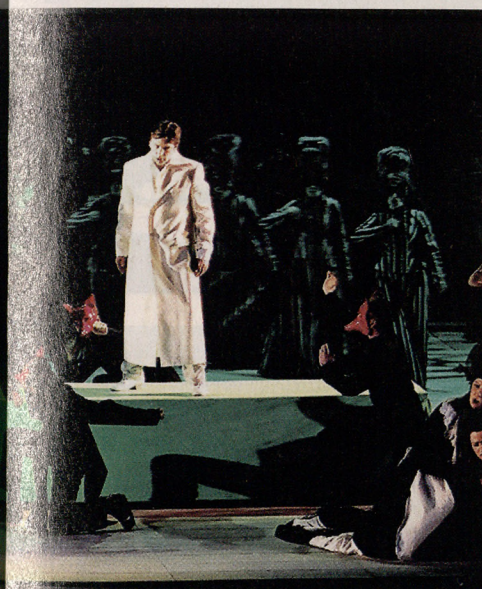


1 – Próba generalna „Eugeniusza Oniegina” już w kostiumach zaprojektowanych przez Joannę Klimas

2 – Scena z balu z okazji imienin Tatjana – spór Oniegina z Lenskim

3 – Choreograf Emil Wesolowski ćwiczy poloneza z modelkami

4 – Waszyngtoński spektakl „Madame Butterfly”



FOT. JACEK POREMBA DLA VIVY

dzieje wokół mnie. W jakimś sensie wszystko, co w sztuce jest do powiedzenia, zostało już powiedziane wielokrotnie. Problem polega tylko na tym, że my te odwieczne prawdy ubieramy raz jeszcze w nowe szaty i wypowiadamy je tu i teraz, w tej epoce, co nie znaczy, że we współczesnym kostiumie. W związku z tym uważam, że mamy obowiązek życia we współczesności, choćby po to, by wyrażać się jej językiem. Do twórców, którzy mnie fascynują, należy na przykład Miles Davis, artysta, który wielokrotnie całkowicie zmieniał swój styl, jednocześnie pozostając sobą. Jakże czujnie był wsłuchany w muzykę epoki! I właśnie o to chodzi, o próbę mówienia językiem swoich czasów przy wykształceniu odrębnego, własnego, niepowtarzalnego charakteru pisma stanowiącego o naszym ja. W nieco zabawnym i niekonkretnym podziale na ekstrawertyków i introwertyków zawsze uważałem się za ekstrawertyka, choć im dalej w las, tym bardziej widzę, jakie to jednak pozorne, bo ludziom pokazuję maskę, a to, co we mnie jest naprawdę, ukrywam, wychodząc z założenia, że nie należy się zbyt łatwo sprzedawać. Ale z pewnością nie jestem pustelnikiem i nie potrafiłbym tworzyć w samotności. Podkreślałem wielokrotnie, że zawód reżysera jest zawodem bardzo specyficznym. Akto-rzy grają, operator robi zdjęcia, scenograf buduje scenografię... Reżyser praktycznie nie robi nic i – robi wszystko, bo zestraja ich energie w jeden własny świat.

„Madame Butterfly”, „Król Roger”, „Otello”, teraz „Eugeniusz Oniegin”. Na ile taki właśnie zestaw arcydzieł ze światowego repertuaru wynikał z Pańskiego wyboru?

– Zawsze staram się sam wybierać dzieła, które realizuję. W takim sensie nie czuję się reżyserem-profesjonalistą, który otrzymuje zadanie do wykonania i po prostu je wykonuje. Mogę pracować jedynie nad tymi operami, które czuję, których muzyka mi się podoba. Operą zajmuje się ledwie od kilku lat i oczywiście wielu dzieł jeszcze nie znam. Gdy zaproponowano mi „Króla Rogera”, nie słyszałem go, ale po zapoznaniu się natychmiast zrozumiałem, że ta opera zawsze była „moja”, choć wcześniej nie miałem okazji się z nią zetknąć.

Słynna już inscenizacja „Madame Butterfly”, przeniesiona potem do Waszyngtonu, przyniosła Panu zaproszenia do wielkich teatrów operowych Europy i Ameryki. Na które z nich się Pan zdecydował?

– Przede mną „Don Juan” Mozarta pod muzyczną dyрекcją Kenta Nagano w Los Angeles, „Dama pikowa” Czajkowskiego w Berlinie, którą poprowadzi Daniel Barenboim, być może „Lady Mackbeth mceńskiego powiatu” Szostakowicza w koprodukcji naszej Opery Narodowej z moskiewskim teatrem Bolszoi i może praca w Metropolitan Opera nad „Faustem”

1 – Próba generalna „Eugeniusza Oniegina”. Jan Peszek – scena poloneza

2 – Waszyngtoński spektakl „Madame Butterfly”

3 – Próba generalna „Eugeniusza Oniegina”. Scena z Tatjaną i Onieginem

Gounoda, choć w grę wchodzi również premiera „Butterfly” na otwarcie sezonu 2004–2005 i pokazanie „Króla Rogera”, który być może zaistnieje też w Berlinie i w Waszyngtonie.

Czy w takim razie ma Pan jakieś repertuarowe marzenie?

– Tak się cudownie dzieje, że ja do tej pory wszystkie swoje marzenia realizuję. Mogę to czynić w Warszawie i mam ciekawe propozycje z kilku zagranicznych teatrów. W przyszłości chciałbym na pewno zmierzyć się z „Turandot”, „Borysem Godunowem”, „Tristanem i Izoldą”... W ogóle dzieła Wagnera bardzo mnie interesują, ale uważam, że dopiero przyjdzie na nie czas, chcę być wówczas inny, starszy. Nie spieszę się.

Skoro teatr jest sztuką ulotną, czy jako filmowca nie kusi Pana zrealizowanie operowego filmu?

– Nie. Operowy film jest trochę tworem bez twarzy. W kinie fascynujący jest pewnego rodzaju *happening*, gra międzyludzka, którą tworzy się w danej chwili, prowokuje i rejestruje na taśmie. Opera to rytuał, odtwarzany każdego wieczoru raz jeszcze. Filmem i teatrem rządzą odmienne zasady twórcze, to jest zupełnie inna praca i o inne efekty chodzi.

Tak się szczęśliwie złożyło, że każda Pańska praca, począwszy od debiutanckiego filmu „Pożegnanie jesieni”, była zauważana, o wszystkich mówiło się publicznie i dużo. Przeszkadza to Panu czy mobilizuje?

– Sztuka jest bardzo subtelną próbą porozumienia się z drugim człowiekiem. Począwszy od poety kreślącego na kartce kilka słów po reżysera, który do swej wypowiedzi potrzebuje batalionu żołnierzy i dywizji czołgów, jej sens pozostaje ten sam. To, czy na ten temat jest głośno, czy nie, powinno być sprawą drugorzędną, a artysta tak długo pozostaje sobą, jak długo nie będzie zwracał na to uwagi. Nie ma nic gorszego niż branie udziału w zawodach, wyznaczanie z góry, że następna rzecz musi być lepsza od poprzedniej. Dlatego staram się nie być zależny od tak zwanej szerokiej opinii i nie chcę, żeby wpływała

na moje wybory artystyczne. Po pierwsze, trzeba dać sobie prawo do klęski, po drugie, prawo do poszukiwania, a najważniejsze, żeby nie ogrywać swojego sukcesu. Chcę rozwijać się i robić rzeczy, które mnie interesują. Po „Pożegnaniu jesieni” spostrzegłem, że z pewną łatwością buduję światy dekadentkie, wyuzdane, wyrafinowane, bardzo ekspresyjne i dlatego zdecydowałem się to odrzucić, tworząc „Łagodną”, film o dwóch osobach w jednym pokoju opowiadany całkiem innymi środkami. Po tych dwóch filmach przyszli „Egoiści” – współcześni, radykalni, anarchizujący, znowu zupełnie inni... Za każdym razem staram się sam sobie stawiać pewne wyzwania i szukać nowych światów. Gdybym szukał sukcesu, budowałbym na tym, co już znalazłem, kreując rzeczy, które są dla mnie łatwe, a ja za każdym razem skaczę w coś, co grozi połamaniem nóg, szukając wciąż czegoś nowego. Również w obrębie opery dzieła, które realizuję, są zupełnie różne: „Króla Rogera” i „Oniegina” w ogóle nie da się porównać, wymagają całkiem innej reżyserii. A powracając

do sukcesu. „Butterfly”, która powstała trzy lata temu w Polsce, była ważnym krokiem w moim życiu i została dobrze przyjęta. Gdy niedawno zrealizowałem ten spektakl ponownie w Waszyngtonie, zaczęto mówić jeszcze bardziej entuzjastycznie, podkreślając „amerykański sukces”. Tymczasem ja naprawdę się nie zmieniłem, nie jestem ani mądrzejszy, ani głupszy, ani lepszy, ani nie wiem więcej. „Butterfly” mam już dawno za sobą i ten wielki obecny rozgłos nic we mnie jako w artyście nie zmienia. Teraz, przy „Onieginie”, odczuwam podobne lęki.

Lubi Pan mówić o sobie? Jaki właściwie jest Mariusz Treliński?

– O sobie mówić nie lubię. To, co mam do powiedzenia prywatnie, mówię w swoich spektaklach. Uważam, że sztuka jest rodzajem psychoterapii, rozmowy z samym sobą, że służy poznawaniu siebie i innych. W sztuce wypowiadamy swoje prawdy lub dajemy wyraz swoim lękom, ale jednak w sposób metaforyczny. Jeśli realizuję „Madame Butterfly” czy „Otella”, to oczywiście muszę moich bohaterów zrozumieć, a nawet się z nimi utożsamić, choć przecież nie jestem ani 13-letnią gejszą, ani Murzynem. Na szczęście zawód reżysera jest zawodem na tyle mało seksownym, że nie muszę być na okładkach tygodników i nie jest ważne, co jadam na śniadanie. Co innego aktorzy lub śpiewacy, oni oczywiście wymagają pewnego rozgłosu, ale reżyserzy nie są rozpoznawalni na ulicy i mogą się ukryć za twarzami tych, którzy stoją na scenie.

Rozmawiał PAWEŁ PIOTROWICZ

Wywiad nieautoryzowany

MARIUSZ TRELIŃSKI

Absolwent łódzkiej Filmówki, debiutował głośnym, rozbuchanym plastycznie filmem na podstawie powieści Witkacego „Pożegnanie jesieni”, po którym nakręcił kameralną „Łagodną” według Dostojewskiego i – w zeszłym roku – kontrowersyjny dramat współczesny „Egoiści”. Duży sukces artystyczny przyniosły mu „Pieśni Maldorora”: teatralna adaptacja skandalizującej poezji Lautréamonta wystawiona na scenie warszawskiego teatru Studio. Od kilku lat współpracuje z Operą Narodową, dla której po prapremierze kameralnej opery „Wyrwacz serc” Sikory w sposób niekonwencjonalny i daleki od operowej sztampry przygotował

cztery arcydzieła ze światowego repertuaru: „Madame Butterfly” Pucciniego, „Króla Rogera” Szymanowskiego, „Otella” Verdiego i – teraz – „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego (wszystkie we współpracy ze scenografem Borisem Kudlicką). Po sukcesie „Butterfly” przeniesionej jesienią 2001 roku do Opery w Waszyngtonie na prośbę Plácida Dominga otrzymał wiele propozycji z renomowanych operowych teatrów zagranicznych. Skorzysta z nich, choć nie zamierza porzucać ani filmu, ani sceny dramatycznej. Żonaty, ma syna.



FOT. EPOKA (2)



FOT. ARTUR PAWIŁOWSKI

FOT. JACEK POBEMBA DLA VIVY



Mariusz Treliński z Janem Peszkiem podczas próby

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



Dokąd podróżował Baltazar Gąbka?

W dzieciństwie najważniejszy był dla mnie tajemniczy Don Pedro, dziś trylogię Pagaczewskiego czytam jako pochwałę Kraka



dziecięcej biblioteczki, sprzedając książki w antykwariacie, by użyte w ten sposób środki wydać na wino. Książki o Gąbce ocalały jednak z tej hekatombi. Doświadczenie stanu wojennego i pierwsza lektura emigracyjnej czy podziemnej literatury łagrowej zweryfikowały mój odbiór Pagaczewskiego. Czytałem ponownie „Porwanie...” i „Misię...”, odnajdując moc politycznych, nieprawomyślnych aluzji.

Wszystko wydawało się nadzwyczaj proste. O jakim to państwie jako Krainie Deszczowców mógł dzieciom opowiadać skrycie Pagaczewski, jeśli nie o Związku Radzieckim? Gdzie indziej obcokrajowiec zostałby – tak jak Gąbka – skazany na 10 lat ciężkich robót za odmowę zanurzenia nóg w miednicy, bo takie oskarżenie przyszło do głowy prokuratorowi w służbie Największego Deszczowca i taki wyrok wydał bynajmniej nie niezawisły sąd. Tylko dlatego, że Gąbka odmówił współpracy przy wykorzystaniu wyników jego badań nad żabami latającymi do celów militarnych snującego imperialne plany władcy! Gdzie indziej funkcjonowałby Tajny Urząd Spraw Podejrzanych, którego agenci podsłuchują wszystkich poddanych Największego Deszczowca? Gdzież jak nie w stalinowskiej Rosji funkcjonowa-

„Wydaje mi się, że przygody Baltazara Gąbki są lekturą także dla dorosłych” – takie słowa Stanisława Pagaczewskiego znalazłem w wywiadzie z roku 1978 wydrukowanym w „Dzienniku Polskim”, przeglądając teczkę z wycinkami o nim w Muzeum Książki Dziecięcej.

Z książkami o Gąbce miałem do czynienia najpierw jako dziecko. Wychowałem się na nich, pamiętam, że „Misię profesora Gąbki” czytałem ćwierć wieku temu podczas ferii zimowych w Bukowinie Tatrzańskiej. Bohaterów trochę znałem – już wcześniej oglądałem w telewizorze Ametyst 105 oparty na poprzedniej powieści Pagaczewskiego animowany serial, w którym uwięzionemu w Krainie Deszczowców profesorowi Gąbce spieszyli

na ratunek Smok Wawelski i dzielny kucharz Bartolini Bartłomiej (herbu Zielona Pietruszka). Kiedy oglądałem ten serial jako dziecko, sam Gąbka wydawał mi się postacią mniej ważną od tajemniczego Don Pedra podążającego tropem ekspedycji. Odziany w czarną pełyrynę szpieg z Krainy Deszczowców ukształtował w ostatnim pokoleniu dzieci PRL-u wizerunek agenta silniej niż James Bond, którego nie dane nam było poznać.

Ale wtedy świat powieści Pagaczewskiego był dla mnie baśnią niewiele różniącą się od innych.

Satyra na Sowiety?

W połowie lat 80. jako licealista wyzyłem się większości mej

ły skrótownce RejKom czy CzeKa, na których Pagaczewski wzorował swój ŁowŻab – urząd wydający pozwolenia na łowienie żab? Samochód ze Smokiem, Bartolinim i medykiem doktorem Koyotem (postać pominięta w wersji filmowej) musiał wyjeżdżać z Grodu Kraka ku Ukrainie, gdzie lokowałem Krainę Psiogłowców, i przez kaukaską Słonecję dotrzeć nad Morze Kaspijskie, książkowe Morze Burzliwe, za którym znajdowała się Kraina Deszczowców. Właśnie po to, aby nad tym morzem mogły przelecieć atakujące z zaskoczenia wojska, Największy Deszczowiec potrzebował wielkich latających żab, których wyhodowania żądał od Gąbki.

Nie Rosja, lecz Anglia!

Wiadomość o wznowieniu w tym roku przez Wydawnictwo Literackie trylogii Pagaczewskiego („Porwanie Baltazara Gąbki”, „Misię profesora Gąbki” oraz „Gąbka i latające talerze”) wywołała we mnie pokusę naniesienia dawnych skojarzeń na mapę. Kolejna uważna lektura „Porwania Baltazara Gąbki” zaowocowała pytaniami, które zadałem szefowi działu nauki „Przekroju”. Odpowiedzi były szokujące. Moja pierwotna jednoznaczna interpretacja geograficzna runęła w gruzy, wydaje mi się za to, że udało się nam rozszyfrować niezwykle logiczną konstrukcję,

jaką pozostawił po sobie zmarły w roku 1984 Stanisław Pagaczewski. Zaczniemy od tego, że nie był on jedynie autorem powieści o Gąbce. Pozostawił po sobie o wiele więcej książek poświęconych turystyce – albumów i przewodników o tytułach takich jak „Wycieczki i wczasy jednodniowe z Krakowa”, „Przez Mogilany i Obidową do Zakopanego” czy „Z biegiem Dunajca” (podróżował także po świecie na statkach handlowych, chwalił się, że odwiedził 42 kraje). Podróż z „Porwania Baltazara Gąbki” została precyzyjnie oparta na geograficznych ciekawostkach, których ukrywanie w powieści musiało

sprawiać Pagaczewskiemu niezwykłą zabawę. Przede wszystkim wyjeżdżający z Grodu Kraka (przez most na Wiśle, a więc na południe) na odsiecz Gąbce bohaterowie pierwszej powieści po przebyciu gór skierowali się nie na wschód, lecz na zachód! Pomarańczowe skały, które mijali w Krainie Psiogłowców, to niewątpliwie góry Spessart w Niemczech – jedyne w Europie, gdzie występuje tak zabarwiony krzemian manganu i glinu (zwany zresztą spessartynem). Właśnie tam dowiadują się od Smoka Mlekopija, że aby dostać się do leżącej za Morzem Burzliwym Krainy Deszczowców, muszą je-

chać okrężną drogą przez Słonecję, Cynamonię i Kraj Gburowatego Hipopotama, czemu dziwi się zresztą kuzyn Mlekopija – nasz Smok Wawelski. Normalne, że się dziwi – Kraina Deszczowców to niewątpliwie zachodnia Anglia, gdzie występują największe w Europie (wyjawszy pewien tajemniczy region w Bośni, której jednakowoż nie oddziela żadne morze) opady deszczu, a krótszą drogą byłoby skierowanie się od razu na północ. Morze Burzliwe można przebyć jedynie tratwą z drzewa bo-bo, a to rośnie w Krainie Gburowatego Hipopotama graniczącej od południa z Cynamonią. Kiedy podróżni doń docierają, w budowie tratwy



rys. DOMINIKA RACZKOWSKA

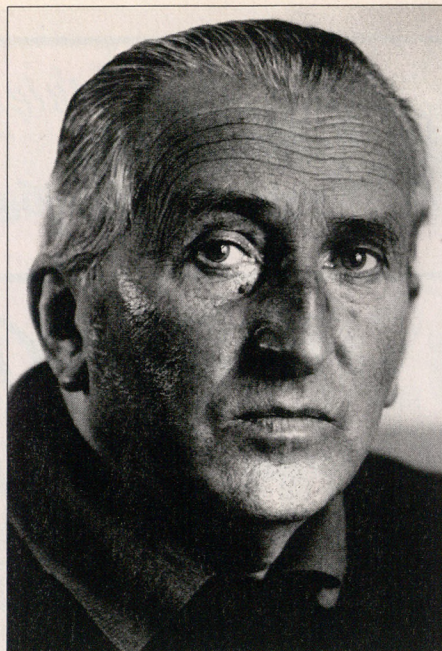
pomagają im małpy – a gdzie w Europie takowe żyją? W Gibraltarze! Słonecja, gdzie niezbyt miłościwie panuje król Słoneczko XV, to oczywiście Francja. Zaś mijana podczas podróży morskiej wyspa Relaksja to niewątpliwie Guernsey albo Jersey.

Nieco trudniej odtworzyć podróż z „Misji profesora Gąbki”. Tym razem należy przyjąć kierunek południowy. Okolice, w której podróżni przeżywają kłopoty z wodą napędzającą ich nowy samochód, to najpewniej węgierska puszcza. Szczęśliwe miasto nad Wielką Rzeką – Nasturcja – leży z pewnością na terenach dawnego Imperium Rzymskiego, na co wskazuje obecność akweduktu doprowadzającego Nektar Nieustającej Radości. Włochy trzeba wykluczyć, gdyż pochodził z nich Bartolini, który na pewno rozpoznałby swój rodzinny kraj. Zatem najpewniej to część Jugosławii, przez którą może płynąć Dunaj. To jedyna zataczająca wielki łuk Wielka Rzekka – nad taką leżał kiedyś także kraj mypingów, czelakopodobnych stworów wędrujących w poszukiwaniu pożywienia na północ po zmianie jej biegu i suszy. Ku niej, poprzez góry (Transylwania), rusza karawana ciągnięta przez dinozaury z rezerwatu Rufinusa. Zaś wygnany z Nasturcji jej zły władca Debiliusz skrywa się niewątpliwie w Grecji, na co wskazuje obfitość rosnących w tamtejszych górach kaktusów – opuncji.

„Przekrój” w czasach baśniowych

Trzecia i pozornie ostatnia powieść cyklu „Gąbka i latające talerze” to podróż nie w przestrzeni, lecz w czasie. Bohaterowie, którzy zasnęli w roku 772, budzą się nagle w Tatrach końca lat 70. XX wieku. To zdecydowanie najślubsza część trylogii, nie wiem, czemu nie lubię jej jako dziecko, wiem, czemu nie lubię jej dziś.

W „Porwaniu...” i „Misji...” z niezwykłą (choć zamaskowaną) konsekwencją geograficzną Pagaczewski wirtuozersko manipulował anachronizmami historycznymi. W baśniowym Grodzie Kraka działało radio i prasa, Smok Wawelski nie pożerał dziewic, lecz był poetą i najlepszym przyjacielem księcia, zbójca przyno-



Stanisław Pagaczewski (1916–1984)

sił żonie łup w postaci budzika NRD-owskiej marki Ruhla, krowy doioło się przy piosenkach Cliffa Richarda, zaś droga do rezerwatu dinozaurów oznaczona była tyczkami koloru *bahama yellow* – czy pamiętają Państwo, co to za barwa? Najpopularniejsza farba jaką pokrywano w latach 70. polskie fiaty. Wreszcie Don Pedro ofiarowywał w zamian za uratowanie mu życia... wielkanocny numer „Przekroju”.

Przeniesienie Kraka, Gąbki i Smoka we współczesność wypa-

na Krecie). Nie ma dlań wystarczającej przeciwwagi, jaką był w swoim baśniowym państwie książę Krak, który przeniesiony w czasy nam współczesne nie rządzi, lecz studiuje historię sztuki.

Hołd dla dobrego gospodarza

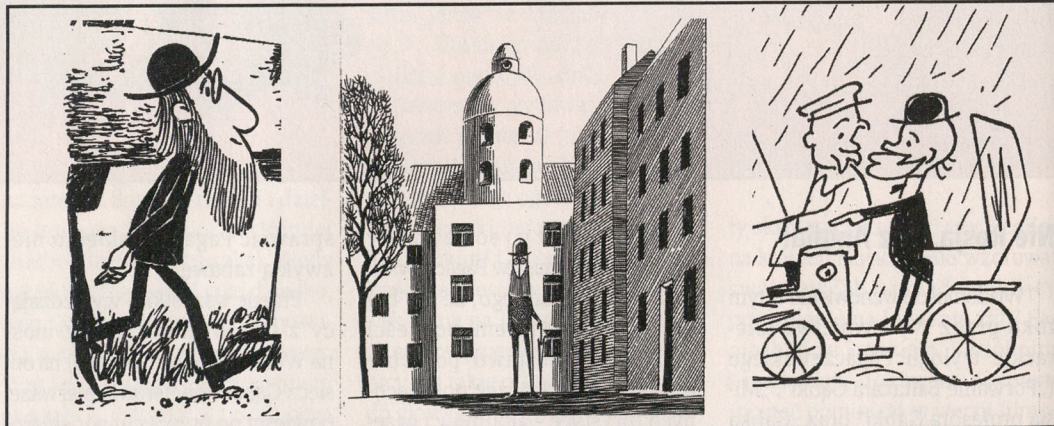
W jakim sensie powieści o Gąbce są lekturą także dla dorosłych? Czy tylko ze względu na nieco podobne do konceptów Piotra Wojciechowskiego geograficzne fantazje, piękny styl, wreszcie literackie smaczki z autorskimi przypisami, wplataniem wierszy i odnalezionych na dalekich bazarach dzienników wypraw? Myślę, że „Porwanie...” i „Misję...” można czytać jako pochwałę absolutyzmu oświeconego.

W świetle wycinków zgromadzonych w Muzeum Książki Dziecięcej Pagaczewski, krakowianin z profesorskiej rodziny, jawi się jako konformista niewątpliwy, aczkolwiek umiarkowany. W latach 1954–1956 znalazł się w paksow-

W „Misji profesora Gąbki” Smok Wawelski intonuje jako hymn Grodu Kraka „Sto lat” – ulubioną pieśń Władysława Gomułki. Czyżby mimo wszystko, mimo geograficznej zmyłki, Największy Deszczowiec był dla odmiany figurą Stalina? Na ponurą kpinę z Biełomorkanału zakrawałaby zatem w „Misji...” reedukacja tego tyrana przy kopaniu kanału nawadniającego Krainę Mypingów.

Bo kluczową postacią wydaje się tu właśnie książę Krak. W odróżnieniu od wojowniczych, próżnych i zachłannych władców – Debiliusza czy Największego Deszczowca – jest wzorem dobrego gospodarza. Osobiście pomaga przy gaszeniu pożaru na Kleparzu, dogląda żniw, a jako sędzia wydaje sprawiedliwe wyroki, napolinając mieszkańców zwałnionych wsi. To on w końcu inicjuje obie ekspedycje Smoka Wawelskiego – pierwszą na ratunek wybitnemu poddanemu, drugą w nadziei na wyjaśnienie tajemnicy mypingów pustoszących jego księstwo.

Władza to obowiązek i odpowiedzialność – tak dziś jako dorosły odczytuję przesłanie powieści Pagaczewskiego. I to pozostanie pewnie ponadczasowe,



Trzech brodatych profesorów: Gąbka (rys. Alfred Ledwig), Tutka (rys. Daniel Mróz), Filutek (rys. Zbigniew Lengren)

dło pokracznie. Zbyt dosłowny okazał się też pirat Joe Pietruszka, tak jak niegdyś Największy Deszczowiec i Debiliusz chcący zdobyć władzę nad światem (postać ta pojawia się ponownie w powieści Pagaczewskiego „Przygoda na wyspie Rodos” z roku 1982; dowiadujemy się z niej także, że pradziad Smoka Wawelskiego przybył ze Smokonii, którą autor lokalizuje

skim zespole „Tygodnika Powszechnego” odebranego Turowiczowi i oddanego lojalnemu Dobraczyńskiemu. W roku 1974 wstąpił do satelickiego wobec PZPR Stronnictwa Demokratycznego, gdzie udzielał się w kole pisarzy. W 1978 cieszył się w wywiadzie z przyznanej mu przez premiera Jaroszewicza nagrody: „To dowód, że moja twórczość jest społecznie ważna” – mówił.

niezależnie od tego, czy będzie mi się kojarzyć z „dobrym gospodarzem” Gomułką, Gierkiem czy Buzkiem albo Millerem.

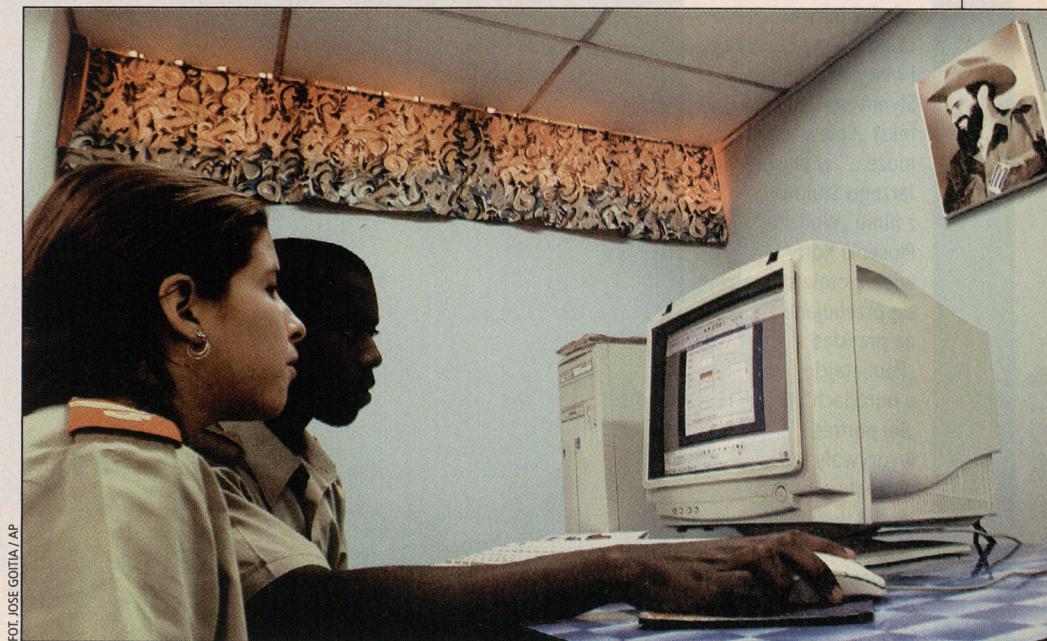
PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ
współpraca naukowa
JAN STRADOWSKI

Dziękujemy Panu Alfredowi Ledwigowi za udostępnienie rysunków.

Kuba w sieci Fidela

TANIA DÍAZ CASTRO

Mam 62 lata, pracuję dla serwisu internetowego w Ameryce, ale ten tekst mogę przedyskutować wyłącznie przez telefon. Fidel nie pozwala nam używać komputerów osobistych



Kubańczycy mogą korzystać z komputerów, pod warunkiem że ludzie Fidela patrzą im na ręce

Od miesiąca jestem posiadaczką pierwszego w swoim życiu komputera. Nie znaczy to, że kupiłam go w sklepie. Oficjalnie można było kupić komputer przez parę miesięcy, ale i to się skończyło. Mam go dzięki pomocy dobrych ludzi. I na nim właśnie piszę niniejszy list. Piszę... Z trudem, muszę przyznać. Mam 62 lata, niełatwo w tym wieku nauczyć się obsługiwać tak skomplikowanej i niesamowitej maszyny... Dotąd żyłam w zafaniu takim samym jak cały kraj.

Od razu pierwszego dnia postanowiłam znaleźć jakiegoś profesora od komputerów, ale bez skutku. Po tygodniu poszukiwań nagle, jak z nieba, pojawił się 30-letni młodzieniec pracujący w tej specjalizacji w rządowej firmie. Do mizernej pensji dorabia, ucząc nowicjuszy posługiwania się komputerem, instaluje programy, jeśli ma do nich dostęp – i w ten sposób zdobywa dolary, czyli jedyne realne na Kubie pieniądze. Oczywiście absolutnie się tym nie chwali. Sama musiałam go zapewnić, że nikomu nie powiem nawet o naszej znajomości. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby tajna policja dowiedziała się, że pracujący dla rządu komputerowiec udziela lekcji obsługi komputera niezależnej dziennikarce.

Jest coś w tej technologii, co szczególnie mi się podoba: że pracuje się w ciszy, co w sytuacji działalności na poły podziemnej jest dużym ułatwieniem. To nie to co moja stara, przenośna, ukochana Olympia, maszyna do pisania, na której wystukiwałam dniami i nocami swoje artykuły i utwory przez ponad

40 lat. A przecież komputer to nie tylko cicha maszyna do pisania, to także archiwum. Pewnie w innych warunkach mogłabym też wykorzystywać komputer znacznie szerzej, na przykład do zdobywania informacji ze świata, ale tego przywileju nie posiadam i raczej nie mam nadziei go uzyskać.

Na Kubie dostęp do cyberprzestrzeni to prawo przyznawane naprawdę nielicznym. Dowiadywałam się – nawet pisarze, laureaci państwowych nagród literackich honorowani przy różnych okazjach, wspomagani przez rząd miesięcznym stypendium w wysokości stu dolarów, też nie mają dostępu do Internetu. Przywilej ten został przyznany paru pracownikom departamentu ideologicznego komitetu centralnego partii komunistycznej, kilku ministrom wyznaczonym przez samego Fidela Castro i na tym koniec. A jednak mimo tej upokarzającej sytuacji większość Kubańczyków doskonale wie, co to jest komputer. Wie też, że nie ma żadnego prawa do zdobywania informacji. Wie, że nie może skorzystać z dobrodziejstw wieku XXI. Wie o tym María, która mieszka zaraz za rogiem mojego domu. Wie o tym nasz hydraulik Juan. Wie także Antonio, emeryt z sąsiedztwa, i Juanito, który dopiero zaczął chodzić do szkoły.

Pewien młody sąsiad często grywający w szachy przed moim domem zapytał mnie niedawno, co piszę. Odpowiedziałam mu, że jestem dziennikarką, ale nie piszę dla oficjalnych gazet. „A dla kogo?” – zainteresował się. „Dla serwisu internetowego”. Oczy mu się za-

okrągliły. „Czyli masz dostęp do Internetu!” – bardziej ucieszył się, niż spytał. Pokręciłam głową z sarkazmem. „O... – westchnął – a dlaczego? Przecież skoro piszesz dla Internetu, to musisz mieć dostęp”. „Widzisz, rząd Fidela Castro nie pozwala nam korzystać z Internetu. Jak myślisz, dlaczego?”. Chłopiec pomyślał chwilę, spuścił głowę i mruknął: „Pewnie żebyśmy nie mieli za dużo informacji, co?”.

W oficjalnych mediach mówią nam, że wkrótce wszyscy będą mieli na Kubie swobodny dostęp do Sieci. A we mnie rodzi się pytanie: czy na pewno urzędnicy ministerstwa łączności i informacji nie zechcą kontrolować przepływu danych? Przecież robią to ze wszystkimi innymi środkami masowej informacji, z telefonami, z prasą, z telewizją. I za nic mają Powszechną Deklarację Praw Człowieka, gdzie wyraźnie jest napisane, że każdy człowiek ma prawo szukać, zdobywać i gromadzić informacje i opinie. Bez względu na granice polityczne.

Jak w tym świetle rozumieć slogan Fidela „Uczynimy z Kuby największy uniwersytet świata”? Jaki uniwersytet ma na myśli szef partii komunistycznej? Bez danych i informacji?

Tania Díaz Castro jest niezależną dziennikarką i poetką kubańską. W latach 1988–1989 więziona przez reżim komunistyczny. Pisze dla serwisu CubaNet z siedzibą w Miami. Swoje artykuły, także ten list do „Przekroju”, dyktuje przez telefon.

JONASZ KOFTA poeta, satyryk, autor tekstów piosenek wykonywanych między innymi przez Hannę Banaszak i Marylę Rodowicz. Słynny stał się jego tekst „Śpiewać każdy może...” w wykonaniu Jerzego Stuhra z filmu „Wodzirej”. Piosenki Kofty wielokrotnie stawiały się przebojami, na przykład „Pamiętajcie o ogrodach”, „Jej portret”, wygrywały festiwale w Opolu – po raz pierwszy w roku 1968. Współtworzył razem z Janem Pietrzakiem studencki kabaret Hybrydy, potem razem z Adamem Kreczmarem we trójkę tworzyli kabaret Pod Egidą. W latach 70. ze Stefanem Friedmanem prowadził w radiowej Trójce audycje satyryczne: „Ilustrowany Tygodnik Rozrywki”, „Dialogi na cztery nogi” i najbardziej popularnych „Fachowców”. Jego wiersze-teksty piosenek po raz pierwszy ukazały się drukiem po jego śmierci. Zmarł tragicznie 19 kwietnia 1988 roku. Wkrótce ukaże się po raz pierwszy zestaw płyt z wszystkimi nagraniami radiowymi Kofty. Znajdą się na nich piosenki z Opola (wykonywane również przez niego samego), z kabaretów, z anteny radiowej – wszystko, co jeszcze niedawno wydawało się nie do odzyskania.

W WYSZUKIWARCE INTERNETOWEJ PO WRZUCENIU SŁOWA „KOFTA” WYSKAKUJĄ STRONY ORGANIZACJI EKOLOGICZNYCH, KTÓRYCH HASŁEM STAŁO SIĘ „PAMIĘTAJCIE O OGRODACH”



FOT. WOJCIECH BRUSZCZ

WKRÓTCE POSŁUCHAMY CAŁEGO KOFTY NA PŁYTACH

Walc z Koftą

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Był Docentem z „Fachowców”, nie używał zegarka, potrafił napisać tekst nawet do „Tańca z szablami” Chaczaturiana

W programie telewizyjnym „Bez-ludna wyspa” Niny Terentiew jedna z aktorek nuci „Naprawdę, jaka jesteś, nie wie nikt...”. To jedna z bardziej znanych piosenek Kofty, obok „Pamiętajcie o ogrodach”. Piosenka oczywiście już dawno funkcjonuje samodzielnie, nikt nie pamięta, kto to napisał. W wyszukiwarce internetowej po wrzuceniu słowa „Kofta” wyskakują strony organizacji ekologicznych, których hasłem stało się „pamiętajcie o ogrodach”, a najczęściej cytuje się Koftę na stronach poświęconych miłości. Wszak napisał „Podróżą każda miłość jest, za dużo każda miłość chce...”.

Postać Jonasza otoczona jest legendą, jego biografia spełnia wzór artysty cygana, który źle kończy. Po jego śmierci jedna z gazet napisała, że „po przedwczesnej śmierci stał się obiektem swoistego kultu”. – Życie wieczne zapewnia mu kultura masowa – mówi jego syn, socjolog Piotr Kofta. Ciągłe śpiewa się jego piosenki: ostatnio sięgali po jego teksty Justyna Steczkowska, Michał Żebrowski i Robert Janowski.

Był typowym przedstawicielem swojego pokolenia, tak przynajmniej uważają jego przyjaciele: rysownik Andrzej Dudziński, satyryk Stefan Friedman czy Jan Pietrzak. Gdyby nakręcić o nim film, można by zobaczyć poprzez jego postać całe pokolenie. Mógłby się stać bohaterem literackim. Byłaby to książka nie tylko o krótkim i intensywnym życiu poety, lecz także o latach 70. i 80., o życiu artystycznym tego czasu. Szczyt jego kariery przypadł właśnie na lata 70. Mimo że był poetą „lirycznym”, poprzez kabaret został wrzucony w sam środek życia społecznego. Jednak Kofta pozostał niez zaangażowany – bronił swojej niezależności. Portretował w swoich piosenkach „fajera”, kogoś, kto nie przystosowuje się do warunków, jest nie życiowy, wierzy w coś, śmieją się z niego. Rozpamiętuje przeszłość, zamiast iść do przodu: „Ech, wy, ludzie, co żyć potraficie – jakże boleśnie zazdroszczę ja wam”. – Czegoś szukał, gdzieś gnał, wiecznie z siebie niezadowolony, wiele twarzy, a żadna nie podobała mu się do końca

– mówi jego żona Jadwiga Kofta, autorka książek dla dzieci.

*Dobry wieczór – pewnie dziwisz się, kochanie
Że mnie widzisz tu samego
w takim stanie
Co ma znaczyć ten jarzębiak
Ten popiół na dywanie?
Usiłuję się pogłębiać
A w ten sposób jest najtaniej
Nie jesteśmy przecież tacy
Jacy w lustrze się widzimy...*

„Popołudnie”

Portret fajera

Długie włosy, beret. Lubił szlafrocki, miał ze trzy. Gdy wracał do domu, zakładał szlafrok na wierzchnie ubranie, nawet na garnitur. Lubił za małe ubrania. Na przykład kuse wojskowe kurteczki z zakładką w pasie, spodnie garniturowe i buty dziwne, bo gubił swoje i wracał w pożyczonych. I na to szlafrok. Wystąpił w filmie „Lubię nietoperze” Grzegorza Warchoła, w epizodzie w domu

*Syntera nam nie wychodzi,
nie szkodzi,
jesteśmy młodzi...*



Jonasz Kofta i Andrzej Dudziński

wariatów, gdzie tworzył wielkie malowidło na ścianie. Ilekroć wspomina się gdzieś Koftę, pojawiają się słowa: bohema, cyganeria, czarna peleryna. – Peleryny nie nosił. Był bardziej krakowski niż warszawski, trochę jak Piotr Skrzynecki – mówi Dudziński. Odpowiadał mu taki styl życia – nocne występy, potem przyjęcia. Potrzebował publiczności. Lata 70. to były dobre czasy kabaretu, jeździło się po klubach studenckich po całej Polsce. – Mieliliśmy w kabarecie poczucie wolności – opowiada Pietrzak – i myśleliśmy, że tę wolność uda się przenieść dalej.

Zdarzało mu się, że zniknął. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Nie było go czasem kilka tygodni. Zawsze jednak wracał do domu: – Kiedyś się

zawieruszył – opowiada syn. – Nie spodziewanie pukanie do drzwi: wraca w świetnym humorze. We wszystkim pożyczonym, w trampkach, spodniach, kurtce, ogolony, uśmiechnięty, a pod pachą – akordeon. Wyszedł z teczką, z pieniędzmi, kluczami. Po powrocie miał tylko ten akordeon. Miał święte postanowienie, że będzie grać. Do wieczora. Potem zapomniał.

Czasami, jeśli nigdzie go nie było, przyjaciele szukali go w Gongu na Marszałkowskiej, gdzie lubił siedzieć i pisać. – Wtedy był jednak inny styl życia artystycznego. Niektórzy, jak Jonasz, całe dnie spędzali w kawiarniach – mówi Dudziński. W wielu kawiarniach funkcjonowały tak zwane stoliki, przy których za-

wsze spotykały się znane osoby. Dziś w Warszawie ocalały może jeszcze stoliki w Czytelniku na Wiejskiej. Wiadomo, że około 13 zawsze pojawia się Konwicki, a obok Holoubek. W latach 70. było więcej takich miejsc. W dawnej Antycznej (dzisiejsza Szpilka), którą starsi przedwojenni nazywali „u Marca”, przy osobnym stoliku siadywali Słonimski, Ważyk, Otto Axer. W innej kawiarni, w Spatifie, Jonasz Kofta dostąpił wyróżnienia, ponieważ mógł siadywać przy stoliku Janusza Minkiewicza, poety i satyryka, który był wtedy dla młodych autorytetem. – Kiedy piosenka Jonasza „Radość o poranku” wygrała Opole, oblewaliśmy sukces w Spatifie – opowiada Dudziński. – Minkiewicz

zaciekał tekst. Po paru wódkach poważnie odczytał refren: „Ładu di bi baj baj” itd. „To wy teraz macie łatwo” – powiedział. To był jeden z lepszych efektów kabaretowych, jakie w życiu widziałem.

W latach 80., w czasie stanu wojennego i później, życie towarzysko-knajpiane zamarło. Zresztą Jonasz zachorował i nie mógł już prowadzić takiego życia jak dawniej. Piotr Kofta: – Myślę, że Jonasz wykreował swój wizerunek i potem ciężko mu było z nim zerwać. Może w pewnym momencie wpadł w pułapkę, a może celowo go podtrzymywał? Ten obraz zawierał przecież różne cechy, które były mu na rękę: niepunktualność, niesolidność, pijaństwo, autodestrukcja. Może to była forma samousprawiedliwiania się?

Naprawdę nazywał się Janusz Kaftal

Nazwisko zmienił jego ojciec we Lwowie w czasie wojny. Kaftalowie byli znaną żydowską rodziną kucpów. Kofta po rosyjsku znacząco koszuła, kojarzyła się więc niezadowolony i stąd ta zmiana. – Normalne życie rodzinne Jonasz znał chyba tylko z literatury – mówi jego syn.

Dzieciństwo spędził na podróżowaniu przez całą Polskę między matką i ojcem – on zakładał radio w różnych miejscach, ona była germanistką na uniwersytecie w Poznaniu. Jonasz Kofta zniknął, tak jak kiedyś zniknęła jego matka. Uciekł z domu, gdy miał 18 lat. Rodzice zainteresowali się nim ponownie, kiedy groziło mu w wojsku więzienie za zagubienie broni oraz munduru i kiedy zaczął mieć poważny problem alkoholowy. Ojciec, człowiek niezwykle skrupulatny, prowadził teczkę opatrzoną nazwą: sprawy alkoholowe. Przechowywał w niej wszystkie wypisy z odwyków. On też przyczynił się do tego, że przez siedem lat Jonasz nie pił w ogóle. Wtedy właśnie, do 1978 roku, najczęściej pisał i występował.

– Dla Jonasza najlepszy czas to było pisanie z Friedmanem do radia w latach 70. – mówi Jadwiga Kofta. Te programy stworzyły nowy rodzaj rozrywki w radiu, popularny również dzisiaj: słuchacz miał wrażenie, że ktoś nie wyłączył mikrofonu. Straszna frajdę sprawiało Jonaszowi, że ludzie to powtarzają. Grepsami

z „Fachowców” porozumiewały się kolejne pokolenia.

– Jednego mu tylko do dziś nie mogę darować – mówi Friedman. – Że nie miał zielonego pojęcia o sporcie. Dziwił się, jak ja mogę oglądać, jak piłkę kopia.

„Radość o poranku”

Nie nosił zegarka. Pracować z Koftą – to wymagało cierpliwości. Lubił duety z przyjaciółmi – wtedy praca była pretekstem, żeby się spotykać. Z Dudzińskim robili cotygodniowy felieton ilustrowany do „Literatury”, a potem do „Polityki”. To był, jak mówili, też rodzaj kabaretu: na kartce-scenie. Wyszła z tego „Księga zdziwień” z rysunkami Dudzińskiego i podpisami Kofty. – Praca w mozołach była dla nas nie do pomyślenia – mówi Dudziński. – Wszystko musiało powstawać w błysku geniuszu.

Wtedy wydawało im się, że czas są beznadziejne. Wspólna praca była cudownie niepoważna i nonszalancka.

– Umawialiśmy się o 12 u mnie, Jonasz przychodził o wpół do drugiej, wypijał trzy kawy, mówił, że za słabe i że musi przetrzeć oczka, więc chodźmy do Empiku. Tam wypijał następne trzy kawy, robiło się późno, więc mówił: „Eee, dajmy sobie spokój, przyjdź jutro i zrobimy to w 15 minut”. I na ogół tak było. Miał niesamowitą zdolność zebrania się, zapanowania nad absolutnym chaosem. Wydawało się, że nic nie wyjdzie, i nagle się coś zapalało.

Najgorzej mieli ci, którzy zamówili coś u Kofty. Zwykle się zgadzał i natychmiast o tym zapominał. Friedman wspomina wizytę pewnego petenta. To było wtedy, gdy Koftowie mieszkali jeszcze na Wiejskiej, w fińskim domku, z oknami z każdej strony.

Piszą audycję do radia, ktoś puka. Jonasz chowa się pod łóżko, niestety, nogi mu wystają. Za drzwiami ktoś krzyczy:

– Otwórz! Wiem, że tam jesteś. Przecież cię widzę!

Po 20 minutach odchodzi.

– Widział cię – mówi Friedman.

– E, nie. Błefował, znam go.

Później łatwiej było Jonaszowi się ukrywać, bo zamieszkał na Grotach, w domku na obrzeżach Warszawy i bez telefonu.

Friedman przyjeżdżał o trzeciej, robił sobie kawę i czekał. Kot Myszkin siadał naprzeciwko i teroryzował go wzrokiem. Kofta wstawał zwykle o czwartej po południu. Codziennie czekał na niego stos telegramów: „Jonasz, pilne, zadzwoń, praca czeka, miałeś oddać tekst”. Niektórzy zdesperowani sami się pojawiali. Inni przyjeżdżali po prostu, bo było wiadomo, że Jonasz pomoże w każdej sytuacji. Różni ludzie spali i jedli u niego, często zostawiali jakiś wiersz na pomietej kartce, a on go poprawiał.

– Kaprys mam taki, że lubię tylko zdolnych ludzi – mawiał. Odkrył Janusza Kapustę i Jerzego Dude-Gracza. Nad stołem na Grotach wisiał obraz świętej rodziny Koftów namalowany przez Dude-Gracza: pięk-

na żona, długowłosa poeta i dość obrzydliwe małe bobo – syn Piotrek.

„A my jak dzieci, a my naprzeciw”

– Po urodzeniu Piotrka bałam się go dotykać – mówi żona. – Jonasz go kąpał i po trzech miesiącach, jak to mu się zdarzało – zniknął. Pamiętam, że nad wanienką strasznie płakałam, tak że woda była słona i wypychała Piotrka do góry...

Jonasz był wiecznym dzieckiem. Na zdjęciach w wyborze wierszy wydanym przez Twój Styl widać go roześmianego, uchwyconego w szaleńczym biegu do autobusu. Jego szeroki uśmiech, na pół twarzy, jest taki sam na twarzy małego chłopca i młodzieńca.

– Trudno jest mówić o Jonaszu, nie wzruszając się, bo on wywoływał u nas wszystkich ciepłe odruchy, ojcowsko-macierzyńskie – wspomina Dudziński. – Nie można się było na niego pogniwać.

– Trzeba go było kochać... po męsku – dodaje Friedman.

Korzystał z życia jak z jedzenia, pochłaniał je łapczywie.

– To był człowiek uczuciowy – tak widzi go jego syn. – Powieść „Czuły barbarzyńca” Hrabala zrobiła na mnie wrażenie też dlatego, że główny bohater przypominał mi mojego ojca. Uczuciowy, czyli taki, który wszystkie rzeczy robi z zamachem emocjonalnym: jak się czymś przejmuję, to bardzo, jak pracuje, to do upadłego, jak odpoczywa, to śpi trzy dni. Żyje na bardzo wysokich



Razem stworzyli „Księgę zdziwień”

obrotach. Mało zdystansowany do świata, do siebie za to bardzo zdystansowany. Miał na wierzchu wszystko. Ja jestem zupełnie inny.

„Kiedy się dziwić przestanę, będzie po mnie”

Potrafił napisać tekst do każdej muzyki, nawet do „Tańca z szablami” Chaczaturiana. Większość jego tekstów powstała na zamówienie, do określonej muzyki, wiele z nich to wiersze miłosne. Najczęściej opisuje moment rozstania – najśłynniejsza „Samba przed rozstaniem” śpiewana przez Hannę Banaszak ma w sobie coś hipnotycznego: „Nie, nie możesz teraz odejść, jestem rozpalonym lodem”. Liryczny Kofta nie staje się jednak nigdy ckliwy.

„Chciał – pisze Paweł Huelle – zamienić życie w poezję, a poezję w życie”. Podobny zamiar miał w tym samym czasie inny autor piosenek i prozy Edward Stachura, zresztą częsty gość u Koftów. „Stachurzenie”, czyli śpiewanie piosenek w górach i przy ognisku, stało się modą. Teksty Kofty pozostały dla wykonawców na scenie. W dodatku za życia nikt go specjalnie nie uznawał za poetę. – On nigdy nic nie zrobił, żeby zaistnieć jako poeta. Środowiska artystyczne wydawały nam się poważne i nabzdyczone – mówi Dudziński. A największym grzechem było traktowanie siebie zbyt poważnie.

– Jonasza ceniono głównie jako tekściarza – mówi Magda Umer. – Oczywiście ci, którzy się znali, jak Jeremi Przybora, Agnieszka Osiecka czy Wojciech Młynarski, bardzo dobrze wiedzieli, jak znakomitym jest poeta.

Miał niezwykle słuch satyryczny, świetnie pokazywał rzeczywistość PRL-u. W wierszu „Metropolis”:

*W pudełkach ludzkie pchełki
grzechocą jak muszki (...)
Arcytekтура
Arcytekтура
Rosną nam domy, szkoły, biura
Klubokawiarnie, sale narad
Wszystko stylowe –
Wczesny barak.*

Wybór wierszy ukazał się w „Bibliotece Bardów” obok Kleyffa i Kaczmarek. Tymczasem jego wiersze i piosenki należą do zupeł-

nie innego nurtu. Odszedł z kabaretu Pod Egidą, gdy ten stał się mocno zaangażowany. – W roku 80. Jonasz chciał wrócić – mówi Pietrzak – ale wtedy robili polityczne programy, występowaliśmy w stocznich, hutach i kopalniach. To już nie był właściwie kabaret, tylko propaganda, agitacja opozycyjna. Nie było wtedy dla niego miejsca. Myślę, że miał żal do mnie o ten 80. rok...

Dla kabaretu Jonasz pisał teksty liryczne, ale kilka z nich było reakcją na wydarzenia: „Ptaki-pytaki” pisane po marcu 1968: „Ptaki-pytaki, brzydkie kaczątko, którym łatwizna obrzydła”. Wiersz „W moim domu”, napisany w 1968, wydaje się rozmową kochanków, a okazuje się, że to dialog z Polską, która zamiast patrzeć w oczy, patrzy mu na ręce, śledzi go i mu nie ufa:

*Wiem na pewno, że ze sobą
wytrzymamy
Chociaż życie nam układa się nie
prosto
Nie możemy rozstać się
trzasnąwszy drzwiami
Moja piękna, moja miła, moja
Polsko*

Nie chciał wyjeżdżać, nie wyobrażał sobie w ogóle takiej możliwości.

Po wypadkach w Radomiu w 1976 powstał wiersz „Szary poemat”. Syn pamięta z dzieciństwa, że był zapisany na papierze toaletowym. – To był rzeczywiście jakiś dziwny rulon papieru, mógł mu się tak skojarzyć – mówi Jadwiga Kofta. Magda Umer wspomina, jak Jonasz recytował z pamięci „Szary poemat” gdzieś w hotelu nad ranem, po ostrej popijawie. Ktoś go nagrał na kasety i tylko dlatego ocalał. „Niektórzy piją, by zapomnieć, ja piję, by zapamiętać”, a kończy się on zwrotem: „przysięgam ci / moja / ojczyzno/ nigdy/ nie wytrzeźwieję”.

W wielu wierszach powtarza się fraza-wezwanie: „Nie stracę pamięci”, „ci są wyklęci, co nie stracili pamięci”. Z taką ciężką pamięcią rzeczywiście można było tylko pić.

Nie umiesz żyć

Wszystko zmieniło się na początku lat 80. Nagle przyszła choroba – rak ślinianek. Walczył z nią

kilka lat i wygrał. Trwał stan wojenny. I zmieniła się scena muzyczna. Kiedy wyszedł z choroby, po nawiązaniach (postarzał się w ciągu roku o 20 lat), nie mógł występować, a przecież to było jego najważniejszym motorem do pracy. Jednocześnie po stanie wojennym nadeszła fala punk rocka. Moda na „szansonistów” z lat 70. minęła. Ze zgrozą słuchał nowej muzyki. Miał poczucie, że dla niego nie ma już miejsca – jest ze starej półki. Snuł rozmaite plany musicali, dramatów, ale nic z tego nie zrealizował. Między rokiem 1984 a 1986 pisał co tydzień wiersz do „Polityki”. To było w czasie, kiedy pół zespołu odeszło. Na zarzuty o kolaborację z władzą odpowiadał: – Na co mam czekać? Ja wiem, ile pożyję?

Zmarł wcale nie na raka. Przypadkowo, absurdalnie. – Nie przypuszczałam, że mi tak przykro będzie o tym mówić, po tylu latach – mówi Jadwiga Kofta. Zadławił się w Spatifie. Dziennikarka, która robiła z nim wtedy wywiad, uciekła, i nikt nie wiedział, co mu się stało. Myśleli, że to zawał. Mówiono później, że pijany lekarz masował mu serce z prawej strony. Gdyby wyjęli to, co wpadło do przełyku, może by przeżył. Był w stanie śmierci klinicznej, leżał nieprzytomny przez kilka tygodni. – Nawet gdyby go odratowali – zastanawia się Piotr Kofta – zrobiliby później coś podobnego. On szukał śmierci, a sam nie potrafił rozwiązać tej sprawy. Opowiadał, że ma przerzuty, kiedy ich nie miał. – Powiedziałam mu kiedyś, że potrafi walczyć ze śmiercią, a nie umie żyć. Jonasz przyznał mi rację – mówi żona. Friedman wspomina: – Spotykałem go w latach 80. Był już kimś innym, nie kontaktował. Umarł młodo, 46 lat. Myślę, że na tyle lat był niejako zaprogramowany. Zrobił tyle, ile inni przez całe długie życie.

Czarne słońca

Lata 80. był dla niego niełaskawe, ale wtedy powstały najpiękniejsze jego wiersze: „Samba przed rozstaniem” i cykl „Ostinatio determinare”. Teksty pisane pod koniec życia są zupełnie inne niż to, co pisał wcześniej. – Tu jest to, co mu chodziło po głowie – mówi Piotr Kofta. – Niewesołe rzeczy: śmierć, pustka.

To są wiersze przejścia, muzyczne wprowadzające śmierć, w rytmie

walca. Jednocześnie ciemne i lekkie poprzez taniec:

*Dokąd tak uciekam,
od siebie, do siebie,
To ścieżka donikąd
W jałowe
pustkowia
Tam
Prawdy
Jedynej
O sobie
Się dowiem*

Przejście jest samotne, bez przewodnika, bez wiary, z jedyną nadzieją, że przyjdzie do siebie, pozna siebie. Te wiersze mają jednak w sobie dziwną lekkość, taniec ze śmiercią – wokół śmierci – oswaja ją i być może dokądś prowadzi. W wierszach Kofty nie ma Boga, przeznaczenia – jedynie Przypadek. Ocale nie może przynieść czyjaś obecność. Cały świat zawiera się między dwójkiem bliskich ludzi.

Jak obsesja pojawia się obraz czarnych słońc: „płonę zimnym ogniem czarnych słońc”. Czarne słońca z Apokalipsy powróciły też w obrazach, które zaczął malować. – Próbował zmienić coś w swoim życiu – mówi Piotr Kofta. – Odkopywał rzeczy, które robił wcześniej, zanim zaczął pisać: postanowił wrócić do malowania. Eksperymentował z farbami. Malował na wielkich deskach. Całkowicie go to pochłaniało. Pozostała szafa pełna sprzętów malarskich, a podłoga do dziś jest zachlapaną – specjalnie ją tak zostawiono.

Lata 80. to nie był czas dla niego. A lata 90.? Czy odnalazłby się w nowej rzeczywistości? Pojawiło się znowu miejsce na artystów spoza głównego nurtu. Znalazłby może swoją publiczność.

– Poradziłby sobie, gdyby uporał się sam ze sobą – mówi syn. – Szkoda, że zniknął właśnie wtedy, gdy ja zyskiwałem świadomość.

– Jonasz był dla mnie jak tęcza. Może czasem z którymś z kolorów było coś nie w porządku, ale całość była cudownym zjawiskiem – mówi żona. Wiele lat po śmierci znalazła wśród papierów nieznaną wierszoplamioną kawę. Musiał powstać późno – brzmi jak pożegnanie: „Dobrze, że byłeś”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE JADWIGI KOFTY

„Nie jesteśmy przecież tacy, jacy w lustrze się widzimy”

„Fachowcy”
Jonasz Kořta, Stefan Friedman

Na ucho

- Czy uważa majster, że możliwe jest istnienie krasnoludków?
- Leleputów?
- Nie, krasnoludków. Takich małych uroczych stworków w czerwonych czapczkach.
- A kto według ciebie wręcza kwiaty jubilatowi?
- To są dzieci, małe dzieci.
- He, he... to ty jesteś dziecko, docent. Wręczenie kwiatów jubilatowi to jest poważna uroczystość, a dzieci jak to dzieci, zapatrz się, zagapi, wręczy nie temu, komu trzeba. Kwiaty wręcają specjalnie wyszkolone leleputy.
- No tak, ale między liliputem a krasnoludkiem jest zasadnicza różnica. Liliput to jest człowiek, który z jakichś tam przyczyn nie urosł, a krasnoludek to...
- No wał, docent, te teorie.
- ...a drugi to twór wyobraźni, gnom, skrzat, troll, baśniowa postać zamieszkująca...
- ...piwnice pod szóstką.
- Jest majster pewien?
- A jak? Dozorca mnie mówił, że znalazł już trzech takich utopionych w zacierze.

- Może to były karaluchy?
- W każdym razie też były małe. He, he...
- Pan majster żartuje. W świetle nauki...
- W świetle nauki można zlecieć na pysk ze schodów, jak jest przepalona żarówka na klatce. Ty mnie tu światłem nauki po oczach nie jeżdź. Ja parę lat na świecie żyję i byłem kiedyś na kolarci z jednym krasnoludkiem. Był malutki, miał czerwoną czapczkę z daszkiem, koszula biała, żółte szarfy na krzyż, rękawy czerwone, bryczesy, buty z ostrogami i różdżka, co wyglądała jak bat.
- Pozwalam sobie zauważyć, panie majster, że to jednak chyba był dżokej. I to w barwach stajni Markuszewo.
- Możliwe. Dał mi nawet dobre typy.
- Wygrał majster?
- Nie bardzo, ale miałem sportową satysfakcję. Mój faworyt był w pierwszej piątce.
- A ile koni biegle?
- Pięć. Docent, ty, zdaje się, chcesz zatruć atmosferę pomiędzy ludzkich stosunków pomiędzy nami.
- Ależ skąd, panie majster. No, ale czy nie sądzi pan, że krasnoludek, chociaż nie istnieje, w jakimś tam sensie istnieje naprawdę? Zamieszkuje świat naszych marzeń, wzbogaca nasze życie wewnętrzne i tym samym realnie wpływa na jakość naszego dnia codziennego.
- Ty mądrze mówisz, docent, tylko głupio. Jak według ciebie to, czego nie ma, może wpływać na to, co jest?

- I tu jest sęk pogrzebany.
- Nie teoryzuj, docent.
- Brak piwa wpływa na postępowanie majstra tak samo, jak odczuwalny brak krasnoludków może wpływać na samopoczucie... magazyniera przed remanentem.
- A ty mnie, docent, odpowiedź! Co mnie to obchodzi?
- Krasnoludki majstra nie obchodzą? Przecież każdy był kiedyś dzieckiem.
- Może ty, ochwiaro, byłeś i zostałeś! Ja byłem najsmampier terminator, potem czeladnik, a teraz jestem kto?
- Stary głupek.
- Coś ty powiedział?!
- Gary Kuper.
- Jak?
- Stary głupek!
- Powtórz, bo zdaje się, że się przesłyszałem.
- Kary słupek!
- Jaki słupek? Coś ty, docent!
- Majster, przecież mówię wyraźnie: Gary Kuper!
- A... ten aktor... podobny jestem?
- No właśnie... Jary dupek!
- Co takiego?!
- Niech majster pójdzie do doktora, żeby mu uszłę muszną przepłukał.
- Uszłę muszną?
- No, muszłę uszną, no!
- A muszłę to zrobić?
- Myślę, że muszli majster to żłobić.
- Co muszłę?
- Uszną!
- A nic mnie nie urzną?
- Co mają urznąć? Tylko muszłę uszną. Muszą musnąć, żeby majster się nie przesłyszał.
- Docent, ja nic z tego nie rozumiem.
- Majster ma osłabiony słuch i dlatego powinien się poddać ryczeniu.
- Cooo?!
- No, widzi majster, wyraźnie symptomy osłabienia słuchu. Musi się majster poddać leczeniu.
- Na co?
- Na słuch! Obu uch!
- Uff, jak gorąco... może byśmy się... zaschło mnie...
- Czemu nie?
- To nic nie mów, tylko leć!
- A co majster sobie życzy?
- Ja sobie życzę, żeby świat był piękny, ludzie życzliwi, krasnoludki nienachalne, żeby sady obginały się pod ciężarem owoców, żeby róże rozwijały się z pąków, żeby pola falowały dojrzałym zbożem i żeby małe piffo było zimne, a nie ciepła lura, która mnie się pewnie na uszy rzuciła.

„Fachowców” – kultową audycję Kořty i Friedmana – słuchano w latach 70. w III Programie Polskiego Radia. Książka z tekstami ukazała się w wydawnictwie Zamek.

Fachowcy: Kořta i Friedman

JIMI TENOR, jeden z najbarwniejszych muzyków nowych brzmień, wreszcie przyjeżdża do nas na koncert

Mówi się o nim „gwiazda pop-kiczu”. Kiedy pytam Jimiego Tenora, czy się identyfikuje z takim określeniem, on odpowiada jednak: „Raczej nie”. Ale kto bierze dziś serio tego Fina z Lahti ożenionego z Amerykanką, mieszkającego w Barcelonie, zakochanego w saksofonie i organach Hammonda, funkku i soulu, nagrywającego z orkiestrą symfoniczną z Łodzi, a do tego mieszkającego wszelkie odmiany współczesnej elektroniki z techno na czele? Naprawdę nazywa się Lassi Lehto. Jimim stał się w hołdzie dla – przypominającego go (sic!) w młodym wieku – Jimmiego Osmonda z amerykańskiej grupy The Osmonds. Tenorem – w podzięce dla ulubionego instrumentu, saksofonu tenorowego. Po latach nauki w konserwatoriach Tenor opanował także grę na flecie i fortepianie oraz podstawy kompozycji. Gdy dziś zagaduję o muzykę poważną, mówi: „Słucham jej, ale od czasu do czasu, w zależności od nastroju. Ostatnio kupiłem jakiś komplet dzieł Strawińskiego”. A zatem nic z Sibeliusa? „O nie! Nigdy. Nie lubię go. Dla mnie jest naprawdę nudny, zbyt romantyczny, zostawiam go fińskiej publiczności i, myślę, także angielskiej. Tak, oni lubią Sibeliusa”.

Artystyczny emigrant

W latach 1989–1992 wchodził w skład fińskiej industrialnej formacji Shamans, z którą nagrał cztery albumy i... ostatecznie wyjechał z Finlandii. Przez chwilę mieszkał w Berlinie, później jednak na dłużej osiadł w Nowym Jorku, gdzie – na ostatnim piętrze Empire State Building – parał się fotografią turystyczną. To w Nowym Jorku odkrył, że można grać „trochę” inaczej. To w kuchni swojego nowojorskiego mieszkania zarejestrował swój pierwszy album „Sähkömies”, który w roku 1994 wydała fińska wytwórnia Sähkö. Ujawniał fascynację soulem, funkiem oraz swobodnymi improwizacjami, quasi-jazzowymi, podłanymi koktajlowymi, elektronicznym brzmieniem (podobnie kolejny – „Europa” z roku 1995).

Sensacją okazała się jego trzecia płyta „Inter-vision” (1997), nagrana już dla słynnej angielskiej wytwórni Warp. Szaleńczo i futurystycznie funkował, odwoływał się do tradycji ciepłych soulowych brzmień Isaaca Hayesa i Barry’ego White’a (zmysłowe melodeklamacje), wyrafino-



FOT. OUTSIDE MEDIA

Elektronika i marynaty

wanie improwizował w słynnej „Karawanie” Ellingtona czy wreszcie perwersyjnie hipnotyzował elektroniką w „Sugardaddy”. Cieniutki i rzadko pojawiający się głosik Tenora potrafił uwieść, podobnie zresztą jak improwizacje na hammondzie czy ulubionym saksofonie tenorowym.

Tanio, ale za drogo

Kiedy bardziej piosenkowy „Organism” (1999) okazał się krokiem wstecz, Tenor wymarzył sobie album orkiestrowy. Do realizacji przedsięwzięcia wybrał (trochę przypadkiem, trochę ze względów ekonomicznych) Orkiestrę Teatru Wielkiego w Łodzi prowadzoną przez Tadeusza Kozłowskiego. I tak jesienią roku 1999 w absolutnej tajemnicy przed całym światem Fin nagrał w Polsce nowy materiał: próbował w Łodzi, rejestrował w Warszawie. Nikt o niczym nie wie-

dział, nawet jego wytwórnia Warp, która pozostawiła mu *carte blanche*. Album „Out Of Nowhere”, z białą-czerwoną okładką, ukazał się latem roku 2000, jesienią Jimiego Tenora w Warpie już nie było... „Podziękowali mi za współpracę, tuż po wydaniu płyty. Koszty albumu okazały się zbyt wysokie w stosunku do liczby sprzedanych egzemplarzy. Nie przyniosłem im zysku. Warp to kapitalistyczna wytwórnia. Niezależna, to prawda, ale zawsze skrzętnie licząca kasę”. Pomimo dużego aparatu wykonawczego słyszeć było jednak sporo aranżacyjnej nieporadności, niedopracowań i po prostu nieudanych kompozycji. Album wszędzie – poza Polską – otrzymał chłodne recenzje.

Dziś, po trzech latach od nagrania, Tenor przyjaźnie wspomina polski eksperyment. „Było OK. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Wszyscy byli dla mnie bardzo życzliwi. To była orkiestra z małego miasta [Małego? 800 tysięcy mieszkańców – przyp. „P”], a zatem myślę, że i dla niej było to również zabawne. Razem dobrze się bawiliśmy. Natomiast później miałem trochę kłopotu z innymi muzykami, z którymi koncertowałem i których przywoziłem z Ameryki. Nie byli tak dobrzy, no bo orkiestra z Łodzi okazała się znakomita”.

Faktem jest, że Tenor szybko znalazł porozumienie z naszymi muzykami. Na temat ich zakrapianych balang krążyły całe historie. Tenor polubił polskie jedzenie, nawiązał kontakty i obiecał powrócić na koncerty. Niestety, nic z tego nie wyszło. Trasę z orkiestrą grał, ale do Polski nie przyjechał – jego koncert w Jarocinie odwołano razem z całym zeszłorocznym festiwalem.

Kolejna płyta „Utopian Dream” (2001) to powrót do kameralnego, ciepło funkującego brzmienia. Czy ma już dość dużej orkiestry? „Nie, ale jest zbyt droga! Na razie mam plany związane z big-bandem jazzowym”.

Fotograf, projektant, reżyser

Pomimo dystansu Jimi Tenor dość aktywnie udziela się w środowisku zaprzyjaźnionych artystów: jako muzyk, instrumentalista, aranżer, remikser, producent. Oprócz muzyki Tenor od czasu do czasu nadal fotografuje, kiedyś kręcił nawet filmy (na przykład horror z Jusua Lounelem czy eksperymentalny dokument o wytwórni Sähkö Recordings). Cały czas projektuje ubrania, choć chyba ma na to coraz mniej czasu.

14 kwietnia fiński artysta zagra w warszawskim klubie CDQ (dzień wcześniej w Moskwie). W Warszawie nie wystąpi jednak z orkiestrą, lecz z sześciuosobowym składem (dęciakami i sekcją rytmiczną), grając kompozycje z ostatnich płyt. „Nie wiem, czy mam oczekiwać od występu w Polsce czegoś bardziej szczególnego niż gdzieś indziej. Bardzo lubię polskie jedzenie, chciałbym więc zjeść te wasze marynaty albo coś takiego...” – śmieje się do mnie.

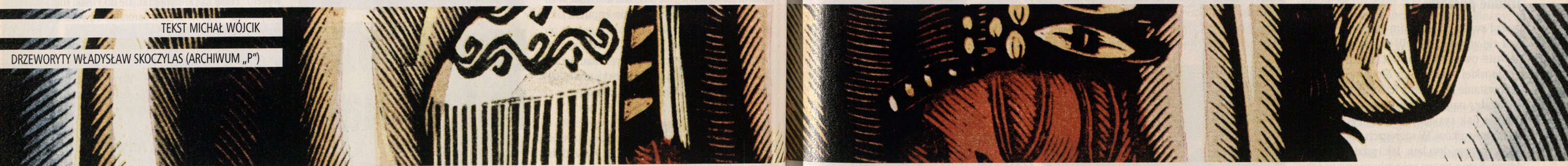
JACEK HAWRYLUK



„Co ci powiem, to ci powiem...” czyli prawdziwa historia Janosika

TEKST MICHAŁ WÓJCIK

DRZEWORYTY WŁADYSŁAW SKOCZYLAS (ARCHIWUM „P”)



Janosik rabował bogate kobiety,
by oddawać biednym dziewczynom.
Czasem na odwrót. Powiesili go za zabicie
księdza. Zanim zawisnął, wszystko,
co wcześniej nagrabił, albo stracił,
albo przepił, albo mu ukradli kompani

Janosika nie trzeba było torturować. Sypał jak z nut. Obwinał siebie i kompanów, nawet swojego byłego harnasia. Przyznał się do 11 napadów. Trochę płatał się przy kilku kolejnych zarzutach, ale w końcu tak się zapomniał, że wyszło na to, czego chciał prokurator. Po kilku godzinach procesu przed sądem w Liptowskim Świętym Mikuluszu zapadł jedyny możliwy wyrok. Janosik jako herszt bandy miał zawisnąć na haku.

Jak przysłało na zbójnickiego hetmana – za poślednie ziobro. Jego mistrz i poprzedni herszt, niejaki Uhorczik *vel* Marcin Mrowiec, miał być łamany kołem, zaś Jano Krutnica, trzeci z liderów grupy, ścięty. Do egzekucji doszło 17 marca 1713 roku. Jego Cesarska Mość Karol VI mógł ułaskawić oprychów, ale tego nie zrobił. Wyrok wykonano nazajutrz. O czym myślał dzielny harnaś przed kaźnią?

Zapewne o dziewczuchach. Jego zamilowała do wiejskich panien to jedyna wspólna cecha, jaka łączy go z filmowym Janosikiem. Wszystko inne twórcy filmu z roku 1973 – scenarzysta Tadeusz Kwiatkowski i reżyser Jerzy Passendorfer – wymyślili. Zupełnie inaczej widzą Janosika Agnieszka Holland i Katarzyna Adamik. Scenariusz realizowanej przez nie „Prawdziwej historii Janosika” ma pokazać harnasia jako postać złożoną i głęboką, a jego dramat jako tragedię epoki.

Od zbójnika do bohatera walki klas

Od ponad 150 lat górale uprawiali zbójnictwo i inaczej niż ludzie nizin postrzegali zbójnicki tryb życia. W połowie XIX wieku poeta epoki romantyzmu Bogusz

Zygmunt Stęczyński pisał o zbójnikach jako bohaterach ludowych. O samym Janosiku zaś: „Karcił on dumnych i uporczywych, wspomagał biednych i nieszczęśliwych. A osobliwie żaki, sieroty, cenił niewiasty wdzięki i cnoty. Nie lubił Żydów ani lichwiarzy, ani pochlebstwa, ani potwarzy. Czasem zaglądał i do kościoła...”.

Kilkanaście lat później badacz góralszczyzny karpackiej Wincenty Pol pisał, że zbójnictwo było dla górali naturalne: „Każdy Hucuł musi być choć kilka miesięcy lub lat opryskiem, boby go żadna dziewczyna nie kochała i nie miałby poważania na wsi”. Inny folklorysta Ludwik Zejszner dowodził z kolei, że młodzi szli w góry, gdy złamali prawo. Tworzyły się bandy, a opowiadano o tych najodważniejszych. Również Kazimierz Przerwa-Tetmajer i Stanisław Witkiewicz

w zbójowaniu widzieli przejaw góralskiej fantazji. Odróżniali przy tym zbójników od zwykłych oprychów.

Sytuacja zmieniła się po II wojnie światowej. Górale stali się przykładem odwiecznej walki klas. Jerzy Reyman uznał przeciętnego harnasia za herolda nowej sprawiedliwości społecznej, mściciela ludowych krzywd. Władysław Ochmański uważał chodzenie „na zbój” za formę walki klasowej. Pisał: „Zbójnicy to biedota wiejska walcząca z panami”. Adam Przyboś posłużył się dialektyką marksistowską. Uznał zbójnictwo za stałe zagrożenie klasy panującej, a samych zbójników za sojuszników chłopstwa w jego walce o wyzwolenie.

Ale nie tylko historycy w tak różnorodny sposób postrzegają zbójnicki proceder. Także sami górale mają ambiwalentny stosunek

do działań swoich przodków. Na Słowacji, tam gdzie historyczny Janosik kradł i rabował, istnieją dwie tradycje patrzenia na jego dzieło. Zgodnie z jedną Janosik był bohaterem. Bogatym zabierał, by dawać biednym. Zgodnie z drugą był hersztem zwykłej bandy. Teraz za swoje przewinienia pokutuje w piekle.

W odróżnieniu od Słowacji, w Polsce Janosik jest jednoznacznie pozytywnym bohaterem. W legendach wyrównuje krzywdy społeczne, wspomaga nędzę, przeciwstawia się szlachcie, uosabia góralską swobodę, ucieka przed wojskiem i jest dobrym sługą Kościoła. Unika niepotrzebnego rozlewu krwi, funduje kaplice, składa wota, obdarza bogactwem kler. To, co ukradnie, sprawiedliwie dzieli, sprytnie ucieka przed pogonią, stosuje góralski kodeks honorowy. Do tego spisu pozytywnych cech trzeba by dodać jeszcze oczywiste męstwo i inteligencję, przebiegłość i zuchwałość. Ludowa tradycja przypisywała mu umiejętności wręcz nadprzyrodzone. Miał latać na ciupadze jak czarownica na miotle. Przeskakiwać Tatry na linie. Biegać szybciej niż sarna. Podobno był wielki jak najwyższa sosna. Raz rabował na Morawach, a jeszcze tego samego dnia widziano go na Śląsku.

Trudne początki

Był zwykłym wiejskim chłopakiem. Urodził się w roku 1688. W dzieciństwie pał pewnie owce na hali, pochodził bowiem z chłopskiej rodziny. Gdy Morawy opanowało powstanie Franciszka Rakocznego przeciwko władzy najjaśniejszego cesarza Józefa I, Janosik jak tysiące górali przyłączył się do buntowników. W szeregach powstańców walczył przez dwa lata. Jak i gdzie - nie wiadomo. Samo powstanie stłumiono w roku 1711. Wtedy jednak naszego bohatera w szeregach buntowników już nie było. Młody chłopak po prostu wrócił do domu. Stąd do woja zabrali go cesarscy.

Po dwóch latach przyszły zbójnik wrócił do domu. W armii Janosik oszałamiającej kariery nie zrobił. Został strażnikiem zamkowym. Dziś powiedzielibyśmy: klawiszem. Służył na zamku w Bytczy. Właśnie tam za zbójowanie trafił do zamkowego lochu Tomasz Uhorecznik. Janosik ze słynnym więźniem musiał widywać się codziennie. Przyносił mu do celi nie tylko jedzenie i picie, lecz także wiadomości z zewnątrz. Między starym wygą a gołowąsem musiała się zawiązać nić sympatii.

Po roku, gdy Janosik był już w domu, przed drzwiami pojawił się niespodziewany gość. To Uhorecznik. I wtedy się zaczęło.

Krótką historia zbójowania

Obywatel cesarsko-królewski Jerzy Janosik, syn Marcina, rozpoczął swój nikczemny proceder „na św. Michała”. Czyli gdzieś w okolicy 29 września 1711 r. Wtedy właśnie przyłączył się do bandy Tomasza Uhorecznika. Już tydzień później zszedł z gór na morawską stronę. Zbójnickim zwyczajem wyrósł jak spod ziemi przed szanowanym kupcem tekstylnym Janem Sipasem. Zapewne prosił po dobroci i po dobroci dostał. Cały zwój płótna na koszule. Rabunek przebiegał elegancko i bez kłopotów. Na tyle grzecznie i taktownie, że po roku Janosik znowu pojawił się w magazynie Sipasa. Tym razem z magazynu wyniósł pas i cztery złote. Pierwszy rabunek opłacił się bardziej. Janosikowi jako najmłodszemu stażem w bandzie przypadło 70 złotych. Pieniądze te stracił jednak bezpowrotnie, bo o pospieszną pożyczkę poprosił go szef. Szefowi się nie odmawia. Tym bardziej że Uhorecznik miał się żenić.

Tydzień po przyłączeniu się Janosika do grupy odbył się ślub szefa. A potem działy się rzeczy dla dzisiejszego obserwatora co najmniej dziwne. Uhorecznik, sławny harnaś i przywódca grupy, postanowił bowiem ni z tego, ni z owego wycofać się z branży. Bez powodu. Swoją ciupagę oddał Janosikowi - najmłodszemu w bandzie. Osiadł we wsi i ku zdumieniu wszystkich zaczął hodować kozy i owce. Odtąd nazywał się Marcin Mrowiec.

Emerytura Uhorecznika to tylko kamuflaż. W rzeczywistości prowadził bazę wypadową dla zbójników. Nocował ich, magazynował



zrabowane dobra, umawiał paserów, prowadził intensywny wywiad. „Na zbój” chodził tylko z Janosikiem, bez reszty kompanów. Nie ryzykował, cieszył się życiem. Wobec Janosika był lojalny i przyjacielski. Między zbójami nie mogło zatem dojść do pojedynku, jaki znalazł się w filmie Passendorfera: Janosik pokonał w nim szefa i sam obwołał się hetmanem. W rzeczywistości władza w bandzie przeszła z rąk do rąk pokojowo, bez rozstrzygającego pojedynku na tle Giewontu.

Janosik zbójował tylko półtora roku - od września 1711 do początku roku 1713.

Przez ten czas przeprowadził kilka śmiałych napadów i raz siedział w kryminale. Zaraz po napaści na kupca Sipasa w górach Krzemienieckich napatoczył się na samotnego jeźdźcę. Okazało się, że to pocztowy. Chłopak stracił tytoń. Janosikowi udało się jednak wykraść cenniejszą rzecz. Była to informacja. Zbójnicy dowiedzieli się, że zaraz za pocztowym podążać będzie w kierunku Turcji pan Jan Radwański. Radwański stracił juki.

Po tej łatwej zdobyczy nadarzyła się kolejna okazja. Wdowa po cesarskim oficerze Scharbon przejeżdżała koło Wychodnej. Mimo że honorowy kodeks zbójnicki tego zabraniał,

banda zrabowała jej cały dobytek. Janosik przed liptowskim trybunałem z rozbijającą szczerością wyznał, że jemu przypadły w łupie dwa stroiki. Czy obdarował nimi jedną dziewczuchę, czy też najpierw jedną, a potem drugą - trybunał już nie dociekał. Resztę łupów Janosik miał schować, a potem stracić. Jeden z pomocników po jego odjeździe zakradł się do schowka i wszystko wyniósł.

Nie inaczej stało się z kolejnym łupem - podobno najcenniejszym z całego okresu zbójowania. Mówią bowiem o nim legendy i podania. Koło Turczy Janosik urządził zasadzkę na pana Pavla Revai. Znaczny to był

szlachcic i znaczny też stracił dobytek. Janosikowi przypadła w udziale srebrna szabla. Kolegom, jak wyznał śledczemu, po jednej strzelbie. Niestety, po napadzie zbójnicy musieli nieźle popić, bo szabla zniknęła wraz z dwoma towarzyszami. Koledzy Janosika najprawdopodobniej ulotnili się za granicę.

Po brawurowym ataku na szlachcica przyszła kolej na młodego panka, który jechał na swój ślub. Janosik miał puścić go wolno, ale nakazał wracać tą samą drogą. Szlachcic słowa dotrzymał. Janosik nie tylko obdarował go wysadzaną diamentami szablą, lecz jeszcze miał przetańcować z panną młodą całą noc

i obsypać złotymi talarami. Tyle podanie. Protokół z przesłuchania o wspólnym tańcowaniu milczy.

Pewnego razu przekraczała w bród rzekę Wag żona parocha od św. Jana. Janosik nie wchodził w tym wypadku w szczegóły napaści na niewiastę, a prokurator nie pytywał. Podobnie było z następnym napadem. Ofiarą znowu była kobieta, bliżej nieznana, która straciła jednego cesarskiego talara. Na kolejną akcję Janosik wyprawił się ze starym kompanem - Uhorecznikiem. Nie przemęczali się. Złapali plebana z Orawy. Jego kapelusz zdobył potem głowę Uhorecznika. Potem był niejaki pan Skalka. Janosik zapamiętał, że pierścienie, zegarki i łyżki rozdał swoim kobietom. Pałasz, siodło, szaty, pełne juki schował pod podłogą w jakimś młynie.

Następny napad też jakoś uszedł pamięci Janosika. Nieprzymuszony torturami wyznał w końcu, że łupem zbójników padła cała karawana z winem. Być może właśnie wtedy pojawiła się legenda o dzielnym harnasiu, który rozdawał łupy biednym, bo cała banda wypila zagrabione wino z woźnicami. Zabawa przy wozach trwała dwa dni i dwie noce.

Ofiarami harnasia nie byli jednak tylko najbogatsi. Można nawet stwierdzić, że najczęściej nie oni. Mimo to wszystkie te napady nie kwalifikowały się do ukarania Janosika ścięciem ani szubienicą. To ostatni skok okazał się tragiczny w skutkach. Wyczyn harnasia był na tyle bulwersujący i głośny, że hajducy energiczniej niż do tej pory zabrali się do szukania uciążliwego złodzieja.

Zabić księdza

A było to tak. Janosik wracał właśnie od Uhorecznika. Jego towarzysze Planczik z Dunajowa i Turjak zwany Huncaga szli obok. Nagle koło Taczkowa z oddali spostrzegli ciemną postać. Nie było wątpliwości. Napatoczył się kolejny ksiądz. Strudzony wędrówką pleban z Demanicy przystanął właśnie koło studni. Raczył się chłodną wodą, gdy wypalił do niego z pistoletu Planczik. Nie trafił. Drugi strzał, zdaniem Janosika z huncagowej broni, był celny. Pleban padł martwy. Kilka dni później spętany Janosik relacjonował wszystko przed trybunałem. Nie pomógł mu obrońca, który przekonywał, że wszystkiemu winien Uhorecznik. Nie pomogło obwinianie kumpli. Nie pomogło nawet zapewnienie obrońcy, że Janosik skończył już z profesją i chce odkupić zbrodnie i winy. Na drugi dzień po procesie zawisł na haku.

Dlaczego zginął? Pytanie powinno raczej brzmieć: dlaczego zginął tak późno? Aby na nie odpowiedzieć, cofnijmy się do czasu sprzed jego zbójnickiej kariery. Jak wspomnieliśmy, zanim trafił do cesarskiej armii, Janosik był powstańcem. Powstanie Rakocznego

Janosik latał na ciupadze, przeskakiwał Tatry, biegał szybciej niż sarna, był wielki jak najwyższa sosna



zostało krwawo stłumione w roku 1711 i właśnie wtedy zaczęła się jego zbójnicka kariera. Z akt procesowych wynika, że przez półtora roku Janosik podawał się za „krucza”, czyli powstańca. Oznaczałoby to, że rabował jakby nie na swój rachunek.

Dwuznacznie wyglądają również jego stosunki z ówczesnymi służbami bezpieczeństwa. Wiadomo bowiem, że został schwytany już po kilku miesiącach swojej działalności. Trafił do kazamatów twierdzy hrahowskiej. Wiceżupan Małohontu wypuścił go jednak na wolność. Wszystkie wskazuje na to, że Janosik uniknął pierwszego procesu dzięki przekupstwu. Oprócz wiceżupana Małohontu Janosik opłacał najprawdopodobniej sędziego z Oczadnicy, naczelnika hajduków Jana Litiskiego, urzędników miejskich Rajka z Miechowa i Wródlaka ze Skalicy. Wiadomo, że tym ostatnim wręczył po srebrnym pucharze. Z kolei żonę komendanta warowni murańskiej ubierał w zagrabioną garderobę.

Wiele wskazuje na to, że Janosik czuł się zupełnie bezkarnie, zdając sobie sprawę, iż jest pod kuratelą przekupnych urzędników. Dlaczego zatem wpadł? Przesadził z aktami



Janosik zginął wyłącznie

wskutek pośpiechu

zbyt gorliwych urzędników

przemocy. Skorumpowani urzędnicy mogli ochraniać pijaka i złodzieja, dopóki im płacił i nikogo nie wysłał na tamten świat. Jednak gdy zabił księdza i w sprawę włączyła się Święta Inkwizycja, wyrok mógł być tylko jeden.

A jednak miejscowym góralom trudno do dziś uwierzyć, że Janosik był zwykłym

zabójcą i złodziejem. Legenda mówi, że zginął wyłącznie wskutek pośpiechu zbyt gorliwych urzędników. Gdy cesarz Karol VI dowiedział się o procesie Janosika, postanowił go uniewinnić, znał go bowiem z dobrej strony. Kilkanaście lat wcześniej, w roku 1683, Janosik (ten historyczny jeszcze się nie narodził) wraz z kompanami ze wsi miał przybyć na odsiecz Wiednia i pomóc dalekiemu

krewnemu Karola Leopoldowi I w pokonaniu armii tureckiej. W nagrodę Janosik miał uniknąć strasznej kary. Poślaniec cesarski pędził ze stolicy

dwa dni i dwie noce. W końcu dojechał do Mikulasza. Nie mógł jednak przekroczyć rzeki, bo tego dnia wezbrała. Nie zdążył. Janosika powieszono, ale pamięć o nim przetrwała. A za powieszenie harnasia miasto musiało wysłać cesarzowi raz do roku garnek pełen talarów. Na biednych.

MICHAŁ WÓJCİK

JANOSIK JAK DICAPRIO

W TEJ POSTACI JEST DETERMINACJA SAMOBOJCZY – O „PRAWDZIWEJ HISTORII JANOSIKA”, KTÓREGO PRODUKCJA WŁASNIE SIĘ ROZPOCZYNA, MÓWIĄ REŻYSERKI FILMU AGNIESZKA HOLLAND I KASIA ADAMIK

AGNIESZKA HOLLAND

– Jest to magiczna historia, zepsuta u nas niestety zupełnie przez serial, który ma się do niej nijak, nie umie jej sprostować ani w stylu, ani w napięciu, ani w dramatyzmie, jaki się z nią wiąże. A to jest ballada ludowa skrzyżowana z grecką tragedią, rzecz o wolności, o wyborach, o dotykaniu ekstremów. Szalenie atrakcyjna dla wyobraźni zbiorowej.

Słowacka kultura ludowa jest mi szczególnie bliska, choćby przez Laca Adamiaka, który był moim po niej przewodnikiem. Obok celtyckiej to być może najbogatsza kultura w Europie, a dotąd nieeksploatowana, będąca ziemią dziewiczą. To też okazja do zagłębienia się w naszą góralszczyznę, podobną w stylu życia, w mitologii. Granice są w gruncie rzeczy sztuczne, umowne, więcej jest elementów wspólnych niż różnic.

Chcemy wejść w sensualność tego świata i otrzeć się o eschatologię. Ale oczywiście w filmie rozrywkowym, atrakcyjnym, trochę innym niż to, co robiłam do tej pory.

KASIA ADAMIK

– W tej opowieści interesuje nas prawdziwy człowiek, nie chodząca legenda. Tak samo interesuje nas prawdziwy góralski folklor, a nie cepelia. Kręcimy po słowacku, czesku i polsku. Janosik, jeśli zostanie nim polski aktor, będzie się musiał nauczyć dwóch pozostałych języków. To nie będzie amerykański film, gdzie język angielski używany jest bez względu na realia i miejsce akcji filmu.



FOT. JACEK POREMBA

Historia Janosika, którą chcemy opowiedzieć nowocześnie, będzie fragmentem życia bardzo młodego chłopca. Jakby wbrew sobie zostaje on wchłonięty w legendę. Janosik będzie młody, charyzmatyczny i szczęśliwy. Otwarty i ciepły. Nagle ten chłopiec, jeszcze z takim młodzieńczym rumieńcem, staje się sławnym harnasiem, którego wszyscy się boją, podziwiają, o którym śpiewają piosenki. Właśnie ten moment jego życia będzie kluczowy w filmie. Dojrzwanie do roli bohatera. Wchodzenie w legendę – przy równoczesnej przemianie młodzieńca w mężczyznę. Mniej się koncentrujemy na jego dzieciństwie czy śmierci. Przekładając na dzisiejsze realia – to historia o rodzącej się karierze. Tak jak było z Leonardo DiCaprio.

W pewnym momencie jego kariera wymyka mu się spod kontroli, Janosik – podobnie jak Leonardo – staje się niewolnikiem medialnego wizerunku. Dziewczyny, które się w nim kochają, znają go wyłącznie jako postać legendarną, jako sławnego zbójnika. Tymczasem on dopiero dojrzewa do tej roli. Dla nas ważne jest pytanie: jak sława Janosika wkręca go w przeznaczenie, które w końcu prowadzi go na szafot.

On nie zamierza ukrywać swoich przestępstw. Mało tego: będzie dumny ze swojego życia i sławy zbójnika. Janosik zawsze mówi ofiarom, kim jest, kto ich okradł. Tak jakby chciał upewnić się, że nie ma już odwrotu. Jest w tym jakby determinacja samobójcy.

W historii tej ważne są dwie osoby: Uhorczik i Janosik. Stary mistrz i uczeń – dwaj przyjaciele. Starego harnasia i młodego górala połączy prawdziwie męska przyjaźń. Z akt procesowych historycznego Janosika wynika, że Uhorczik wykorzystał młodego niedoświadczonego górala. Kreował go na swojego następcę.

Chciałybyśmy, aby w filmie czuło się duszę i gór, i ludzi. To nie będzie tylko kino akcji. Zaprosimy choreografów do opracowania tańców i bójek, ale chcemy to pokazać w nowoczesny sposób. Musimy znaleźć jakiś nowy język wizualny, który pokaże góralskie bójki inaczej. Nie w stylu filmów kung-fu. W scenariuszu jest bardzo mało dialogów, zamierzamy opowiadać głównie obrazem, nie słowami.

PIĘKNA I GARBUS

Z listów Georga Christopha Lichtenberga o Marii Dorothei

Do Gottfrieda Hieronymusa Amelunga ^[1]

[Początek 1783 r.]

Najdroższy mi ze wszystkich Przyjacielu, oto, mój drogi, co nazywam prawdziwie niemiecką przyjaźnią. Tysięczne dzięki za Pańską pamięć o mnie. Nie odpowiedziałem natychmiast, Niebo jednak wie, co się ze mną działo! Pan jest i musi być pierwszym, któremu to wyznam.

Ubiegłego lata, wkrótce po Pańskim ostatnim liście, poniosłem największą w życiu stratę. O tym, o czym Panu opowiem, nie powinien wiedzieć NIKT. W roku 1777 (siódemki doprawdy niewiele są warte) poznałem pewną dziewczynę, córkę mieszczańską, z tutejszego pochodzącą miasta, miała wówczas nieco ponad 13 lat ^[2]. Nigdy wcześniej w moim życiu nie widziałem nikogo, kto byłby takim wzorem urody i łagodności, choć widziałem wiele.

Pierwszym razem, gdy ją zobaczyłem, znajdowała się w towarzystwie 5 lub 6 dziewcząt; jak czynią to tutejsze dzieci, sprzedawały na murach kwiaty przechodniom. Zaoferowała mi bukiet, który kupiłem. Było ze mną 3 Anglików, którzy mieszkali i stawali się u mnie. *God almighty* – powiedział jeden z nich – *what a handsome girl this is* ^[3]. Ja też to zauważyłem, a ponieważ wiedziałem, jaką Sodomą jest nasza miejscina, postanowiłem odwiedzić jakoś to cudowne stworzenie od takiego handlu. Wreszcie zdołałem rozmówić się z nią na osobności.

Poprosiłem ją, by odwiedziła mnie w domu. Odpowiedziała, że nie ma zwyczaju chodzić do mieszkań studenckich. Kiedy się jednak dowiedziała, że jestem profesorem, przyszła do mnie któregoś popołudnia wraz ze swą matką. Mówiąc krótko: porzuciła handel kwiatami i całymi dniami przebywała u mnie. Wówczas stwierdziłem, że w tym doskonałym ciele mieszkała dusza, jakiej od dawna szukałem, ale nigdy nie zdołałem znaleźć.

Uczyłem ją pisaną, rachunków i innych jeszcze rzeczy, które nie czyniąc z niej sentymentalnej trzpiotki, rozwijały jej umysł. Moją aparaturą fizyczną, warta ponad 1500 talarów, intrygowała ją początkowo swym metalicznym połyskiem, a w końcu stała się jej jedyną rozrywką. Nasza znajomość osiągnęła teraz apogeum. – Wychodziła późnym wieczorem,

wracała wczesnym rankiem i przez cały dzień troszczyła się o utrzymanie w należytym porządku moich rzeczy, poczynając od krawata, a kończąc na pompie próżniowej, i to z tak anielską delikatnością, jakiej wcześniej nigdy nie zdołałbym sobie wyobrazić.

Skutek, którego już się Pan pewnie domyśla, był taki, że od Wielkanocy roku 1780 na stałe przeniosła się do mnie. Jej zamiłowanie do takiego sposobu życia było tak wielkie, że już nawet nie wychodziła do miasta, zdarzało się to jedynie wówczas, gdy udawała się do kościoła i do komunii. Nie sposób było wyciągnąć ją z domu. Wciąż byliśmy razem. Gdy była w kościele, zdawało mi się, że odesłałem gdzieś własne oczy i wszystkie moje zmysły.

Jednym słowem: bez kapłańskiego błogosławieństwa (proszę mi wybaczyć to wyrażenie) została moją żoną. Nie potrafiłem bez głębokiego wzruszenia spoglądać na anioła, który przystał na taki związek. Nieznośną była mi myśl, iż poświęciła dla mnie wszystko, nie zdając sobie może nawet całkiem sprawy z ogromu tego poświęcenia.

Sadzałem ją przeto u stołu, gdy odwiedzali mnie przyjaciele, kupowałem suknie, stosowne do jej sytuacji, i kochałem ją z każdym dniem coraz bardziej. Miałem poważny zamiar połączyć się z nią i przed światem, o czym i ona zaczęła mi niekiedy napominać. Wielki Boże! I ta właśnie anielska dziewczyna umarła mi 4 sierpnia 1782 o zachodzie słońca.

Wzywałem najlepszych lekarzy, czyniono wszystko, wszystko, co w ludzkiej mocy. Proszę rzecz całą rozważyć, drogi przyjacielu, i pozwolić, że na tym zakończę. Napisanie czegokolwiek więcej przekracza moje możliwości.

G.C. Lichtenberg

Proszę podrzeć ten list i zachować go jedynie we wspomnieniu, jako znak mojej przyjaźni dla Pana, jedyne spośród szkolnych kolegów, który o mnie pamiętał!

^[1] Gottfried Hieronymus Amelung (1742–1800), pastor, przyjaciel Lichtenberga z czasów szkolnych. Jego najmłodszy syn był chrześniakiem Lichtenberga.

^[2] W rzeczywistości Maria Dorothea miała wówczas 11 lat.

^[3] Boże Wszechmogący, cóż za cudowna dziewczyna (ang.).

Ponadto w 78. numerze „ZL”: ■ wiersze Dickinson, Hölderlina, Kronholda, Szubera, Zagajewskiego ■ Zbigniew Herbert, fragment listu do N.N. – przyjaciela ■ V.S. Naipaul – Nobel 2001: o pisaniu i czytaniu ■ Wojciech Karpiński o odnalezionej wersji „Kosmosu” Gombrowicza

Pamiętam jak przez sen

Wkładałeś kiedyś książkę pod poduszkę, licząc na to, że po obudzeniu się zabłyśniesz fenomenalną wiedzą? Kto nie wkładał... Podobno niektórym pomagało

TEKST URSZULA KOKTYSZ
RYS. HANNA KOTOWSKA

Czy jest możliwe nauczanie się czegoś w czasie snu? To pytanie spędzało sen z powiek niejednemu naukowcowi.

Badanie tego problemu zyskało sporą popularność w latach 70. w ZSRR i Bułgarii. Być może wychodzono tam z przekonania, że człowiek socjalistyczny za dnia pochłonięty budową nowego ładu mógłby czas swojego nocnego wypoczynku przeznaczyć na coś znacznie bardziej pożytecznego niż banalne spanie.

Również w Polsce w tym okresie dokonywano interesujących eksperymentów.

Jedno z doświadczeń było na przykład przeprowadzane w koszarach wojskowych. Sprawę ułatwił być może fakt, że w wojsku wszystko robi się na rozkaz. Również śpi.

Grupa naukowców, lekarzy, inżynierów i pedagogów sprawdzała, czy śpiący żołnierze są w stanie nauczyć się języka angielskiego. Gdy koszary zapadały w sen, puszczały melodyjny sygnał, a potem mocny, ale spokojny głos recytował słowa i zdania angielskie. Zna-

mość języka sprawdzano przed i po eksperymencie. Nauka trwała miesiąc. Poszła w las. (Może zapomniano o wydaniu właściwego rozkazu...?).

Aaa, eee, ooo...

Komunizm upadł, śpimy jednak, jak spaliśmy, i aż się prosi, żeby pożytecznie zagospodarować ten czas. Bądź co bądź przesypiamy aż jedną trzecią swojego życia.

Naukowcy nadal więc w zaciszu laboratoriów prowadzą swe senne badania. Pewnych postępów dokonano ostatnio w tej dziedzinie w Finlandii.

Jak donosi fachowe czasopismo „Nature”, naukowcy z uniwersytetu w Turku badali u niemowląt aktywność ośrodków mózgu odpowiedzialnych za uczenie się. Robili to zarówno wtedy gdy maluchy spały, jak i podczas ich normalnej aktywności.

W czasie snu puszczało dzieciom z taśmy wypowiedziane wyrażenie samogłoski. Ich dźwięk powodował pobudzenie ośrodków mózgu, które odpowiedzialne są za

pamięć. Po obudzeniu powtarzano dzieciom te dźwięki – ich mózg reagował tak, jakby je pamiętał. Czy jednak pamiętał? Tego nie wiemy – niemowlaki, jak sama nazwa wskazuje, nie umieją mówić.

Wyspane kotki

Jedno jest pewne: zarówno małe dzieci, jak i zwierzęta przesypiają ponad 20 godzin na dobę. Co w tym czasie dzieje się w ich głowach? Uczni z University of California postanowili sprawdzić, wykorzystując do tego celu gromadkę rozbrykanych kociąt.

Okazało się, że sen bardzo korzystnie wpływał na procesy tworzenia się nowych połączeń między komórkami nerwowymi w mózgach zwierząt. Podobny proces zachodzi także w głowach ludzkich dzieci. Takie połączenia powstają na przykład wtedy, gdy próbujemy się czegoś nauczyć oraz pod wpływem stymulacji dostarczanej przez zdarzenia i informacje docierające ze środowiska.

– W dzieciństwie połączenia między neuronami w naszych

mózgach porządkują się, reorganizują – mówi prof. Michael Stryker, kierujący badaniami. – Mózg potrzebuje snu, by dojrzeć i osiągnąć stopień rozwoju obserwowany u osobników dorosłych – wyjaśnia. – Musi „poukładać” sobie wszystkie nowe informacje. Ma ich bardzo wiele, bo w tym wieku wszystko jest dla niego nowe.

Dowiedziano tego doświadczalnie. Jednej grupie kociąt po bardzo aktywnym dniu pełnym zabaw i nowych wrażeń pozwolono zapasać w sen, podczas gdy drugą grupę przetrzymywano w stanie bezsenności w ciemnym pomieszczeniu. W tym czasie za pomocą specjalnych urządzeń rejestrowano fale mózgowe zwierząt. Wynik potwierdził oczekiwania: u tych kotów, którym pozwolono się wyśpać, liczba zmian w mózgu była dwukrotnie większa niż u ich ślaniających się na łapach kolegów.

Uczni wysnuli z tego wnioszek, że sen pomaga w lepszym funkcjonowaniu mózgu. Pozwala na utrwalanie i lepsze zapamiętywanie przeżytych doświadczeń u młodych zwierząt. W czasie snu bowiem

wspomnienia są zapisywane w tak zwanej pamięci długotrwałej. „Pojemność” mózgu zaś i jego zdolność przyjmowania nowych faktów znacznie się wtedy zwiększa.

Potwierdzają to także...

...ranne ptaszki

Ptaki śpiewające przez sen uczą się lepiej wykonywać swoje trele – orzekli badacze. To kolejne odkrycie dotyczące uczenia się i snu dr. Amisha S. Dave’a i dr. Daniela Margoliasha z University of Chicago. Zapisali oni impulsy z pojedynczych neuronów z odpowiedzialnego za śpiew rejonu mózgu małego ptaszka australijskiego – zeberki.

Rejestracji dokonywali, gdy zeberki śpiewały w czasie snu (gdy ptak słyszał nagranie swojego śpiewu) i w czasie niezakłóconej niczym drzemki. Zapisy były zaskakująco podobne. Zdaniem naukowców oznacza to, że ptaki „przechowują” swoje piosenki i odtwarzają je w głowie podczas snu, by osiągnąć mistrzostwo w trelach.

– Każdy samczyk śpiewa inaczej – mówi dr Margoliash. – Zdarza się, że we śnie rytm i melodia piosenki ulegają zmianom – ptaki eksperymentują, by rano jak najlepiej wypaść przed swoimi wybrankami. Nic dziwnego, od tego zależy ich powodzenie u samiczek.

Nie ucz się, ale śpij

Wniosek? Żeby śpiewając przechodzić egzaminy, maturzyści i studenci nie powinni wkuwać całą noc. Nauce można się poświęcać jedynie do chwili, gdy pocujemy nadchodzące zmęczenie. Wtedy należy ulec naturze i zażyć długiego snu. Procesy zachodzące w mózgu w tym czasie pozwolą nam nauczyć się takiej samej partii materiału, jakbyśmy kuli całą noc. A na dodatek wstaniami rześcy i wypoczęci jak skowronki.

Hmmm... Co jednak mają zrobić ci, którym oczy kleją się już w chwili wyciągnięcia książki z regału? Pozostaje im zawsze stara, dobra metoda. Podłóżyc książkę pod głowę i liczyć, że jej zawartość w jakiś cudowny sposób do rana znajdzie się w szarych komórkach. Pod warunkiem jednak, że uda się zasnąć. ■

MARZENNA NOWAKOWSKA I PIOTR SOCHA przedstawiają:

kOń bY się uśMiał

PODRZUTEK PO ZNAJOMOŚCI

„Wykapana mamusia” – można śmiało powiedzieć nawet o adoptowanych dzieciach gągołów. Bo jajka do gniazd uczciwych kaczek podrzucają najbliższe kuzynki!

Oddawanie własnych dzieci pod opiekę obcym ptakom to proceder bardzo powszechny wśród kaczek – czernic, głowienek czy krzyżówek. Składają one jaja do cudzego gniazda, często nie zwracając nawet uwagi, czy należy ono do ptaka ich gatunku. W tym szernym towarzystwie wyróżniają się gągoły – bardzo wymagające przy wyborze zastępczej matki. Przekonali się o tym szwedzcy naukowcy. Nakłuwali oni gągołowe jaja, z każdego pobierali odrobinę białka i badali zawarty w nim kod genetyczny. A ten, nawet w jajach podrzuconych, był zaskakująco podobny do kodu wysiadującej je samicy.

Uczni poznali plan, według jakiego działa „kukułka” wśród gągołów. Otóż wiosną wraca ona do okolicy, gdzie przyszła na świat. Tam spędza sporo czasu w towarzystwie matki i sióstr. A kiedy cała gromad-



ka jest gotowa do składania jaj, jak gdyby nic wpada z wizytą do ich gniazd. Dbą tylko o to, żeby nie zastać nikogo z dorosłych. Na jej obronę trzeba powiedzieć, że kaczęta gągołów wymagają minimalnej opieki. Spędziwszy zaledwie dzień w dziupli, wyskakują na ziemię i maszerują do stawu. Od razu świetnie nurkują i pływają, a usamodzielniają się wyjątkowo wcześnie – już po kilku dniach! Zaś wykorzystywanie bliskich opłaca się niesłychanie – pasażerowie dwukrotnie więcej dzieci niż uczciwi rodzice.

Na podstawie „Proceedings of the National Academy of Sciences” z października 2000

SPÓR O DOM

Doskonałego przykładu dyskusji toczonoj długo, z ogromnym wysiłkiem i narażeniem życia, ale nieprzynoszącej skutków dostarczają gąsienice



Zanim dojdzie do krwawych walk, zwierzęta zwykle negocjują: ryczą, puszą się, błyskają niezwykle barwnymi. To uczciwe wskaźniki siły przeciwnika – przeraźliwie ryknąć potrafi tylko silny lew lub jeleń, a na intensywny kolor stać tylko bardzo dobrze odżywioną jaszczurkę. Gąsienice pewnych motyli z rodziny pawicowatych w trudnych sytuacjach prowadzą rozmowy. Drapią i uderzają powierzchnię liścia szczękami w charakterystycznym rytmie rytualnej debaty. I choć jej szmer doskonale słyszy nawet ludzkie ucho, a na biedne gaduły może spowodować głodnego ptaka, nie o dźwięki chodzi, bo gąsienice są głuche. Liczy się intensywność wibracji przenoszonych przez liście. Silne drgania oznaczają mocnego przeciwnika.

Co jest przedmiotem dyskusji? Przytulny domek. Jego budowa jest wyczerpująca: trzeba znaleźć podatny liść, wyprodukować mnóstwo jedwabnych nici i zszyć zgrabny rulon. Nic więc dziwnego, że – jeśli tylko jest okazja – gąsienice próbują zdobyć domek bez pracy, przepędzając właściciela. I właśnie wtedy, zanim przystąpią do walki, negocjują. Zwykle parę minut, czasem godzinami. Domek jednak rzadko zmienia właściciela, bo gadatliwe gąsienice z trudem decydują się przejść od słów do czynów.

Na podstawie „Proceedings of the National Academy of Sciences” z września 2001

PIĄTKA KLEPKA

Prezentujemy bibliofilskie kurioza dla wyrafinowanych koneserów.

Kokkolino umęczony czyli listek smoczy radości, Warszawa 1827; unikat, istniejący tylko w jednym egzemplarzu (tłumaczenie z zaginionego oryginału włoskiego „Coccolino stuprato ossia una fogliolina del drago gaudente”); 336 s. (ostatnie trzy strony zniszczone przez poprzedniego właściciela zawierały opis straszliwego końca bohatera).

De obscoena eloquentia pigmeiorum. Dialogus hominum mortuum in statu omnipraesentiae (O sprośnej wymowności Pigmejów. Dialog ludzi martwych, w stanie wszechobecności pozostających) Basil 1567; 691 s.

The Book of Praying Desperation. The Reflections of Melancholic Vicar Foreboding His Immediate Damnation (Księga modlitwnej rozpacz. Rozmyślenia melancholijnego duchownego, przeczuwającego swe rychłe potępienie) Glasgow 1721, tom I 616 s., tom II (nieukończony, wydany pośmiertnie) 311 s.

Le Livre du Livre (Księga Księgi) Paris 1663, 796 s. Księga opisuje samą siebie, czyli okładkę, papier, a następnie kształt wszystkich liter, które się na tę księgę składają.

De la culpa de los marranitos. Las cuarenta causas por las cuales los hombres deben comer el jamon e possibilmiente todos los dias de la semana (O winie prosiąt. Czterdzieści powodów, dla których ludzie winni jeść szynkę możliwie we wszystkie dni tygodnia) Zaragoza 1686. Tomy I, II, III, IV, VI i VII zawierają łącznie 1617 s. Cały nakład tomu V, poświęconego spożywaniu szynki w piątek, został spalony przez inkwizycję. Grumpfenstilckingenpfors von Brauchnachnebelerschutzwitz (Grumpfenstilckingenpfors z Brauchnachnebelerschutzwitz) Leipzig 1784, powieść lotrzykowska o młodym bohaterze, który naraża się na setki niebezpiecznych przygód, próbując poprawnie wymówić swoje imię.

TOMASZ PIĄTEK

chwale, ale...



rys. MAREK SOBCHYZAFRYKI

Mam kłopot: po raz pierwszy muszę zaopiekować się trzyletnim dzieckiem. Czego mam się spodziewać?

- Najgorszego.

Pani jest babcią z wieloletnim stażem. Przyznaję, że spodziewałam się nieco innej odpowiedzi.

- I w tym tkwi twój błąd. Znasz mnie jako serdecznie zaprzyjaźnioną babcię dwudziestoparoletniego wnuka. Gdybyś nastąpiła 20 lat temu, zrozumiałabyś, że opowieści o słodkich wnuczątkach i zachwyconych babciach są zakłamanie jak wszystkie legendy. Dzisiejsze dzieciaki są inteligentne i to jest największa klęska.

Lepiej, żeby były głupie?

- Oczywiście! Te dawne, pocziwe, głupie dzieci potrafiły się bać: że tata da klapsa, że mama nie da deseru, że babcia będzie gderać cały dzień.

Pani Stefania, przecież teraz nie można byłoby dzieci straszyć. Każde takie straszone dziecko jako dorosły natychmiast wymagałoby wieloletniej terapii.

- A lepiej jest, że babcie jej wymagają? **Ale ja nie chcę od razu zostawać babcią, tylko przez kilka godzin muszę zająć się trzylatką.**

- To o wiele wygodniejsze. Będiesz miała problem z głowy po kilku godzinach, nie tak jak babcie - do końca życia. Rozumiem, że chcesz się mnie poradzić,

Bezstresowe wychowanie polski dla Polaków



co zrobić, żeby dziecko było syte, a ty cała. Moja matka miała niezawodną metodę: wszystko mi obiecywała.

Przecież nie wszystko można spełnić.

- Czasem trzeba wybierać, zwłaszcza gdy rodzina dopytuje się maleństwa: „Aniołeczku, co chciałbyś od Mikołaja? Rowerek? Konika? Komputerek?”. A aniołeczek wypala: „Kij bejsbolowy albo 15-strzałową berettę z aktywnym tłumikiem”.

Wracając do mojej mamy, wychodziła ze słusznego założenia, że wszystko można obiecać, stawiając dziecku warunek nie do spełnienia. Jeśli twój podopieczny zażąda jednocześnie pieska, oglądania „Boba budowniczego” w telewizji, słuchania płyty Golec uOrkiestra i pojechania na wieś, żeby zobaczyć traktory, zgódź się na wszystko, pod warunkiem że będzie grzeczny. Warunek jest nieludzki, więc dziecko zadowoli się wyjadaniem cukru z cukiernicy.

Jeśli chodzi o mnie, kiedy upominałam się u matki o spełnienie obietnic, załatwiała to klasyką wiecznie żywą: „Nie teraz!” albo „Daj mi święty spokój!”. Pomimo to wyrosłam na człowieka. Czego tobie i twojemu trzylatkowi życzę.

Stefania Grodzieńska

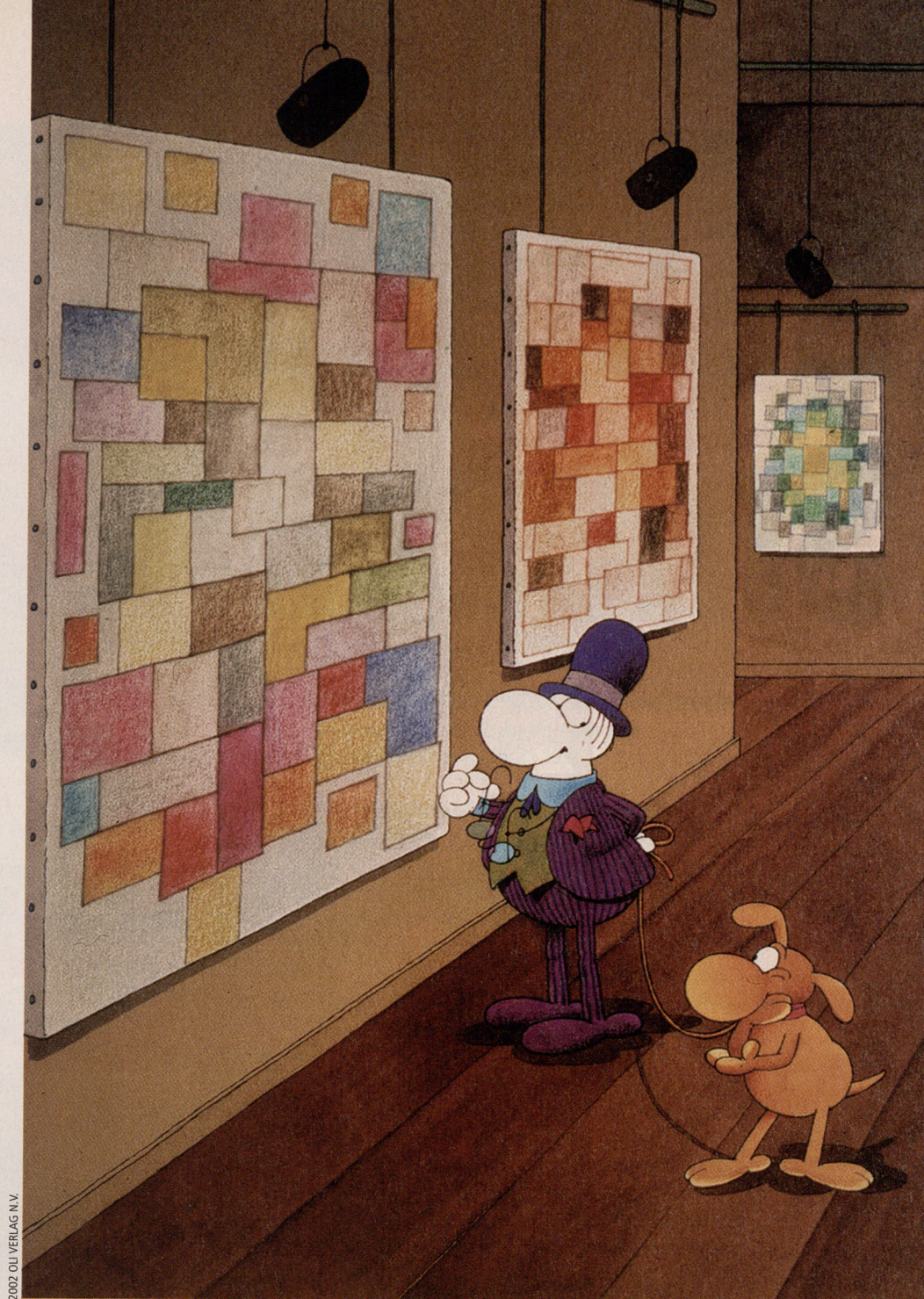
Rozmawiała BEATA KĘCZKOWSKA (GW)

CHRISTIAAN VAN LIEROP

Z ostatnich badań wynika, że dla cudzoziemców język polski jest ósmym pod względem trudności językiem na świecie. Proszę sobie wyobrazić, ósme miejsce! Przyznam, że byłem zaskoczony tą informacją. Sądziłem, że język polski zasługuje na miejsce co najmniej w pierwszej czwórce, a może nawet i na brązowy medal, tuż za chińskim i arabskim. W końcu polski to szalenie skomplikowany język. Czy to normalne na przykład, że tam, gdzie w języku angielskim mamy jedno słowo „two”, polski ma ponad 20 form? Dla Polaków może to naturalne. Cudzoziemcy są tu jednak bezradni. Przesłanie polskiej gramatyki jest dla obcokrajowca jednoznaczne: Nie chcemy was! Do domu! Polski dla Polaków!

Wszystko za sprawą tych przeklętych przypadków. Nieprzypadkowo przypadki nazywają się przypadkami. Przynajmniej w moim przypadku. To, jaki w danym momencie wybiorę przypadek, jest często kwestią czystego przypadku. Czasami trafiam w sedno, częściej jednak nie. Kieruję się wycuciem. Wtedy mój rozmówca może się przy okazji pośmiać. Problemy z polskim są u nas rodzinne. Odziedziczyłem to po ojcu. Trzeba przyznać, że ma on dość nowatorskie podejście do tego, jak posługiwać się tym językiem. Nie zwraca sobie głowy odmianą rzeczowników, nie przykłada też specjalnej wagi do wymowy. Kiedyś nad morzem chciał powiedzieć „krowa”, ale użył słowa zwykle określającego damę lekkich obyczajów. No, ale wtedy mieliśmy przynajmniej całą plażę dla siebie. Chętnie kupuje „zakopanki”, zawsze zamawia „bez keczup”. Pewnego razu oznajmił, że jest mu smutno, bo właśnie babcia... zdechła. Nie wiedział, dlaczego wszyscy powstrzymują się, by w tej tragicznej chwili nie parsknąć śmiechem.

Pocieszający jest dla nas fakt, że i Polacy mają problemy z językiem polskim. Oczywiście to nie wymowa sprawia im największe problemy.



rys. MORDILLO © 2007 OUI VERLAG N.V.

Guillermo MORDILLO

Inaczej rzecz jednak wygląda, jeśli chodzi o pisownię. Co roku z wielką pompą organizuje się w Polsce dyktando, często z udziałem znanych osobistości. Podczas ogłaszania wyników słyszymy, że pierwsze miejsce zdobył Mirosław ze Szczytna, który popełnił „tylko pięć błędów”. A więc z góry ktoś założył, że nawet najbardziej piśmienny Polak musi popełnić jakieś błędy!

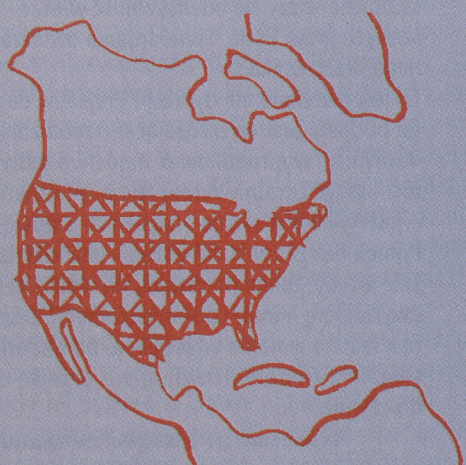
Rodzi się tu więc pytanie: czy nie należałoby troszeczkę uprościć zasad polskiej ortografii? Co jakiś czas wysuwane są ambitne pomysły. Na przykład - żeby zlikwidować polskie znaki. Niby praktyczne, ale niełatwo wytłumaczyć

wtedy cudzoziemcowi, jak się poprawnie wymawia „Łódź”.

Niestety, zmiany zasad wprowadzają tylko więcej zamieszania. Na przykład w przypadku imiesłówów. Nadal nie wiem, kiedy się je pisze łącznie z „nie”, a kiedy oddzielnie.

Panie i panowie z Polskiej Akademii Nauk chcą zachować czystość języka. To dlatego nie lubią zmian. Moderniści zarzucają im, że nie idą z duchem czasów, że są zbyt konserwatywni. To nieporozumienie! Oni są jak najbardziej na czasie. Idą w ślady Małyszka. Zdają sobie po prostu sprawę, że język polski stać na brązowy medal.

WILHELM SASNAL



LEGENDA:

KRAJE WALCZĄCE Z TERRORYZMEM

KRAJE, DUŻYCH SWOBOD OBYWATELSKICH

KRAJE, KTÓRE UŻYŁY BRONI ATOMOWEJ

KRAJE, KTÓRE ZAMIERZAJĄ UŻYĆ BRONI ATOMOWEJ

Rosyjska Śnieżynka

PIOTR RYPSOŃ



Mamy okazję nadrobić kulturalne zaległości. Wystawę nostalgicznej i melancholijnej, straszno-rubasznej i wisielczo-wesołej sztuki nowej Rosji otwarto w warszawskiej Zachęcie



Na sąsiedniej stronie: Andriej Chłobystin
„Nowy sztandar dla Rosji”, 1996

Na górze: Bella Matwiejewa i Olga Tobreluc
„Wieśniaczka napotkała w lesie niedźwiedzia”, 2001

Na dole: Władysław Mamyszew, fotografia z serii
„Kwestie rosyjskie”, 1997



Od początku lat 90. byliśmy tak pochłonięci dostrajaniem się do gospodarki i kultury zachodniej, że nieliczne pokazy rosyjskiej sztuki nie budziły większego zainteresowania. Zresztą po pierestrojce także rosyjscy artyści mieli bardziej ekscytujące zajęcia niż wizyty w Warszawie, która była dla nich w najlepszym wypadku dogodnym punktem przesiadki w drodze do Berlina. Na swoje nieliczne polskie pokazy Rosjanie przyjeżdżali z zagranicy: Ilia Kabakow – podobnie jak duet Komar i Melamid – z Nowego Jorku, poeta i twórca instalacji Dmitrij Prigow – z Niemiec.

Od kilku lat największe warszawskie galerie i muzea sztuki pracują nad zmianą tego stanu rzeczy, przygotowując (wprawdzie niespiesznie i niemal bez funduszy) wielką wymianę sztuki obydwu krajów, która ma się dokonać w roku 2004. Projekt animowany przez warszawskiego galerzystę Piotra Nowickiego to przedsięwzięcie niezwykle ambitne, obejmujące cały wiek XX i rozmaite dyscypliny. Jednak zanim wody popłyną szeroko, warszawska Zachęta pokusiła się o małą odwilż

– wystawę sztuki współczesnej opatrzoną wdzięcznym tytułem „Śnieżynka”.

„Śnieżynka” to bajkowa postać małej dziewczynki (w innej wersji – młodej dziewczyny), która wychodząc ze świata mrozu do świata ludzi, roztopia się i ginie. Jak pisze Irina Gorłowa, współautorka przygotowanej wraz z Magdą Kardasz warszawskiej wystawy, „prezentowani artyści (...), podobnie jak ulepiona na nowo i rozczarowana miłością wiejskich chłopaków Śnieżynka, która spróbowała zakazanego owocu, postanowili robić swoje”.

W salach Zachęty oglądamy bardzo szeroką panoramę tej swojskiej roboty, prace kilkudziesięciu artystów, 30- i 40-latków. Kuratorzy postanowili pokazać przede wszystkim sztukę zwróconą ku nowej rosyjskiej tożsamości, oglądając (i przedstawiając) Rosję po wzlotach i rozczerowaniach pierestrojki i pierwszych lat nowej Rosji. Jak piszą w katalogu, „inspiracją dla nich jest wyłącznie to, co własne, sprawdzone, miejscowe, regionalne, rozpoznawalne na zachód od Brześcia Litewskiego jako materiał prawdziwie rosyjski. Pakuły, tyko, siekiera, futro z sobola, widły...”.

Ta wylizanka może odstraszyć przeciętnego rusofoba, ale nie trzeba się bać. „Śnieżynka” jest nostalgiczna i melancholijna, straszno-rubaszna, wisielczo-wesoła. Znajdziecie tu wiele podtekstów rosyjskiej „pop-soc-kultury” łatwo rozpoznawalnych, dobrze znanych z filmów lub upiornie-śmiesznego świata przedmiotów dawnej, socjalistycznej codzienności. Andriej Chłobystin rekonstruuje landrynkowe panoptikum czerwonych parasolek, kubków i sukienek w białe kropeczki, a także nieśmiertelne muchomorki z miejskich skwerów. Siergiej Denisow i Kirił Szuwałow – potworkowate, betonowe zabawki z placów zabaw.

Bella Matwiejewa i Olga Tobreluc przetwarzają sielską atmosferę rosyjskiej ludowej malowanki w bukoliczne obrazy podsyte lekką perwersją – to świat utraconej niewinności, w który wtargnęły nieokiełznane siły zmieniające dawną tożsamość.

„Śnieżynka” odślania mimochodem wiele pokrewieństw między sztuką polską i rosyjską: Chłobystin ma sporo wspólnego z Maurycym Gomulickim (*nota bene* autorem utrzymanego w słodko-kiczowatych tonach katalogu wystawy); Aleksiej Kallima wprowadzający na czerwone pudełko Marlboro białe tło w kształcie świętej góry Czczenów lokuje się blisko niektórych prac Zbigniewa Libery. Grupa Łódź Kaliska z kolei z łatwością znalazłaby wspólny język z performerami z Nowosybirsk, autorami groteskowych, obrazoburczych i całkiem „niepoprawnych politycznie” wideoklipów.



Na „Śnieżynce” jest jednak nie tylko goło i wesoło. „Nekrorealistyczne”, mroczne filmy (przypominające kadry ze „Stalkera” Tarkowskiego) pokazuje znakomity Jewgienij Jufit. Ludmiła Gorłowa używa popularnych stylistyk fotoromansu i telenoweli, by mówić o świecie młodej rosyjskiej dziewczyny. Rosyjski konceptualizm reprezentuje Wadim Drapkin. W narcystyczne personifikacje Marilyn Monroe i Lubow Orłowej (ulubionej aktorki Stalina) wciela się Władysław Mamyszew.

O czym więc opowiada ta rosyjska bajka? „Śnieżynka” jest próbą pokazania tożsamości rosyjskiej kultury, rozbitej i na nowo montowanej. To ciekawa opowieść, a w dodatku bliska polskim doświadczeniom – choć przeżywana inaczej. Rosja podob-

nie jak kraje Europy Środkowej ma problem z autodefinicją – i jak one próbuje się opierać definiowaniu „z zewnątrz”, w kategoriach świata zachodniego. Jedną z metod jest więc zaniechanie prób dopasowywania się do reszty świata i zwrócenie ku własnym mitom i stylistikom, z ironią, ale i z sentymentem.

Żeby lepiej przyjrzeć się temu wszystkiemu, trzeba by wyruszyć do Moskwy i Petersburga, ba – dojechać i do Nowosybirsk! Przed podróżą zobaczcie jednak „Śnieżynkę”, zanim się całkiem rozpuści i wróci do domu.

PIOTR RYPSOŃ

Dziękujemy galerii Zachęta za udostępnienie ilustracji. Wystawę można oglądać do 5 maja



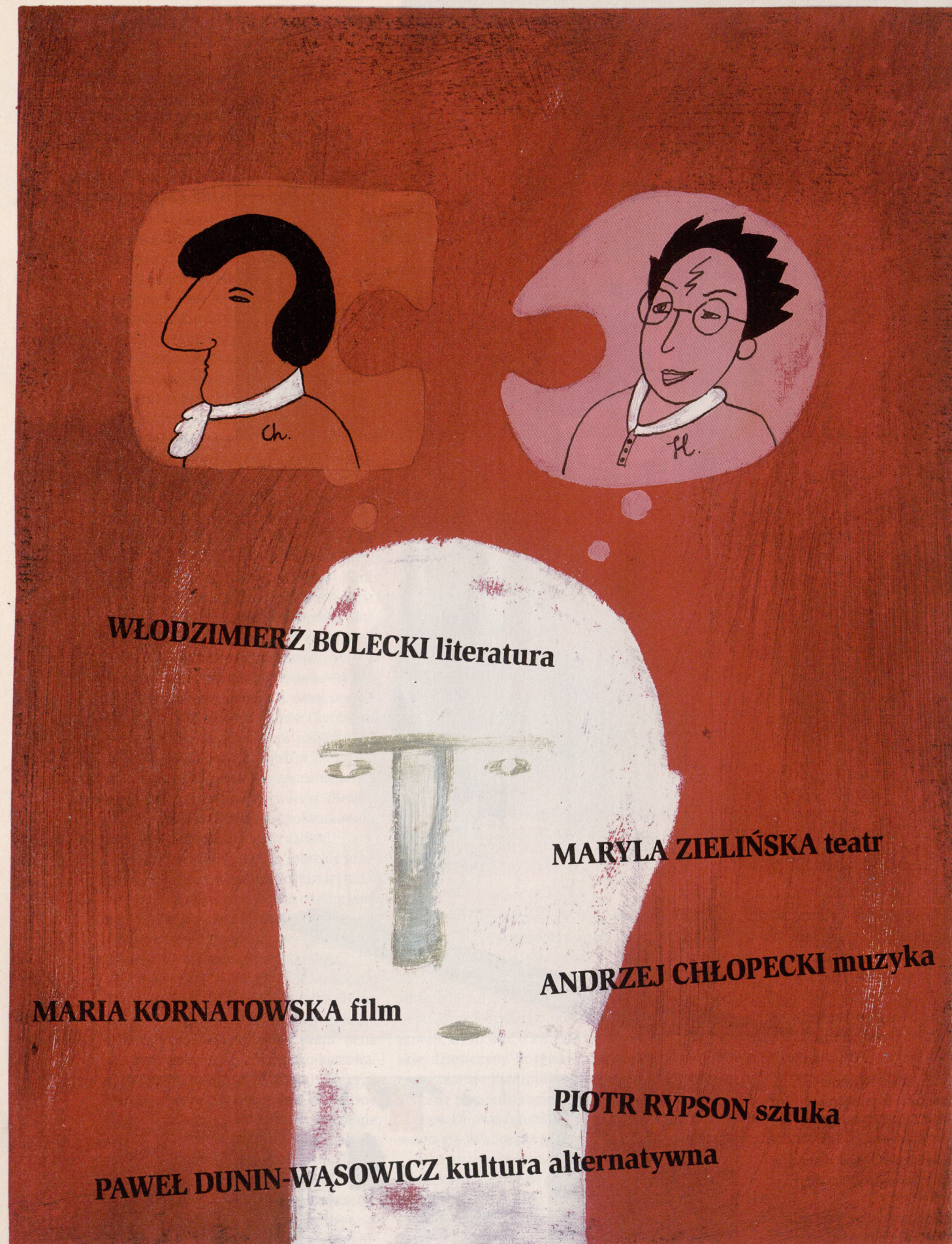
Na górze od lewej: Władysław Mamyszew, fotografia z serii „Kwestie rosyjskie”, 1997; Jewgienij Jufit, kadr z filmu „Zabici piorunem”, 2002; Aleksiej Kallima, fotografia z serii „Czczenia post-rock” 2001



Powyżej: Natalia Pierszyna-Jakimanska i Olga Jegorowa „Fabryka Odzieży Znalezionej”

Z prawej: Dmitrij Szubin, fotografie z serii „Extra Body”, 2000–2001





SALON WYTRZEŻWIEN

pod redakcją Tadeusza Nyczka
nr 2

ILUSTRACJE JOANNA SZACHOWSKA

NYCZEK: Witam państwa. Na wstępie muszę z przykrością zauważyć, że nikt z koleżeństwa, na czele z redaktorem Wąsowiczem, który podobno przeczytał wszystko, co napisano w PRL, ani się nie zająknął, że nazwa „Salon Wytrzeźwień” została już znacznie wcześniej spożytkowana. Mianowicie Niziurski Edmund napisał w roku 1964 powieść pod takim właśnie tytułem. Co gorsza, powieść miała kilka wznowień. O tym fakcie poinformował redaktora naczelnego pisarz Pilch Jerzy podczas spożywania sałatki Micha Mnicha. Nie wyciągamy konsekwencji, aby nie narażać na szwank. Mamy nadzieję, że pisarz Niziurski wybaczy użycie. A teraz *ad rem*.

Zadanie na dzisiejsze kolegium brzmi: iść na film polski „Chopin...” i wyrazić pragnienie miłości. To jest kultura narodo- wa i nie możemy stać z boku.

RYPSOŃ: Podobno zostało odwołane? (Lewa strona stołu kolegijskiego, gdzie siedzą koleżanka Kornatowska i kolega Rypson, gwałtownie potakują).

NYCZEK: Przez kogo mianowicie?

RYPSOŃ: Przecież sam szef rozesłał maila do nas po obejrzeniu filmu, że żona, co poszła do kina z szefem w ramach więzi rodzinnych, zagroziła rozwodem, jak szef jeszcze raz coś takiego jej zrobi.

NYCZEK: To, że rozesłałem, nie znaczy, że odwołałem. Poza tym prawda jest taka, że to redaktor Bolecki nakłaniał do pójścia na ten film pod wpływem entuzjastycznej recenzji pana Zarębskiego w „Przekroju”.

BOLECKI: Muszę sprostować. Nie czytałem recenzji, zachęcałem do obejrzenia filmu w ciemno, licząc, że dostarczy głę- boki wzruszeń i innych wrażeń.

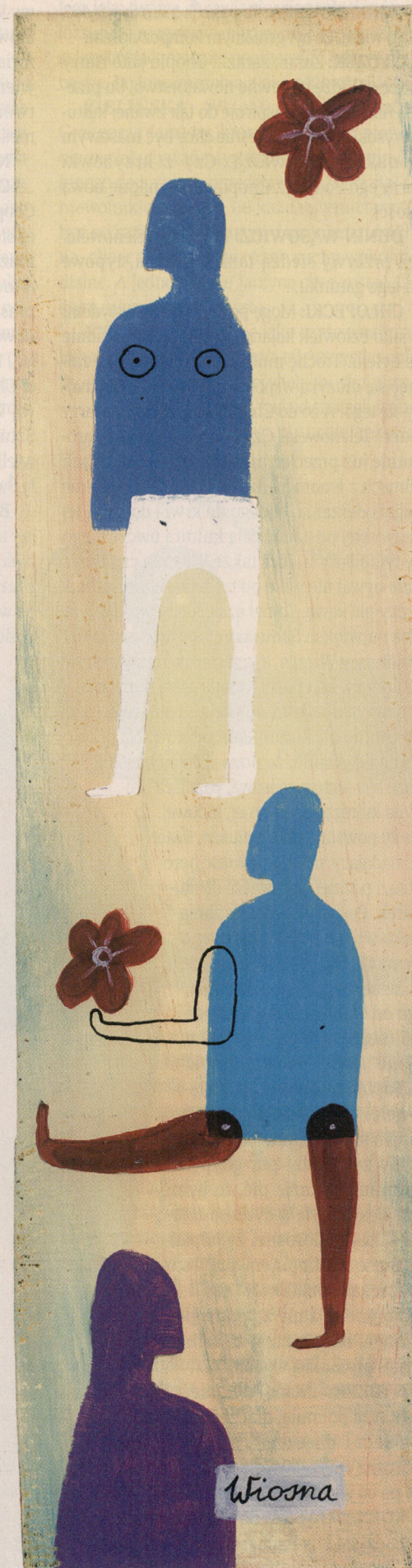
NYCZEK: Redaktor Kornatowska.

KORNATOWSKA: Mnie proszę do tego nie mieszać. Nie poszłam i nie pójde.

NYCZEK: Bardzo ciekawy objaw nie- subordynacji. Ja bym chciał się dowiedzieć od pani redaktor, dlaczego zbojkotowała po- lecenie zwierzchności.

KORNATOWSKA: Otóż mam w życiu pewne zasady. Na przykład za PRL nie cho- dziłam na filmy ernerdowskie, nawet na „Winnetou” nie poszłam. Po obejrzeniu „Przedwiośnia” Bajona skorzystałam z oka- zji i postanowiłam nie oglądać żadnej polskiej lektury. „Chopin...” Antczaka to wprawdzie nie lektura, tylko scenariusz pa- ni Barańskiej, ale należy do tego samego cy- klu narodowej klasyki obowiązkowej. Otóż nie wierzę, żeby ten zespół wytwórczy mógł mieć cokolwiek do powiedzenia o Chopinie, co by mnie zainteresowało. George Sand by- ła bardzo niekonwencjonalną postacią. Bar- dzo cenię talent aktorski pani Stenki, ale ni- gdy nie uwierzę, że mogłaby zagrać kogoś ta- kiego. *Casting* to jest w ogóle dramat polskie- go filmu. Bo skoro Mateusz Damięcki dostał rolę Cezarego Baryki, to właściwie wszystko jedno – wystarczyło wziąć kogokolwiek, ko- mu się przyparł nos, i już będzie Chopin.

DUNIN-WĄSOWICZ: Pani Mario, pani nie zna w ogóle trendów we współczesnym kinie. Ja akurat obejrzałem ten film i widzę, że jest absolutnie na czasie. Chopin to do- kładnie Harry Potter! Wszyscy wiemy, że jest genialny, w związku z czym nic już nie musi robić. To jest nowe spojrzenie na wiel- kie osobowości. Genialność jest po prostu dana z góry, aprioryczna, i już nie ma po- trzeby dalej się nią zajmować. Dokładnie jak Harry Potter, Chopin ma trzy miny, któ- rych używa: albo jest znudzony, albo ziry- towany, albo natchniony.



KORNATOWSKA: To po co ja mam to oglądać, skoro wiem, że był genialnym kompozytorem?

NYCZEK: Zaraz, zaraz... Chopin jako Harry Potter... Widzę tu pewne nowatorstwo, bo przecież film Antczaka aspiruje do tak zwanej kultury wysokiej, a jednocześnie chce być masowym produktem dla widza. Czy z krzyżówki Harry'ego Pottera z Chopinem wyniknie nowa jakość?

DUNIN-WĄSOWICZ: Najwyżej telenowela. Bez przerwy siedzą tam w kuchni, typowe dla tego gatunku.

CHŁOPECKI: Mogę powiedzieć ze wstydem, że jako człowiek kojarzony z muzyką na filmie nie byłem. Trochę mnie usprawiedliwia, że zajmuję się muzyką współczesną, no więc trzymamy się tego. A co do Chopina. Mówicie, że Harry Potter? Telenowela? Czyli znowu to samo. Parokrotnie już przecież mierzono się w książkach i filmach z fenomenem Chopina, ale nikt się nie podjął zderzenia, takiego do krwi i do bólu, tej niezwyklej postaci z całą kulturą ówczesnego nie tylko Paryża, lecz także Wiednia czy Pragi, gdzie bywał nie tylko po to, żeby jeździć dorózką czy pić kawę. To był czas, kiedy wojowali ze sobą najwięksi: Schumann, Berlioz, także już debiutujący Wagner, a przecież na muzykach się nie kończy, bo i poeci romantyczni, i malarze... W tym tygłu rodziło się wiele z tego, co do dziś jest istotne dla kultury europejskiej. Na przykład odkrywanie, że poza sztuką wysoką może być jeszcze masowa, bazująca często na kulturze popularnej, ludowej. To wtedy powstaje mit geniusza, świetnie nadający się i na powieść heroiczną, i później na powieść dla kucharek. Postać Chopina w filmie czeka więc nie tylko na swego Formana, tego od Mozarta, ale może na swego Kena Russella, tego od Mahlera, a może swego Felliniego, tego od „Wszystko płynie”. Więc można zrobić z Chopina sentymentalną telenowelę, ale ile się traci! Ten Chopin to była figura niezwykła, gdyby żył, to by pił, gdybym z nim miał okazję pić, to bym miał pietra, że się w dyskusji zbłamuję, że nie dorosnę, że odpadnę. Siąść z Chopinem przy stole i zacząć rozmawiać, uff... Ale z Chopinem, a nie z jakimś pocurkzonym bohomazem z kserografu czyjeś płyciutkiej wyobraźni...

NYCZEK: Mam pytanie. Otóż z grubsza pojmuję, dlaczego zrobiono „Ogniem i mieczem”, a nawet „Pana Tadeusza”, „Przedwiośnie” czy „Zemstę”. Ale po co wykonano „Chopina...”?

KORNATOWSKA: Bo to jest nazwisko, które działa i na kucharki, i na inteligentów. Poza tym jakby jeszcze jeden lekturo-

wy wieszcz znany głównie z romansów, jak Słowacki, Mickiewicz czy Krasiński. Samo nazwisko jest już mitem narodowym. Mazurki, wierzby, strzechy słomiane i tak dalej. Więc twórcy tego filmu uznali, że to musi przynieść kasę.

NYCZEK: Tylko tyle?

CHŁOPECKI: No, może trochę więcej. Chopin stał się ostatnio tematem, który z wyżyn ezoterycznych i specjalistycznych kongresów muzykologicznych spadł na poziom medialny. A to kongresy chopinowskie, o których plotkuje prasa, a to biografie ze świetną „biblią chopinowską” Mieczysława Tomaszewskiego na czele... W październiku 1999, w 150. rocznicę śmierci Chopina, puszczono nad Warszawą za sprawą Wojciecha Krukowskiego i jego Centrum Sztuki Współczesnej smugi laserowe – to była wielkiej urody instalacja – skupione na kościele Św. Krzyża, gdzie jest serce Chopina...

BOLECKI: ...Więc podziwiam państwa, którzy nie widzieliście filmu i mówicie o nim tak, jak byście go widzieli 10 razy (*ogólny aplauz pochwalonych*). Ja, niestety, zobaczyłem ten utwór na własne życzenie, poddając się

pewnemu psychologicznemu eksperymentowi. Wynik? Myślę, że tytuł rzeczywiście powinien brzmieć „Pragnienie miłości”, natomiast nie ma znaczenia, kogo to pragnienie miałoby dotyczyć. Zamiast nazwiska Chopina można by do tytułu wstawić dowolnego artystę albo wręcz dowolną osobę na tyle znaną, żeby przyciągnęła publiczność. To jest czysta rekwizytoria narodowych stereotypów, sentymalny kicz, a nazwisko to tylko handlowe opakowanie.

DUNIN-WĄSOWICZ: Może dla młodzieży, którą w pierwszy dzień wiosny trzeba było gdzieś wyprowadzić ze szkół, żeby nie poszła na wagary?

BOLECKI: Przy okazji jest to film do stosowania przy każdej dowolnej okazji: rocznicowej, edukacyjnej, jakiegokolwiek.

CHŁOPECKI: „Młodości Chopina”, słynnego, socrealistycznego filmu Aleksandra Forda, nie wypada już pokazywać, mamy inne czasy, inne wymogi polityczne, no więc mamy socrealizm na dziś w nowej wersji dla tłumów. Tak samo kiczowaty i tak samo sztuczny.

RYPSON: Ale czy tłumy walą rzeczywiście?

NYCZEK: Z autopsji mówię: razem z żoną była nas w kinie siódemka.

KORNATOWSKA: To znaczy, że ludzie nie są tacy głupi. O, przepraszam szefa.

NYCZEK: Cała przyjemność po pani stronie.

ZIELIŃSKA: Na moim seansie – niedziela, godzina 18 – pół sali. Nie tak źle.

RYPSON: Majaczy mi z oddali kolejny polski temat: romanse Bolesława Chrobrego. Puszczę, żubry, tężyzna słowiańska...

ZIELIŃSKA: He, he, nie ma co majaczyć. Hoffman już szykuje „Stara baśń”.

KORNATOWSKA: W połączeniu z „Makbetem”, jak stało w gazetach.

RYPSON: Pięknie. Tyle że młodszy reżyser powinien się do tego zabrać. Na przykład syn Jerzego Hoffmana.

KORNATOWSKA: Nie wiem, czy to co pomoże. Wydaje mi się, że polska kinematografia znajduje się w jakimś totalnym regresie. Jak to możliwe, że ludzie, którzy mają się za zawodowców, nie potrafią robić elementarnych rzeczy? „Quo vadis” i cała seria innych filmów – to jest po prostu bardzo źle technicznie zrobione. W dzisiejszym kinie o wiele ważniejsze dla widza jest „jak” niż „o czym”. Dzisiaj już się nie opowiada historii dla samego zakomunikowania o czymś. To są całe skomplikowane i precyzyjne

gry między wyobraźnią twórcy a świadomością odbiorcy i ta gra się odbywa między różnymi językami, czego w ogóle w polskim kinie nie ma. Polska sztuka filmowa zdechła i o czym tu mówić. Pomimo wszystko widzę tu nadzieję, bo pojawia się coś jakby nowa generacja. Ten Fabicki od „Męskiej sprawy”, z nominacją do Oscara, to już jest ciekawa osobowość. Jest więcej takich młodych ludzi w szkole filmowej, nawet niekoniecznie wszyscy Polacy, jest Serb z Sarajewa, zrobił film „List”, dostał sporo międzynarodowych i krajowych nagród. Kilku Duńczyków, kilku Polaków, kooperują ze sobą i coś z tego wynika. Są czytani, nie chodzą na „Chopina...”, nie oglądają „Quo vadis”. Nastąpiło wręcz zerwanie pokoleniowe. Powołali Stowarzyszenie Umarłych Filmowców i powiedzieli, że będą wzywać duchy Bressona, Felliniego i innych, żeby móc obcować z jakimiś autentycznymi wielkościami, bo już mają dosyć kina zamarłego w kiepskim akademizmie, źle zrobionego, kiczowatego.

ZIELIŃSKA: Ale siła rażenia niektórych filmowców nadal jest wielka, dociera aż do teatru. Owszem, kiedyś reżyserzy filmowi robili teatralne przedstawienia. Ale pomysł warszawskiego Powszechnego, żeby zaangażować Władysława Pasikowskiego do „Kto się boi Wirginii Woolf” Albee'ego, oceniam jako nowatorski. Reżyser kina akcji robiący dramat *stricte* psychologiczny, ale gdzieś tam spodem brutalny niczym „Kroll” czy „Psy”... A wyszła salonowa, nudna piła upstrzona gwiazdami grającymi same siebie. Krystyna Janda gra Krystynę Jandę, a Marek Kondrat jest oczywiście twardzielem.

RYPSON: Coś podobnego oglądałem teraz w warszawskiej Zachęcie. Tłum! I to na wystawie Katarzyny Kozyry, młodej artystki, która do niedawna pełniła rolę dyżurnej czarownicy polskiej sztuki, skandalistki męczącej zwierzęta, wariatki chodzącej ze sztucznym penisem do łaźni, żeby podglądać facetów... I nagle, wyłącznie dzięki mediom, na wernisaż przychodzi 500 osób i fotografują się na tle jej plakatu.

BOLECKI: Jest w końcu jedną z najbardziej znanych polskich artystek za granicą!

RYPSON: To akurat słabo się przekłada. Światowy system obiegu sztuki o Polskę raczej nie zahacza. Nie ma porównywalnych galerii, istotnych czasopism, wymiany informacji. Relacje z międzynarodowych biennale są żenujące, bo jak ktoś już tam dojedzie, wraca i pisze głupstwa. A tu naraz media, żerując oczywiście na skandalach, wykreowały Kozyrę w przedziwny sposób, bo przecież nie stała za tym żadna machina promocyjna. Mało kto z tej Kozyry cokolwiek rozumie, ale tłum przyszedł i wyraźnie chciał zobaczyć, o co tu chodzi.

BOLECKI: Że tłum wali do głównej galerii sztuki w Warszawie, to przecież tylko się cieszyć!

RYPSON: Czy ja mówię, że to źle? Usiłuję tylko powiedzieć, że stoi za tym pewien mechanizm, który trzeba nieźle przemyśleć, żeby nie wpaść w ja-

kieś maliny. Bo przecież nie o sztukę tu chodzi.

ZIELIŃSKA: Czy Kozyra jest już kulturą masową?

CHŁOPECKI: Dobre pytanie. Czy kultura masowa połknęła Kozyrę – czy tylko wyprodukowała opinię o niej? Bo to jest pytanie o granice awangardowego buntu, który pojawił się właśnie między innymi jako opór wobec mieszczaństwa sztuki, rozmywania jej w banałach masowości. Dzisiaj o awangardzie w tamtym klasycznym rozumieniu nie ma co mówić, ale sprawa buntu pozostała i wciąż się powtarza, tylko w nowych warunkach. Pamiętacie, co się niedawno wyrabiało wokół Sarah Kane, czołowej buntowniczkii teatralnej? Wszyscy nagle się dowiedzieli z gazet i telewizji, że ktoś tam komus odgrywa ręce, aktorka pokazuje się goło z dosztytem penisem, takie okropieństwa – ale że to skądinąd wielka sztuka. To samo w przypadku Kozyry: skandal, granda, ale ekscytujące. Mnie to trochę śmieszy, bo dzisiejszą sztukę mam raczej za pruderijną... Gdyby ta dzisiejsza publika, co się tak podnieca paniami Kane czy Kozyrą, pooglądała parę przedstawień na różnych międzynarodowych festiwalach alternatywnych w latach 70., to by się dopiero zdziwiła, co można wykonać na scenie i poza jakimi granicami. Ale to jest też kwestia odbioru: jak dzisiejszy rynek robi z wydarzenia artystycznego fakt medialny. Pod tym względem rzeczywiście żyjemy w innej epoce.

BOLECKI: Grotowski robił przedstawienia dla 30 osób.

NYCZEK: Dziś awangarda – czy jak jeszcze zwać sztukę z założenia antymasową – ma szanse stać się chodliwym towarem, jeśli tylko ktoś się umówi, żeby ją dobrze wkręcić w tryby masowego obiegu. I teraz pytanie: czy Kozyra zakłada, że jej działalność może stać się towarem powszechnego obrotu?

RYPSON: Mnie się wydaje, że Kozyra w kulturze popularnej istnieje tylko i wyłącznie na tyle, na ile ją pokażą pisma kobiece i inne podobne media w stylu: Pani Kasiu, a co u pani, jakie nowe projekty, wystawy itd., itd. Trzeba powiedzieć, że Katarzyna bardzo rozsądnie operuje tym wszystkim i przynajmniej na razie nie daje się połknąć tej machinie, która jest w stanie przerobić każdego.

CHŁOPECKI: Znaczący, wolałaby raczej uwięzić... uwięzić w gardle kulturze masowej.

RYPSON: Mam nadzieję, bo niebezpieczeństw tu jest więcej. Kozyra jest przecież artystką, która sama operuje mediami wywodzącymi się bezpośrednio z kultury masowej: posługuje się plakatem, telewizyjnym zapisem na taśmie wideo... Jednym słowem – używa tych samych nośników tej kultury, którym potem pod-

lega jako twórca. Pojawia się więc subtelna i wieloznaczna rozgrywka między nią a mediami. Musi im stawiać rozmaite poprzeczki... toczyć pewną grę, bo inaczej zrobią z niej później pajaca.

ZIELIŃSKA: W teatrze to przypadek Grzegorza Jarzyny, który kiedyś tam niewinnie zaczął używać artystycznych pseudonimów, innego do każdego przedstawienia, i już stał się niewolnikiem tej gry, bo każda premiera musi być od razu medialnym wydarzeniem, uwikłana, chcąc nie chcąc, w różne ruchy wokółmedialne. A jednocześnie Jarzyna chce zostać czystym, niezależnym artystą.

NYCZEK: Uchować się jako czystoszek mało już komu się udaje. Media tak wszystko opłoty, że jak chcesz wejść na rynek, musisz niemal zaczynać od strategii wobec całej tej sfery



pośrednictwa między tobą a odbiorcami. Media dzisiaj są w stanie wszystko rozpuścić, wykreślić, postawić na głowie. Poza tym wszystko im jedno, co rozpuszczają: kicz, awangardę, opór przeciwko sobie, akceptację siebie. I wracając do naszego nieszczęsnego „Chopina...”, bo to się jakoś wiąże...

(Chóralny krzyk pozostałych redaktorów: „Prosimy nie wracać!!!”. Redaktor NYCZEK, zbity z pantafelku, wędnie, macha ręką)

...No dobrze. Ale przecież trzeba by jakoś zakończyć... (Redakcyjny chór jednym głosem: „Nie trzeba było zaczynać! Kto nam kazał pójść na ten film?! Żadnych zakończeń! Jesteśmy wykończeni! Precz z polskim kiczem narodowym!!!”).

NYCZEK: Na następny raz proszę... (Ale umilkł, bo redaktorzy rzucili się do wyjścia i znikli).

„Salon Wyrzeźnień” serdecznie dziękuje Klubowi „Bagatela” przy Bagateli w Warszawie za gościnę nas w swoich całkiem trzeźwych progach.

Historycy, psiakrew!



Wrocławskie „Wesele” Grabowskiego to spektakl chwilami naprawdę rzetelny, ale od początku do końca martwy, muzealny, operowy. Właściwie równie dobrze można by go zaśpiewać

Co tu dużo mówić, ucieszyła mnie wiadomość, że do pracy nad wrocławską premierą „Wesela” Mikołaj Grabowski zatrudnił w roli konsultanta Rafała Węgrzyniaka – prawdziwego historyka teatru, autora kilku książek o arcydziele Wyspiańskiego.

Znając skalę teatralnej wyobraźni reżysera „Opisu obyczajów”, można było przypuszczać, że w ramach prowokacyjnego eksperymentu Węgrzyniak usiadł na scenie w fotelu i będzie na bieżąco komentował spektakl, wskazując w tekście miejsca niezrozumiałe, tłumaczył poetyckie metafory na język ludzki, prezentował dalsze losy pierwowzorów bohaterów „Wesela”. Słowem – zmieniał zgrany do cna

inscenizacyjny banał utworu (kosi, sukmany, tańce, alkierz i oczywiście złoty róg) we współczesny dyskurs o „Weselu”. W śmiałym testowaniu jego żywotności, konfrontowanie postaw sprzed stulecia z naszymi dzisiejszymi wyborami. Utwór Wyspiańskiego jawiłby się wtedy obrosły bluszczem znaczeń dodanych mu podczas kolejnych pokoleńowych lektur i inscenizacji.

Po podobny pomysł sięgnął przecież 10 lat temu Peter Greenaway w głośnym „TV Dante”. John Gielgud recytował „Boską Komedie” na tle migającej średniowiecznej ikonografii. Co jakiś czas w małym okienku w rogu ekranu pojawiały się gadające głowy literaturoznawców, poetów, historyków, socjolo-

gów, demonologów, ba – nawet astronomów i lekarzy objaśniających świat pojęć Dantego, stan ówczesnej wiedzy, imiona mitologiczne, meandry biografii autora. I co? Telewizyjny spektakl oglądało się z zapartym tchem. Wszystko, co dotąd zawikłane, ciemne i niejasne, nabierało nagle prostoty, sensu i czystości. I właśnie czegoś takiego spodziewałem się po wrocławskiej premierze.

Węgrzyniak pilnuje kostiumów

Niestety, koncepcja Grabowskiego rozminęła się w sposób drastyczny z moimi oczekiwaniami. Jak się okazało, zatrudniony historyk nie

miał widzim z czego tłumaczyć, ale po prostu bronić autora przed reżyserem, aktorami i publicznością. Węgrzyniak okazał się strażnikiem kostiumów z epoki i integralności tekstu: „Uwaga! Żadnych skrótów i znaczeniowych przeinaczeń!”. Ma być tak, jak kiedyś było, albowiem, jak wiadomo, to, co było, jest niejako z założenia lepsze od tego, co dopiero będzie. W programie spektaklu zamieszczono nawet filipikę przeciwko radykalnym uwspółcześnieniom „Wesela”.

Pietyzm, z jakim Grabowski i jego konsultant potraktowali sztukę Wyspiańskiego, przypomina jako żywo krakowski spektakl Piotra Paradowskiego z roku 1973. Dwaj wybitni historycy teatru Jerzy Got i Zbigniew Raszewski czuwali w nim nad wierną rekonstrukcją przedstawienia. Zredagowali w zgodzie z oryginałem tekst sceniczny „Wesela”, odtworzyli ruch, kostiumy i gesty aktorów z roku 1901. Tak pomyślane „Wesele” okazało się

ku zdumieniu teatrologów-entuzjastów dziełem absolutnie martwym. Marzący o karierze reżysera młody aktor Mikołaj Grabowski grał w nim – nomen omen – postać Widma.

Teraz będę poważny

Mikołaj Grabowski jako artysta zawsze żył tym, czym żyła jego

tematów trudnych, drażliwych. Nie wierzy w pranie narodowych sumień. Przestał pouczać społeczeństwo. No bo pomyślcie, o czym artysta, niegdyś rozpolitykowany, wadzący się z historią, ciężarem polskich win, ma dziś rozmawiać z publicznością, która żyje w „wiecznym teraz” *sitcomów* i *reality show*? Czy można grać



publiczność. Złosiła go sytuacja polityczna, cierpiał przez kryzys ekonomiczny, marzył o lepszym świecie i mądrzejszym teatrze. I w końcu wystawiał przedstawienia będące odpowiedzią na bieżące pytania, w których polskie społeczeństwo

„Wesele” dla społeczeństwa bez świadomości historycznej, odrzucającego przeszłość?

Polaków dusiło, teraz nie

Jakieś fatum wisi nad reżyserem od lat zmagającym się z tekstem Wyspiańskiego. „Wesele” z teatru Słowackiego z roku 1984 uznano powszechnie za nieudane. Mówiło się, że Grabowski, genialny adaptator prozy, dziwnie usztynnia się w kontakcie z dobrze skrojoną sztuką. Tamto przedstawienie mimo wszystkich swoich niedoskonałości oddawało jednak trafnie „chochoła” stanu wojennego: czas, w którym, jak mówił reżyser, „coś dusiło Polaków za gardło”. Rok temu upadł projekt telewizyjnego „Wesela”, w ostatniej chwili obcięto fundusze na realizację. Może i jest w tym jakiś element sprawiedliwości dziejowej, bo przecież model wesela, czyli portret polskiego społeczeństwa, reżyser zawarł już w obu „Opisach obyczajów” Kłotowicza, „Pekosiu” i „Proroka Ilji” Słobodzianka, telewizyjnym „Ostatnim lecie”. I Wszyscy Święci Teatru uznali, że to by było na tyle.

Jest w nim także jakaś podświadoma tęsknota za akceptacją elit, środowiska. Instykt samozachowawczy mówi mu: nie wyskakuj już dłużej przed szeregi z tym swoim dwuznacznym teatrem. Deklaruje więc: „Będę robił teraz same poważne przedstawienia”. Dojrzałość wyobraża sobie jako powrót do teatru akademickiego. Zrywa z awangardowymi zabawami. Nowy Grabowski realizuje „Straszny dwór” Moniuszki, szekspirowskiego „Króla Leara”, popularną sztukę Esther Villar. I jest to już inny reżyser, inny niż ten z „Kwartetu”, „Proroka Ilji”, „Pekosia”, „Opisów obyczajów”. Od dwóch sezonów unika

Wies wypadła słabo

Wrocławskie „Wesele” jest bez wódki, ognistych tańców, rozpasy nych ciał. Zamiast zbiorowości w ruchu, w pędzie, w rozpadzie widzimy na scenie statyczne obrazy, upozowane grupy „nosicieli kostiumów”. Bodaj po raz pierwszy w teatrze Grabowskiego nie ma żywych ludzi. Ba, nawet marionetek podporządkowanych jednej kontrowersyjnej tezie, cesze, obsesji.

Słabo wypadli reprezentanci wsi, jakby reżyser nie chciał w nich odszukać ani tępej siły, ani upor, ani zaciekleści, która przeraża i fascynuje „miastowych” od Wyspiańskiego.

Reżyser ogranicza do minimum zabiegi inscenizacyjne. Poprzestaje na rozsunięciu tylnej ściany bronowickiej chaty w scenie z widmami, a potem jeszcze raz w finale. Z rzadka puszcza dymy albo zostawia tętniący jak serce, dobiegający z sąsiedniej izby rytm muzyki. Sytuacje ustawione są po bożemu, po literkach, bez psychologicznych odkryć. Przypuszczam, że Grabowski nie podłożył pod ten świat żadnego wspólnego mianownika, licząc, że widz sam poskłada sobie tę mozaikę ludzkich namiętności, tęsknot, iluzji i uzurpacji. Ale właśnie kiedy żywych ludzi zabrakło – widz nie ma czego zbierać.

Długo można wyliczać reżyserskie błędy: ustawienie postaci Działda, Czarnego Rycerza, Hetmana, Widma prowadzi aktorów do nieświadomych autoparodii. Jaska na przykład gra aktor reklamujący w telewizji papier toaletowy. Usiłowałem dociec, czy ma to jakiś sens w spektaklu. Chyba nie. Na dodatek w finale Żydówka Rachel po krótkim wahanii klęka wraz z całym zasłuchanym narodem... Cudowne nawrócenie?

Hajdamaka wyizolowany

Z wrocławskiego spektaklu da się ocalić jedynie detale, pojedyncze role. Wiarygodny jest Henryk Niebudek w roli Księdza, zaciekawia podstarzały nieudacznik (Pan Młody) Krzysztofa Dracza i poprawny Żyd Zygmunta Bielawskiego. Z innego teatru niż jej partnerzy przyszła rozwibrowana wewnętrznie Maryna Moniki Bolly. Podobał mi się też zagrany przez Wojciecha

Ziemiańskiego chochoł-śmieć wywiany oknem przez wichurę. Pomysł z Wernyhorą (Andrzej Wilk) jako hajdamaką, kozackim rezunem podstawionym w miejsce proroka i lirnika, pozostaje niestety wyizolowany z reszty spektaklu. Próżno szukać jego strasznego dziedzictwa w bronowickich chłopach i pokracznych szlachciurach przebranych za inteligentów. Gdyby cały sceniczny świat zmagął się z ponurym piętnem sarmackim, Grabowski nadałby swej interpretacji „Wesela” intrygujący akcent. Ale reżyser zdaje się ten wątek wyłącznie sygnalizować, jakby zniechęcony; prawda, on już temat przerobił, choćby w dawnych „Pamiętkach Soplicy”.

Wrocławskie „Wesele” nie może być uznane za żaden barometr naszych czasów. To teatr chwilami naprawdę rzetelny, ale od początku do końca martwy, muzealny, operowy. Właściwie równie dobrze można by spektakl zaśpiewać.

Siedzę na balkonie i nie rozumiem

Siedzę sobie na balkonie Teatru Polskiego, oglądam dzisiejsze wyobrażenie tamtej inscenizacji sprzed stulecia, smakuję anegdotę o tym, jak to znany onegdaj krakowski poeta wziął sobie żonę z ludu i wyprawili huczne weselisko na wsi, i zachodzę w głowę, o co wtedy poszło. Jakie sensy kryły te mówione teraz prawie na białą strofy o „świataniu”, „panach żurawcach”, „zapustach” i „krótkich żalach”? Dalibóg, nie wiem...

Żeby istotnie oddać klimat premiery „Wesela”, nie wystarczy wierne odtworzenie kostiumów, scenografii i gry aktorskiej z roku 1901 – trzeba by posadzić również na widowni tamtą publiczność. Dla historyków teatru byłby to z pewnością zabieg kuszący od strony badawczej. Dyrektorzy polskich cmentarzy komunalnych pozostają jednak w tej kwestii nieco sceptyczni.

ŁUKASZ DREWNIK

Teatr Polski w Poznaniu, „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego, reżyseria: Mikołaj Grabowski, scenografia: Jacek Ukleja, kostiumy: Maria Bakerek, muzyka: Jan Kanty Pawluśkiewicz, premiera w Teatrze Polskim 27 marca 2002 roku.



Od prawej: Andy Garcia (siedzi), George Clooney (stoi), Julia Roberts (zastanawia się, którego wybrać)

Forsa jest sexy

a jedenastka Danny'ego Oceana zgrana jak załoga czołgu „Rudy”

Ten film to uroczą rozrywkę dla dorosłych chłopców, którzy: a) wymykają się kochającym ich kobietom; b) złoścą się, gdy są krytykowani; c) przywiązują wielką wagę do reputacji, udając, że im na niej nie zależy; d) wiele obiecują, ale mało dotrzymują; e) wiele zaczynają, ale mało kończą; f) mimo sporych możliwości nie mogą znaleźć odpowiedniej pracy. Film stwarza silne złudzenie, że wszystko da się jeszcze urządzić inaczej. Że motylkowatość może iść w parze z zaradnością, że chcieć to nie tyle móc, co mieć (już! natychmiast!), i że można być człowiekiem sukcesu, nie wyrastając z krótkich spodnek, za paskiem których ciągle widać procę.

Danny Ocean (George Clooney) w kilkanaście godzin po wyjściu

z więzienia skrzykuje grupę, która ma obrobić kasyna w Las Vegas. Oczywiście muszą być najbogatsze, a ich skarbiec najlepiej strzeżony na świecie (bo każdy chłopiec świetnie wie, że już drugie pod względem bogactwa i zabezpieczeń w ogóle się nie liczą). Przy okazji wychodzi na jaw, że wszystkie kasyna należą – co nie bez znaczenia – do niejakiego Terry'ego Benedicta (Andy Garcia).

Prawą ręką Oceana zostaje Rusty Ryan (Brad Pitt), który umiera z nudów, ucząc gry w pokera. Co bardzo charakterystyczne – owszem, poker jest pasją Rusty'ego, ale uczenie, zwłaszcza systematyczne, to czynność ze świata dorosłych, a te wpędzają w anemię niczym nietoperz u szyi. Ocean zjawia się zatem u Rusty'ego niemal jak Mesjasz

obiecujący: „Pójdź za mną, a nigdy nie będziesz musiał być dorosły”. Podobnie ma się z pozostałymi członkami grupy, czyli tytułową Jedenastką Oceana.

Swoją drogą ograniczenie liczby do 11 świadczy, że Ocean wyciągnął trafne wnioski z historii: kolejnym członkiem sprawnej grupy może być już tylko jakiś Judasz. I rzeczywiście – jego załoga jest jak pięć palców z czołgu „Rudy”, a może nawet i lepsza, bo przecież 11-palczysta dłoń siłą rzeczy musi być bardziej chwytna. Co prawda natura nie zna takich rozwiązań, ale też nigdy nie proponowała organizmom schwywania 150 milionów dolarów w nieoznakowanych banknotach.

Niewątpliwie wdzięk filmu w dużym stopniu bierze się z trafnej obsady. Clooney i Pitt

mają (obok Mela Gibsona) najlepsze chłopięco-męskie twarze w całym Hollywood. Wielkie, wesołe oczy i zawadiackie czuprynki sprawiają wrażenie, jakby ciągle jeszcze byli przed pierwszą komunią. Gęsty zarost i silne żuchwy – że zegarki, które na komunię dostali, już dawno przestały chodzić. Są urodzonymi liderami, którym podporządkować się nie jest żadną ujmą. A dla mężczyzn (w wieku lat 5 i 105) to jest niezwykle ważne. Może nawet najważniejsze.

Mężczyźni mają wrodzoną cechę, by hierarchizować świat i relacje w nim panujące. Im wyżej na drabinie, tym lepiej. Czemu lepiej? Bo kobiety mają tę przedziwną właściwość, że ich wzrok niemal nigdy nie dostrzega najniższych szczebli. Nie miejsce tu na wywody na temat strategii płci, dość przypomnieć, że kobiety ze względu na ograniczone przez biologię (w odróżnieniu od mężczyzn) możliwości reprodukowania się znacznie częściej stosują kryterium jakościowe w doborze partnera. Skoro kobieta X może sobie pozwolić w życiu zaledwie na kilka udanych rozmnożeń, pragnie znaleźć najlepszego samca.

Najlepszy zaś to ten, który dominuje nad innymi, bo to znaczy, że jego potomek prawdopodobnie tę skłonność do dominacji odziedziczy. Dzięki czemu powiększy swój sukces reprodukcyjny, a tym samym sukces genów kobiety X. Problem w tym, że najlepszych mężczyzn może być niewiele (gramatycznie rzecz ujmując – nawet jeden). Bycie takowym się opłaca, bo kobiety – ze względu na mechanizm opisany powyżej – jemu najchętniej uczą wdzięków...

Z tego względu mężczyźni najchętniej by się pozabijali, by wdrapać się na szczyt drabiny (i zabijają się; kobiety to najczęstsza przyczyna morderstw na całym świecie; częstsza niż wojny!), ale wiedzą też – od czasów polowań na mamuty – że na dłuższą

metę bardziej opłaca się współpraca. Owszem, lider zgarnie najatrakcyjniejsze kaski (kobiety i mamucie), ale wszystkiego przecież nie przetrawi. Dobry lider też to wie. Musi znaleźć równowagę między dowartościowaniem swoich ludzi a respektem, który w nich budzi. Musi również pojąć, że będą mu posłusznymi, dopóki im też się to opłaca.

W „Ocean's Eleven” widać to jak na dłoni. 150 milionów do podziału na równe części – to propozycja, za którą można szefa polubić. Ocean ma zatem, co chce: solidarną grupę specjalistów. Jednak kiedy okazuje się, że stawka w grze jest również Tess (Julia Roberts), żona Oceana (teoretycznie również element podzielnym; w praktyce – nie, gdyż właśnie niechęć do dzielenia się żoną, nawet byłą, z właścicielem kasyn Benedictem jest głównym motywem skoku), w zespole pojawiają się kwasy. Szczęśliwie szybko mijają, chłopięcą chęć zrobienia psikusza za 150 milionów dolarów zdecydowanie bierze górę.

„Ocean's Eleven” to uroczy film i chętnie obejrzę go nawet drugi raz. Skomplikowana intryga naprawdę wciąga, choć suma przypadków składających się na końcowy sukces jest tak duża, że należy całą historię traktować jak życzeniowy sen nastolatka, który marzy, by koleżanka z klasy wyżej choć raz na niego spojrziała. I raczej nie jemu – lecz przede wszystkim tym, którzy się już zestarli, a ciągle miewają podobne sny – radzę wziąć pod rozważenie poważny morał, jaki zawiera niepoważny film Soderbergha: Ocean, nie mogąc zrozumieć, co powoduje, że Tess wybrała Benedicta, pyta jak każdy chłopiec: „Czy on potrafi rozbawić cię tak jak ja?”. Oczywiście, że nie potrafi. Ale ma coś, co kobiety uznają za bardzo sexy: 150 milionów w gotówce. Kiedy nasz bohater przejmie ów seksualny atrybut, była żona szybko utnie wpływ na jego przestwory. Bo – jak pisał wieszcz – najpiękniejszy jest Ocean, kiedy się można nurzać w jego zieloności...

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

„Ocean's Eleven: ryzykowna gra”,

reż. Steven Soderbergh,

USA 2001, Warner

● SŁABE ● PRZECIĘTNE ● ZACNE ● ZNAKOMITE ● WYBITNE

GENIALNY KLAN

Nie mam wątpliwości, że określenie „genialny klan” odnosi się do działu marketingu filmu [tytuł oryginalny brzmi „The Royal Tenenbaums” – przyp. red.], a nie do jego bohaterów. Przekonać Akademię Filmową, by ten twór (równie udany co skoki Matei, Kruczka i Tajnera w Planicy) został nominowany do Oscara za scenariusz – do tego rzeczywiście trzeba geniuszu. Do zdobycia statuetki to jednak za mało. Tu potrzebny byłby nie genialny klan, lecz co najmniej Ku-Klux-Klan.

Royal Tenenbaum (Gene Hackman) opuścił przed laty rodzinę. Na stare lata – gdy bankructwo i niedołęstwo zajrzały mu w oczy – postanawia powrócić. Ale że celne spostrzeżenie Heraklita z Efezu (nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki) nie straciło nic na aktualności, okazuje się to niełatwe. W tak zwanym międzyczasie dzieci (Ben Stiller, Gwyneth Paltrow, Luke Wilson) dorosły i przestały potrzebować taty do zasypiania, zaś żona (Anjelica Huston) dojrzała do myśli, by budzić się przy kimś innym. Jednak Royal – jak zawsze nie dbając o uczucia innych – postanawia fortelem zająć opuszczone miejsce w sercach, a co ważniejsze – w domu rodzinnym. Wiele wody upłynie (w rzecze – patrz powyżej), zanim zrozumie swój błąd i zacznie naprawiać, co zepsuł przed laty. „Genialny klan” to zwłaszcza pod względem formy amerykańskie popluczyny po „Amelii”. Zupełnie jednak pozbawione smaku. Jak zawsze, gdy w *croissant* wypycha się mielonego, by zrobić z niego *fast food*. (AS)

reż. Wes Anderson, USA 2001, Syrena

TYTUS, ROMEK I ATOMEK WŚRÓD ŻŁODZIEI MARZEŃ

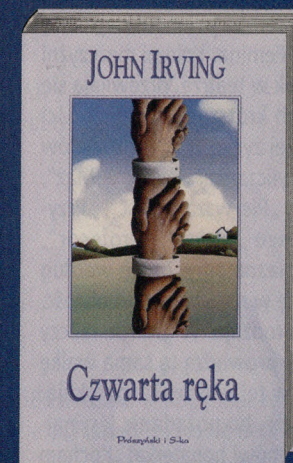
Animatorzy wykonali świetną robotę, dodając trzeci wymiar płaskim komiksowym rysunkom – najlepiej wyszły widoki Warszawy i magazyny z zakłętymi w próbkach marzeniami. Głos Marka Kondrata o dziwo do Tytusa pasuje (czego się nie da powiedzieć o jego partnerach, na dodatek tutaj niezróżnicowanych charakterologicznie). Nawet scenariusz wydaje się całkiem niegłupi. W końcu produkcja reklam ze skradzionych marzeń (co gorsza wywołujących chorobliwą żądzę posiadania) to rzecz niewątpliwie naganna i słusznie Tytus, Romek i Atomek rozprawiają się z takowym procederem, którym trudni się zły książę Saligia. Inna sprawa, że robią to w sposób, jakiego Papcio Chmiel, oryginalny twórca postaci Tytusa, by nie wymyślił. On zgodnie z chłopacką podwórkową tradycją rozwiązałby na pewno konflikt w sposób siłowy, niczym George W. Bush problem talibów. Scenarzystka filmu Małgorzata Sikorska-Miszczuk woli zaklęcia (czarodziejka Gruba Książka) odwołujące się do pojęcia dobra, wprowadza też iście freudowską psychoanalizę, wedle której tłumaczy postępowanie Saligii urazem z dzieciństwa.

Główny problem tkwi jednak nie w infantylnym dydaktyzmie filmu (to można przeboleć), lecz jego wiarygodności. Co z takiej walki z reklamami, jeśli przyparty do muru brakiem kapitałów producent wprowadził do filmu z takim przesłaniem *product placement* pewnej sympatycznej sieci sprzedającej kawalki kurczaków w panierce? Jedyna nadzieja w dzieciach, że nie zauważą kubeczka z brodatym dziadkiem wmontowanego w tramwajolot i reklamom przesadnie ufać nie będą.

Jest za to kapitalny smaczek dla wyuzdanych dorosłych. Udało się bowiem pokazać, jak prof. T'Alent realizuje swoje największe marzenie przerznięcia osiemnastki, i to w sposób niegorszący niż w filmie. W jaki sposób? Przepiłował tramwaj linii 18. (PDW)

reż. Leszek Gałysz, Polska 2002, Prószyński i S-ka/Syrena

Prószyński i S-ka
NAJNOWSZA POWIEŚĆ
JOHNA IRVINGA



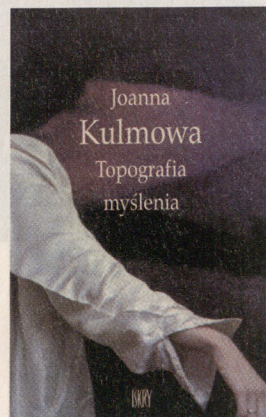
PATRONAT MEDIALNY

PDZE KRÓŹ MAXIM GEMPAK onet.pl VIVA! księgarnia internetowa www.merlin.pl

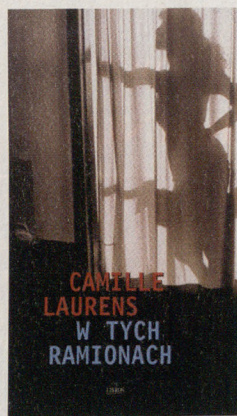
KSIAŻKI MOŻNA KUPIĆ TANIEJ
ZADZWOŃ, NAPISZ – PRZEŚLEMY CI KATALOG KKKK
adres: Garażowa 5, 02-651 Warszawa
tel.: 0-801-120-121, fax: (0-prefiks 22) 843-41-61
e-mail: klub@kkkk.com.pl
oraz w księgarni internetowej www.merlin.pl



Zbigniew Majchrowski
„Różewicz”,
Wydawnictwo Dolnośląskie,
Wrocław 2002



Joanna Kulmowa
„Topografia myślenia”,
Iskry, Warszawa 2001



Camille Laurens
„W tych ramionach”,
przel. Wiktor Dłuski,
Świat Książki, Warszawa 2001

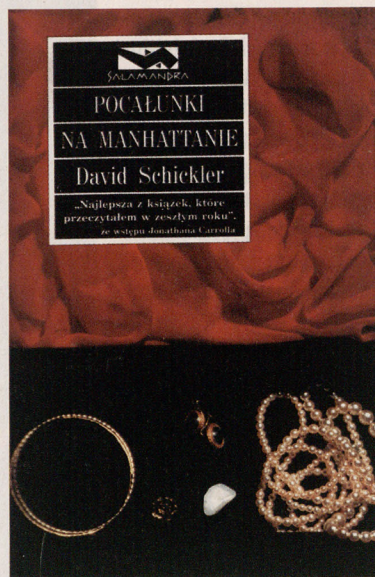


Bardzo dobry pomysł miało Wydawnictwo Dolnośląskie z tą serią zatytułowaną z Wyspiańskiego „A to Polska właśnie”. Co prawda zrobił się z tego trochę worek na różne tematy, ale podseria portretowych monografii trzyma się mocno. Po niedawnym doskonałym „Herbercie” Jacka Łukasiewicza – równie doskonały „Różewicz” Majchrowskiego. Lektura dla wszystkich, którzy chcą uzupełnić olej w głowie. Świetnie napisana, pełna najrozmaitszych fotografii, reprodukcji i innych wizualnych świadectw długiego życia bohatera (w ubiegłym roku Różewicz obchodził 80. urodziny) jest pokazowym przykładem dobrej roboty popularyzatorskiej. Niby o Różewiczu wiemy wszystko. Ale choć powstało kilka poważnych książek o jego twórczości (jedną z nich napisał sam Majchrowski), rzetelna monografia postaci autora „Niepokoju” należała się jak najbardziej. Dowiedziałem się z niej między innymi, że Różewicz pod kartki z pisanymi aktualnie wierszami podkłada stare gazety, żeby nowe słowa mogły „pogadać” ze słowami już spożytkowanymi, a w 1948 zamienił się z Kornelem Filipowiczem, dając mu obraz Jerzego Nowosielskiego w zamian za egzemplarz „Procesu” Kafki. (TN)

Nie każdemu z nas dana jest pamięć dziecka w sobie. „Topografia myślenia” Joanny Kulmowej, choć objętościowo skromna i bliska gatunkowo prozie poetyckiej, jest w dorobku poetki książką o wymiarze proustowskim. Wyznacza w przedwojennym pejzażu jej własną stronę Swanna i stronę Guermantes: zabarwioną klimatami z Schulza i Witkacego ulicę Sienkiewicza w Łodzi oraz babciny raj – Gustowną, Miłą i Wesołą w Tomaszowie. Te magiczne miejsca zatopione w niepowrotnej przeszłości mają swe zapachy, dźwięki i zaludnione są postaciami-cieniami, które wylaniają się w kolorze na ekranie pamięci. Dzieciństwo polskie i żydowskie, dzieciństwo mrocznych korytarzy i gniewnej zmarszczki na czole matki, dzieciństwo słodkie jak wytłudzony od pana sklepikarza karmelek. Bakcyła teatru zaszczepiła jej lektura fantastycznych bajek, wierszyków Konopnickiej, frywolnych „Słówek” Boya albo czytanych po kryjomu tragedii Szekspira czy Słowackiego. „Rozpycham pręty mojej klatki – pisze bez buntu Kulmowa. – Nie. Ja się z niej nie wydostanę. Nikt nie wydostanie się z dzieciństwa”. I dzięki temu duchy żyją, choćby te żydowskie dziewczynki z podwórka – Lilka i Róża, co „znów się istnieć uparły, bo tak bywa umarłym”. (HB)

Powieść „W tych ramionach” opowiada o mężczyznach. Camille Laurens jest profesorem literatury francuskiej, za tę książkę otrzymała prestiżową Prix Femina. Kolejni mężczyźni bohaterki mają wejścia i wyjścia jak w teatrze, przewijają się w korowodzie scen dłuższych lub krótszych w zależności od tego, ile miejsca zajmowali w jej życiu. Tytuły rozdziałów powtarzają się niczym dziecięca wyliczanka: „Ojciec”, „Mąż”, „Śpiewak”, „Profesor”, „Dziadek”, „Pierwsza miłość”, „Przyjaciół”, „Kochanek”, „Syn” i znowu „Ojciec”, „Profesor”, „Mąż”, „Nieznajomy”. Właśnie: nieznajomy. To, co według Laurens najbardziej pociąga kobietę w mężczyźnie, to obcość, spotkanie z kimś, kto nie jest z jej rodzaju. W gruncie rzeczy wszyscy – i mężczyźni, i kobiety – prowadzą tę samą walkę z własną śmiertelnością i gdzieś w tej walce się spotykają. Gdzieś, to znaczy w miłosnym akcie, bo pożądanie jest najlepszym narzędziem poznania. Jak mówi bohaterka: „Kocham mężczyzn, którzy chcą mnie poznać”. A pożądanie rodzi się właśnie z różnicy płci i z pragnienia, aby tę różnicę chociaż na moment usunąć i zatrzeć. (AP)

Samotniczy pewnej kamienicy



Pewnego wieczoru James Branch, młody księgowy z Wall Street, dokonuje dziwnego odkrycia. Na tyłach *sex-shopu*, w odrapanej oficynie, napotyka tajemniczy zakład jubilerski, a w nim nieprzebrane ilości drogocennej biżuterii. Jej obróbką zajmuje się stary człowiek, który obdarowuje intruza parą kolczyków z opalami. Ma to być prezent dla przyszłej, nieznannej jeszcze wybranki serca młodzieńca. Wkrótce ją spotka, ale osobiwej szlifowni diamentów już nie odnajdzie, mimo iż adres zapamiętuje doskonale, a podarunek od starca ciągle nosi przy sobie.

„Pocałunki na Manhattanie” Davida Schicklera także można nie zauważyć w stosie księgarskich nowości. Tymczasem jest to z pewnością prozatorska perełka – rzadka okazja, by przekonać się, jaką literaturę uprawiają nowojorczycy 30-latkowie. Schickler zadebiutował tą książką zaledwie dwa lata temu i fakt, że tak szybko ukazała się ona w Polsce, należy także uznać za cud. Być może jednak jest to robota Jonathana Carolla, pisarza również wydawanego przez Rebisa i autora przedmowy do „Pocałunków”. Prawdę powiedziawszy, niewiele mnie obeszła ta rekomendacja, ale sam podarunek przyjmuję z taką samą radością, z jaką James przyjął złote cacko.

To książka prowokująca zmysły do tego stopnia, że jesteśmy w stanie dojrzeć piękno nawet w foliowej torebce tańczącej na wietrze. Oczywiście odwodzę się tu do sekwencji ze słynnego „American Beauty”, ale też o wartości dzieła Schicklera nie decyduje wyłącznie autorski talent do operowania filmowo-malarskimi kadrami. Owszem, pisarz bez trudu wciąga odbiorcę w sam środek wykreowanej przez siebie przestrzennej iluzji, lecz przede wszystkim bardzo wnikliwie przygląda się ludziom.

Na okładce oryginalnego wydania książki grafik umieścił dziurkę od klucza. Bardzo to trafny skrót myślowy: bohaterami zawartych w tomie opowiadań są bowiem mieszkańcy luksusowej kamienicy. Zaproszeni przez autora do środka omijamy czujnego portiera, który strzeże nie tylko wejścia do domu, lecz także mrocznych tajemnic lokatorów. Dba o to, by nie wyszły one poza cztery ściany, korytarz oraz windę. Poza bezpiecznymi granicami swojej przystani młodzi nowojorczycy są sumiennymi japiszonami, bogatymi ludźmi bez właściwości. W domowym zaciszu nagle odzyskują dusze, ujawniają skrywane marzenia, kompleksy, zawiedzione ambicje. Tam dopiero wychodzi z nich nieśmiałość, okrucieństwo, samotność lub obłąd.

Większości z nich poświęcone zostały osobne opowiadania, ale z racji tego, iż tworzą hermetyczny krąg towarzyski, pojawiają się i w innych jako postaci drugoplanowe lub epizodyczne. Dzięki takiemu zabiegowi rysunki postaci stopniowo uzupełniane są o kolejne szczegóły, wiemy, jak kształtowały się ich losy i co się z nimi dzieje później. Niemniej w tej galerii wyróżnia się trójka bohaterów tworzących dziwny trójkąt: to wspomniany już księgowy James, utalentowana reporterka Rally

i szalony multimilioner Patrick. Ich ściśle powiązane ze sobą historie i finałowa konfrontacja łączą pozornie oderwane od siebie epizody w powieściową całość. Dopiero przy końcu dostrzegamy koronkość i precyzję konstrukcji, pojmujemy właściwe znaczenie każdego detalu. Z drugiej strony poszczególne portrety nic na tym zabiegu nie tracą, można się nimi delectować zupełnie oddzielnie.

Schickler zmyślnie łączy drapieżne demaskatorstwo z nadzwyczajną wrażliwością. Umiejętnie balansuje na granicy tragedii i komedii, zaś wiwsekcyjny niemal realizm miesza ze śmiechem i groteską. Na dodatek przyprawia wszystko niewielką porcją magii – tej najbardziej dosłownej i tej, której znamiona noszą intymne rytuały. I rozpatrując jego styl, nie mogę się oprzeć jeszcze jednemu filmowemu porównaniu: tak mniej więcej pisałby Lynch, gdyby nie wołał innej materii. Tyle że u tego twórcy Zło pokazuje czasem przerażającą twarz, natomiast u delikatnego Schicklera ma ono wyłącznie „niezdrowy, nieubłagany” zapach.

MARTA MIZURO

David Schickler „Pocałunki na Manhattanie”,
Rebis, Poznań 2002, 270 s.

OKIENKO Z WIERSZEM PASAŻER Grzegorz Wróblewski

Czy należy opodatkować dwór? Zdyszane rumaki
ciągną czarną karocę ulicami zaśniewanej Kopenhagi

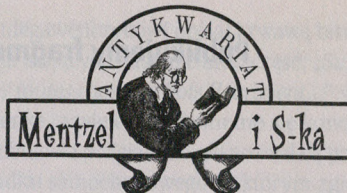
(Zerwać ordynansom ich błyszczące guziki?)
Biedne, skorumpowane szkap

Tyle poniżenia w zamian za kubek królewskiego
owsa.

Grzegorz Wróblewski (ur. 1962), poeta. Od roku 1985 mieszka w Kopenhadze. W Polsce wydał między innymi „Ciarnokawość życia”, „Planety”, „Prawo serii”. Opublikował także dwa tomy wierszy po duńsku.



RYŚ. PIOTR GIDLEWSKI



Antoni Słonimski „Załatwione odmownie.
Felietony, konfrontacje, polemiki i fraszki”,
PIW, Warszawa 1963, 177 s.
Antoni Słonimski „Załatwione odmownie.
Seria druga”, PIW, Warszawa 1964, 122 s.

Dwa zbiory felietonów Antoniego Słonimskiego z wczesnych lat 60. oraz „Przygody Hucka” Marka Twaina to były najśmieszniejsze książki mojego dzieciństwa. Czytając je, tarzałem się ze śmiechu po podłodze, co wśród domowników budziło zdumienie graniczące z lękiem. Aż tak gwałtowne paroksyzmy wesołości istotnie trudno było pojąć, tym trudniej że w dzieciństwie uchodziłem za ponuraka, w każdym razie śmiałem się rzadko, a z dowcipów opowiadanych w kółko przez dorosłych nie śmiałem się nigdy. Słonimski śmieszył mnie między innymi dlatego, że doskonale zdawał sobie sprawę, iż powszechnie demonstrowanie poczucia humoru przy każdej okazji staje się niezdrowe i należy temu z humorem przeciwdziałać. „Bardzo to zdrowa i dobra rzecz opowiedzieć żart absolutnie wyprany z dowcipu. Efekt jest piorunujący. Kiedyś w normalnym towarzystwie opowiadającym sobie ostatnie dowcipy opowiedziałem następującą anegdotkę: Do pewnej pani na ulicy podszedł jakiś pan i spytał: »Czy mogę panią odprowadzić?«. A ona się odcięła: »Nie. Niech pan lepiej siebie odprowadzi«. Nastąpiła głucha cisza i wszystkim zrobiło się bardzo przykro”. Dowcipy antydowcipy, które wśród ludzi na pozór dowcipnych wywołują słynną „głuchą ciszę”, w mistrzowski sposób stosował Mark Twain. Słonimski pisał, że naśladować humor Twaina jest równie trudno, jak trudno jest naśladować mistrza biegu przez płotki albo fachowego zonglera. Naśladowania Słonimskiego też bym nie polecał. Spróbujcie zresztą naśladować taką choćby historię: „Pamiętam, że kiedyś w Teatrze Polskim bohaterka sztuki Jewrieinowa wyszła na proscenium i krzyknęła tragicznie: »Więc, czy jest prawda?«. Siedzący obok mnie szlagon trzepnął się po udach i sapnął: »A niech cię kule biją! Zdrowy to był odruch“.

ZBMENTZEL@WP.PL

Publikujemy fragment „Mikrokosmosów” – nowej książki autora bestsellerowego „Dunaju”

CLAUDIO MAGRIS

Wzgórze

Claudio Magris (ur. w roku 1939) włoski germanista, profesor uniwersytetów w Trieście i Turynie, zyskał sławę jako autor bestsellerowego „Dunaju” (1986, wyd. polskie 1999). Przełożona na 16 języków książka była opowieścią o podróży od źródeł do ujścia rzeki, a jednocześnie w głąb historii i kultury naddunajskich krain. Międzynarodowym sukcesem okazały się także „Mikrokosmosy” (1997), zbiór kameralnych, autobiograficznych opowieści o ludziach i miejscach – oczywiście także o rodzinnym Trieście, gdzie wciąż obecne są duchy wielkich pisarzy tego miasta – Itala Sveva i Jamesa Joyce’a. Melancholia, ironia, skupienie się na detalach opisywanego świata sprawiają, że i w tej pisarskiej wyprawie Claudia Magrisa bierzemy udział z nieklamana przyjemnością. (MS)



W Cambiano mieszka pewien pan znany z długowieczności. Wkrótce ukończy sto jeden lat, lecz od kilku miesięcy czuje się marnie i złości się, ponieważ odkąd urządzili mu tę uroczystość i wyprawili kolację z okazji ukończenia setki, nie jest już taki jak dawniej – wzruszył się i wzruszenie mu zaszkodziło. Powinni mieć wzgląd na mój wiek, powiada, i żeby tylko nikomu nie przyszło do głowy świętować kolejne urodziny. Nie chce skończyć jak Norberto Rosa, poeta piszący w dialekcie i patriota („Wyperuczony łeb Metternicha niech nam z oczu szybko zniknie”), który zmarł w trakcie pisania poematu „Eliksir długiego życia”.

Kilkadziesiąt lat temu, po przejściu na emeryturę, starszy pan zamieszkał wraz z niezamężną córką w domu siostrzeńca w Chieri, przy milczącym założeniu, że będzie mógł w nim pozostać do końca życia. Siostrzeńcowi nigdy by nie przyszło do głowy go wyrzucić, ale wraz z upływem lat córkę, która zdążyła się już zestarzeć, zaczęły dręczyć wyrzuty sumienia z powodu przedłużającego się pobytu w jego domu, przepraszała go więc za każdym razem, kiedy do nich zachodził, i to zaraz po otworzeniu drzwi. „Rozumie pan, to żenujące”, powtarzał siostrzeniec, „więcej do nich nie zajrzę, nie wiem, jak mam reagować, nie mogę przecież jej powiedzieć, że ależ skąd, nic pilnego, lecz nie mogę też ich zachęcać, żeby się pospieszyli...”.

Cambiano ma ambicje kulturalne: tygodnie malarstwa organizowane na ulicach, występy teatralne na placach, zakątki ulic ożywione barwanymi obrazami i pomidorów wystawionych kilka metrów dalej. W domu naprzeciwko kościoła Stefano Jacomuzzi napisał pierwszą wersję swojej powieści „Słaby wiatr”, która opisywała z niezapomnianą intensywnością ulotność, daremność i wielkość życia, światło pór roku i zbliżanie się cienia, powieści łączącej współczucie i brak złudzeń, skrywaną *pietas* i pikarejską ironię, a wszystko to w poczuciu braterskiej i epickiej wędrówki ku owej ciemności, w której „umierają metafory”.

Postać z innej jego powieści, umierający papież, sądzi, że „wysłuchiwanie niemalże nieznanymi historii o życiu, które minęło obok nas, jest najmielszym sposobem, aby się z nim pożegnać”, i to właśnie w tym sensie, wielkiej i kruchej tajemnicy życia tu, na ziemi, może pojawić się jak w przypadku świętego pijaka Rotha nadzieja zbawienia. Narrator pojmuję, że wszystko gubi się i zatracą, jak gdyby nigdy nie było, ale i że tak być nie musi, niczym Panama Al Brown, bohater „Słabego wiatru”, który nie wie, gdzie szukać sensu tego, co mu umyka: „W sercu, powiadają, ale tam panuje wielki zamęt i trzeba się mieć na baczności...”.

Odczarowanie chroni wieczną zdolność do ulegania czarom. Melancholijna świadomość ambiwalencji serca pozwala żywić lęk i trwogę wobec życia, kochać jego wzruszające błędy i zaznać jego powszednich ciężarów, załadować je sobie na plecy, aby ulżyć naszemu bratu.

Stefano, sól ziemi. Czuliśmy się z nim mniej samotni w twórczym i zamkniętym świecie. Odkąd odszedł, wielu trudniej jest żyć i śmiać się mimo wszystko, cieszyć się każdą chwilą jako zamkniętą całością. „Co byś zrobił – to znów jego słowa – spytał pobożny i pyszny krewny świętego Ludwika Gonzagi, kiedy ten bawił się w dzieciństwo, gdybyś wiedział, że za kilka chwil umrzesz?”. „Bawiłbym się dalej” – odpowiedziało dziecko.

San Pietro ma się do Pecetto jak Alba Longa do Rzymu; w czasach kiedy nazywało się Covaccio, czterdziestu czterech jego wojowników zbudowało nową osadę, Pecetto, która wkrótce miała stać się ważniejszą od pierwotnego ośrodka. Strumyk, czyli rio Canape, przybrał nazwę rio Vajors za sprawą licznych kości trupów – „*l'ri dj òss*” – pochowanych po bitwie 23 kwietnia 1345 roku, kiedy hrabia Monferrato zabawił na czerwono jego wody krwią żołnierzy Roberta Andegaweńskiego. Poeta

towarzyszący pokonanemu Andegaweńczykowi opisał krwawą bitwę. Początek wiersza nie zapowiada mających nastąpić nieszczęść: „*Sur le doux temps, que renverdissent / toutes choses et bois fleurissent...*”. Podobnie zaczyna się każda piosenka, a wiele z nich smutno się kończy. Również dziecinne zabawy w złodziei i policjantów nie pozwalają przewidzieć nowotworu albo wypadku samochodowego, w którym zginie dziecko, a czuły miłosny pojedynek trwający jeden wieczór nie zapowiada grubiańskości lekarza dokonującego aborcji czy kłótni kończących się w sądzie z powodu wspólnie kupionego mieszkania. I nawet kiedy wszystko układa się lepiej, finał jest zawsze katastrofą.

W letni wieczór przyjemnie jest wyciągnąć się na trawie w pobliżu trzcin. Ciemność jest głęboka, wygina się w łuk absydy kościoła, czarne

niebo zdaje się granatowe; również bardzo czarne włosy zdają się niekiedy granatowe. Zdarza się, że wzrok wpatrzony w górę nie znajduje już gwiazdy, może zapadła w ciemność pochłonięta przez mrok jak sztuczne ognie. Droga Mleczna świeci, połyskuje czarna woda. Nie należałoby bać się zapaść w nią jak w morze, zniknięcie mogłoby przecież być równie dobrze świętem, podobnie jak zabłądzenie wśród wzgórz, które wieczorem wyglądają jak morze, wielkie, łagodne fale i ich długi, potężny oddech.

San Felice leży w pobliżu Madonny della Scala. Malutkie miasteczko tonie w zieleni: winnice, pnące rośliny, cisza, żółte jesienne słoneczniki, a dalej płowe baszty Castelvecchio. Zatrzymać się,

zasnąć, zniknąć. Ale wciąż pora ruszać w drogę. „*Gentil galant, faites votre voyage*”, mówi w piosence pasterka.

Do Revigliasco, gdzie D’Azeglio pobił się za młodu ze swoim preceptorem don Andreisem i gdzie później członek kwadrumwiratu De Vecchi zamieszkał w pięknej willi. Na placu don Girotta anioł bez głowy, obok kościoła parafialnego, odwraca się plecami od Matki Boskiej, nie żywiąc najwyraźniej najmniejszej chęci, aby zwiastować jej nowinę, która zmieni historię świata. Nie ma już natomiast odpowiedniego dla wąskiego strumyka mostka, którego patronem jest również don Girotto – unicestwił go nieuchronny postęp. Revigliasco pozostaje wciąż „miejscem o idealnym powietrzu”, jak głosi formuła zawarta w sprawozdaniu z ćwiczeń duchowych z 1760 roku, i to również stanowiło źródło rozkwitu. Nic zatem dziwnego, że budowa szerszej drogi przyczyniła się do usunięcia nędznego mostka. Aby ułatwić dostęp do nowych willi na wzgórzu, Historia przeszła także w roztrągnięciu po tabliczce z jego nazwą.

Tabliczka – o istnieniu której zaświadcza także pan Felice, stolarz z Revigliasco, zakochany w każdym kamieniu z okolicy – zawierała w epickiej syntezie, podobnie jak tablica nagrobna, życie osoby, której poświęcony jest most. Jak poucza *Spoon River*, napis nagrobny stanowi lakoniczną opowieść o życiu człowieka, epitafium zawierające w sobie jego sens. Prawdopodobnie czyni każdego układają się w jeden wiersz, a napis nagrobny kondensuje go, zapisuje i zamyka w owej niekończącej się *opera omnia*, jaką są cmentarze.

Miał życie godne pozazdrosczenia bohater zaginionej tabliczki z Revigliasco, która głosi: „Most imienia don Girotta, 1857–1943, Filozofa – Łacinnika – Enologa. Przez pięćdziesiąt dwa lata był prałatem w Revigliasco”. Te trzy słowa: Filozof – Łacinnik – Enolog, to pomnik wzniesiony ku czci don Girotta, jeszcze bardziej wyrazisty w swojej zwężłości niż jego autobiografia i słynne maksymy zebrane i opublikowane przez jego następcę, które pozostają wciąż żywe, tak jak on sam, w pamięci ludzi zamieszkujących wzgórze.

Filozofia dla prałata z Revigliasco oznaczała chyba przede wszystkim poczucie humoru, ironię, znikomość wszystkich rzeczy skończonych



– oraz nas samych – wobec ogromu nieskończoności stanowiącego tło wszelkiego ludzkiego doświadczenia. Taka postawa pozwala nie traktować siebie zbyt poważnie, uwalnia od trucizn niepewności i pychy, pozwala również nie traktować zbyt poważnie wszelkiej pretensji do wielkości, uwalnia więc od lęku. W obliczu wieczności wszystko wydaje się małe, ale w swej małości wyposażone w taką samą godność jak cała reszta – również i to, co groźne w swej potędze. Ironia staje się przepełnioną miłością i nieugiętą obroną wszelkiego stworzenia, nawet najślabszego i najmniej widocznego, przeciw daremnej pompie świata pragnącego je unicestwić.

Anegdota don Giotta – jego „drobiazgi” zebrane przez Nicolę Cunibertiego – ujawniają jego dobrotliwy, choć nie pozbawiony złośliwości humor, bezpośredni i pozbawiony szacunku styl jego sławnego biuletynu, tak niepokojącego jego zwierzchników, uszczypliwe odpowiedzi udzielane faszystowskim hierarchom, poufałość ze zwykłą, dobrą, oporną rzeczywistością ciała, z elementarnym fizycznym życiem. Współczucie życzliwego ludziom proboszcza o niewyparzonemu języku oznaczało przede wszystkim brak „ludzkiego poważania”, religijną śmiałość będącą często antytezą mieszczańskiego ducha.

Wydawca owych drobiazgów odradzał ich lekturę „osobom o wrażliwym sumieniu”, które mogłyby się oburzyć na jego pomysły albo na opowiadanie o tym, co przydarzyło mu się podczas pielgrzymki do Lourdes, kiedy wstawszy z łóżka, poślizgnął się z powodu zapalenia nerwu w nodze i nabił sobie dwa guzy na głowie.

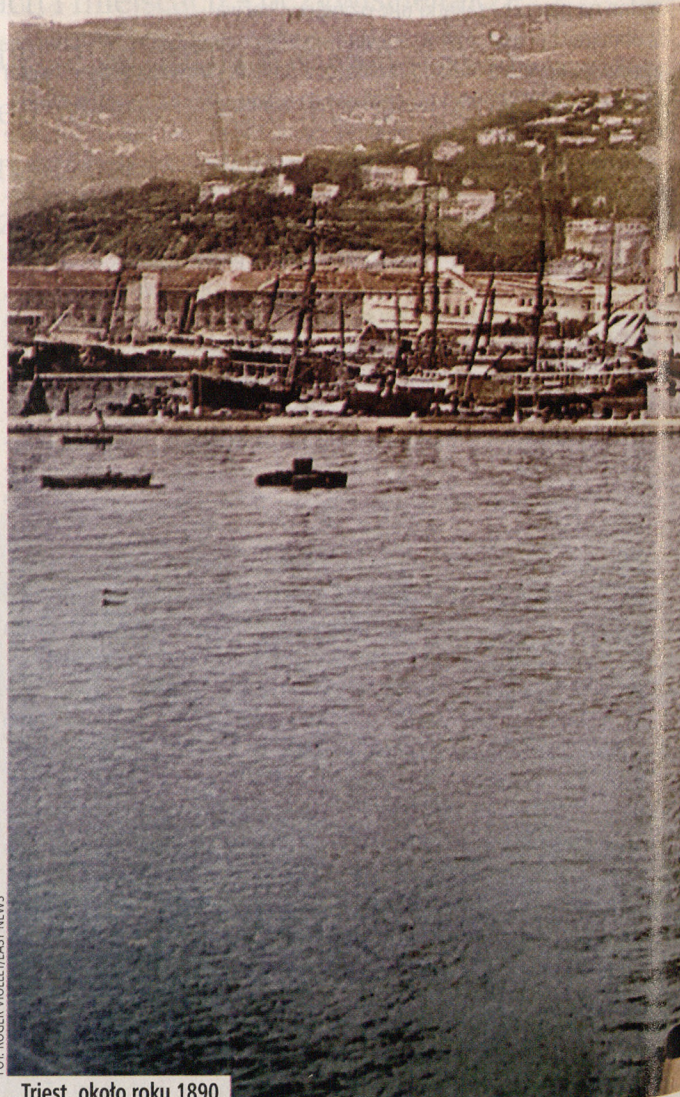
Niski, chudy, niechlujny, z twarzą zdającą się być wiernym odbiciem piemonckiej ziemi i jej wina, don Girotto godzinami był swoich parafian, owych mieszkańców Revigliasco, których Casalis w swoim Słowniku Historyczno-Geograficznym opisywał jako „dobrze zbudowanych, silnych, zgrabnych, zdrowych, długowiecznych, obyczajnych i pracowitych”. Poeta egzystencji oraz, oczywiście, mistrz w trudnej sztuce bycia wesołym, prałat z Revigliasco był prawdziwym pasterzem swojej trzody w trudnych latach burzliwych przemian społecznych. Był łagodny jak gołąb, ale również chytry i przebiegły jak wąż, ponieważ pasterz, aby bronić trzody, musi wiedzieć, że słabi i biedni są niczym owca wśród wilków, musi zatem umieć rozpoznać wilki, a jeśli trzeba, rozprawić się z nimi. W miasteczku wspomina się nie tylko jego wielkoduszość, lecz także subtelność dyskrecję, z którą zniknął na czas żniw, aby chłopcy pracujący na parafialnych polach mogli kraść bez żenady.

Filozof, Łacinnik, Enolog – jego sekret tkwi może w tych trzech słowach. Dziś jeszcze w oratorium jemu dedykowanemu królują na ławach i półkach liczne butelki wspaniałych czerwonych win z Piemontu. Prawdopodobnie łącznik między trzema kategoriami, więź utrzymującą je w jedności, stanowi słowo, które nie przypadkiem genialny i anonimowy autor tabliczki umieścił słusznie w środku: Łacinnik. Dla prałata łacina to było *latinorum* z duchownego seminarium, język wzywający wiernych na nabożeństwa, a po mszy wysyłający ich do domu. To była przede wszystkim klasyczna jasność, składnia hierarchizująca chaotyczną mgławicę świata i umieszczająca rzeczy na właściwym miejscu: podmiot w mianowniku, dopełnienie bliższe w bierniku. To był ład, logiczny i moralny, który klasyfikuje, rozróżnia, definiuje, sądzi, oddziela grzechy powszednie od śmiertelnych, cienie niewyraźnych myśli od sprecyzowanych zamiarów, czyny od fantazji. W takiej symetrii znajdowało się miejsce na wszystko: na prawdy objawione i butelki dobrego trunku, na mijanie pór roku i przemiany nawyków i obyczajów, na budujące epizody z żywotów świętych i epikę ukrytą w dojrzejącym kłosie zboża, na geometryczną strukturę płatka śniegu i na jego topnienie w nicości.

Ten martwy od stuleci język był również językiem ironii, tego, co istnieje jedynie w słowie i budzi miłość oraz szacunek z powodu swojej arbitralnej i napuszonej nierzeczywistości, która wywołuje czuły uśmiech. Łacinnik enolog wiedział prawdopodobnie, że gładka

powierzchnia łaciny przypomina smak *barbery* i *dolcetta*, który tak szybko spływa do kieliszka i do gardła i zasługuje na uwagę i doświadczenie takie samo, jakiego wymaga zajmowanie się owocami winorośli. Teologia łączy się z enologią, jak zdarza się to nierzadko w tej okolicy, skoro już w dawnych czasach teolog Allasia jako jedyny otrzymał królewski przywilej dostarczania wina własnej produkcji na piazza Carlina.

Inny zatwardziały Piemontczyk, Giovanni Vittorio Amoretti, opowiadał, że ukończył liceum u ojców pijarów, gdzie mówiło się wyłącznie po łacinie i gdzie panowała surowa dyscyplina, której reguły próbował zresztą obejść, spuszczać się po prześcieradle z okna prosto w krzaki. Pewnego wieczoru, wracając do kolegium, został zauważony przez ojca gwardiana. Kiedy usłyszał kategoryczne: „*Amoretti, veni foras!*”, musiał wyjść ze swojej kryjówki za żywoptem. Przepytany – po łacinie – przez ojca przełożonego, zaplątał się, bo nie mógł sobie przypomnieć, jak jest „prześcieradło” w języku Rzymu, a wtedy ojciec przełożony wyznaczył mu drobną karę, nie z powodu wymykania się z kolegium, oznajmił, faktu godnego pożałowania, lecz wybacznego, zważywszy na wiek ucznia, ale z powodu nieznamośności łacińskiego odpowiednika słowa „prześcieradło”.



Triest, około roku 1890

przyczyny jego wybryków. Modlitwa to także uwaga wobec rzeczy, wdzięczność za świat stworzony.

Wiedza o łacinie i wiedza o winie stały się dla don Giotta wiedzą filozoficzną, sztuką znikania elegancko ze świata, niczym goście. Pisał po łacinie dystychy wychwalające uroki rodzinnego miasteczka Orbassano i jego polenty. Arkady łacińskiej składni, pod którymi absurdalność rzeczywistości zmieniała się w przebiegłą niewinność, przypominają tajemniczy i prosty obiektywizm, z jakim biograf don Giotta, don Cuniberti, opisywał w swoim uczonym dziełku odwieczną rywalizację między Revigliasco a pobliskim Pecetto. „Owa niechęć między dwoma miasteczkami”, pisał spokojnie wielebny, „wybuchła niezmiennie w najświętszy dzień roku: po nabożeństwie w Wielki Piątek dzieci wyruszały ze swoich parafii i szły na oba brzegi potoku Gariglia, gdzie tradycyjnie obrzucały się kamieniami, i w rezultacie po obu stronach byli poszkodowani i ranni”.

Enologia i miłość do łaciny, głęboka *caritas* wobec bliźniego i świadomość komiczności egzystencji, wiara i odczarowanie łączyły się w filozofii eleganckiej i solidnej. „Drobiazgi” don Giotta zdradzają poczucie wolności kogoś, kto pojął, że jeśli chodzi o wielkość czy in-

teligencję, różnice między ludźmi, między uniwersalnym geniuszem a jakimś nieszczęsnym pocziwcem, wydają się ogromne, ale w rzeczywistości są minimalne, kiedy chodzi o śmierć, ból, wojnę, którym nawet geniusz nie jest w stanie zapobiec ani których nie potrafi przewidzieć, i podobnie jest w obliczu bezsenności, nędzy, bólu zębów. W obliczu zwykłej rzeczywistości życia wyjątkowe wyczyny geniusza przypominają podskakiwanie pchły na tle Himalajów.

Z taką filozofią łatwiej jest patrzeć w twarz śmierci. Jego następcy, żyjącemu najwyraźniej hamletyczne i barokowe upodobania, podobna się czaszka ostrzegająca zwiedzających w ogrodzie przyległym do oratorium: „Byłem taki jak ty, będziesz taki jak ja”. W innym stanie ducha osiemdziesięciosześcioletni don Girotto na krótko przed śmiercią podczas mszy odprawianej w Dzień Zmarłych oznajmił: „Teraz na mnie kolej”. Zaraz jednak dodał: „Ale nie obrażę się, jeśli będę musiał kogoś przepuścić”.

Przełożyła JOANNA UGNIIEWSKA

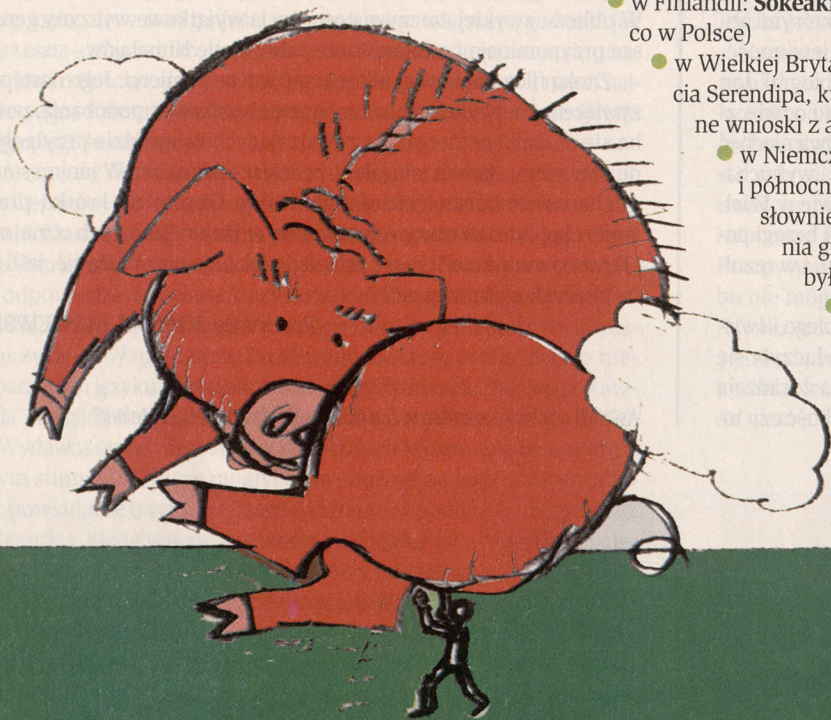
Książka ukaże się wkrótce w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”



Kici Kici

Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów
w różnych językach świata

- w Polsce: **Trafiło się ślepej kurze ziarno**
- w Finlandii: **Sokeakin kana loytaa jyvan** (dosłownie znaczy to samo co w Polsce)
- w Wielkiej Brytanii i Irlandii: **Prince Serendip** (chodzi o perskiego księcia Serendipa, który słynął z tego, że zawsze wyciągał absolutnie słuszne wnioski z absolutnie błędnych przesłanek)
- w Niemczech, Austrii, Liechtensteinie, wschodnim Luksemburgu i północnej Szwajcarii: **Du hast Masslose Schwein gehabt** (dosłownie: masz bezgraniczną świnię; pochodzenie tego wyrażenia ginie w mrokach czasów, w których posiadanie świni było oznaką szczęścia)
- we Włoszech: **Che culo che hai!** (dosłownie: ale masz tyłek!)
- w Egipcie: **Gdy przychodzi szczęście, ze ślepca robi zegarmistrza** (tym razem podajemy tylko tłumaczenie, gdyż oryginalny tekst arabski zająłby zbyt dużo miejsca)
- na Ukrainie: **Trapyłos jak kurci proso**
- we Francji: **Réussir par raccroc** (dosłownie: udało mu się fuksem)
- w Danii: **Det er ufortjeneste fejre** (dosłownie: to niezastużona chwala/sława)
- w Turcji: **Turnayý gözünden vurmak** (dosłownie: trafić żurawia w oko)



Właśnie tak

daje słowo



We „właśnie” jest „nie”, ale to nie przeczenie. „Właśnie” częściej potwierdza, niż przeczy. Bywa, że nawet bardzo silnie potwierdza. Niemal tak silnie jak rozpowszechnione dzisiaj „dokładnie”, które **właśnie** dlatego, że tak silnie i dokładnie potwierdza, chętnie jest używane i chętnie słuchane. Przez tych, którym się potakuje. Ale „dokładnie” jest zapożyczone, przetłumaczone z angielskiego *exactly*, a „właśnie” jest nasze. Własne.

„Właśnie” jest przy tym dyskretniejsze. Nie potwierdza i nie pochlebia tak nachalnie. Czy tak? **Właśnie** tak. Bo może, choć z rzadka, i zaprzeczyć. Zrobić **właśnie** na odwrót. Inaczej, niż myślałem. Myślałem, że nie, a tu **właśnie** tak. Wtedy „właśnie” przybiera sobie często „a”, a czasem i „że”. A **właśnie**, że tak. A **właśnie**, że nie.

No **właśnie**. Tak się czasem zastanawiam, jak zgubię wątek: no **właśnie**, o czym to ja chciałem? Aha, o „właśnie”. Jak powiem „właśnie”, to zaraz znajdę. Albo udam, że znalazłem. I to **właśnie** to, czego szukałem. Czyli – akurat to, nie co innego. Bo „właśnie” i sobie samemu potwierdza, i pokazuje, że nie co innego, ale **właśnie**, akurat, *ausgerechnet* to i nie innego.

Umożliwia taką rozmowę z sobą samym.

A **właśnie**, byłbym zapomniiał, ma też funkcje retoryczne.

„I dlatego **właśnie**...” – tak wywodzę z wątku wcześniejszego, żeby być bardziej przekonującym. Ale mogę nie przekonać. I wtedy **właśnie**, kiedy już wszelką nadzieję straciłem, a przekonywani mówią mi co innego, niż chcę – mogę chytrze wykrzyknąć: „No **właśnie**, sami

widzicie!” i pozostawić ich jeśli nie przekonanych do moich racji, to na pewno mniej przekonanych do racji swoich.

Właśnie wtedy, bo „właśnie” i do czasu się odnosi, tak jak i „akurat”. „Kładłem **właśnie** w strzemień nogę” – mówi Papkin, choć on **właśnie** akurat pewnie wcale nie kładł. On **właśnie** nie. W szczególności on. Nie wiadomo jak inni, ale on – nie.

Inni też często próbują po papkinowsku poudawać. „**Właśnie** miałem do ciebie zadzwonić” – słyszę w słuchawce od kogoś, do kogo w końcu zadzwoniłem dlatego **właśnie**, że on sam nie dzwonił. Akurat. Wcale nie miał. „To **właśnie** chciałem powiedzieć” – mówi ktoś, kto miał dosyć czasu, żeby powiedzieć to i dwa razy, ale nie powiedział. Może i chciał, ale poczekał, aż ja to zrobię.

Czasem się zastanawiam nad różnymi rzeczami: a gdzie, co, a jak, a kiedy i dlaczego. A odpowiedzi są często proste. To **właśnie** tu. **Właśnie** tak. **Właśnie** teraz i dlatego. A gdzie ta Polska na przykład, zastanawia się Jagusia, a kaz ta? Kładzie rękę na zakładkę gorsetu – a to Polska **właśnie**!

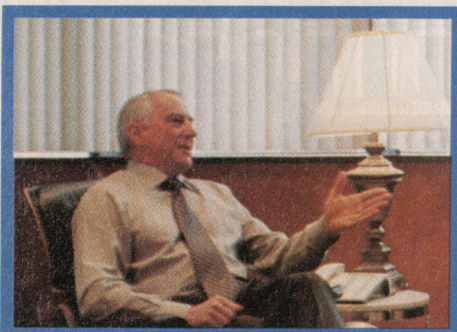
I tak **właśnie** jest. Tak to już jest. Dokładnie tak. Nie inaczej. *Ausgerechnet*. W tym momencie.

I **właśnie** dlatego je lubię. Głównie z tych **właśnie** wszystkich powodów. Nie z innych.

Jerzy Bralczyk

Inne pytania

Zbigniew Niemczycki, biznesmen, w rozmowie z Marią Czubaszek



MARIA CZUBASZEK: Mówi się, że chcesz to móc. Ale tak się tylko mówi. Czy tak jest naprawdę?

ZBIGNIEW NIEMCZYCKI: To prawda. Mój ojciec powiedział mi kiedyś, że jeśli będę miał ambicję, żeby w życiu czegoś dokonać, być ponad przeciętną, to jeśli znajdę się w otoczeniu ludzi, dla których chcesz to nie móc, oni ściągną mnie w dół. Trzeba być pragmatycznym optymistą i otaczać się entuzjastami, którzy wierzą, że głową da się przebić ścianę.

Nabił Pan sobie kiedyś guza? Czy jest Pan z tych, którzy bez pokera nie wchodzi do gry?

Głową da się przebić ścianę

– Pokera ma się rzadko. Zwłaszcza w biznesie. Nie ma takiej firmy ubezpieczeniowej, która da ubezpieczenie na każdy biznes.

Czyli kto nie ryzykuje...

– Każdy. Ale kto ma predyspozycje, co jest kwestią instynktu i wiedzy, ryzykuje mniej. Inny idzie w ciemno.

Bo też wierzy, że głową da się przebić ścianę? A wynik zależy od ściany, a jeszcze bardziej od głowy?

– I od nosa.

Pan ma. A czy ma Pan w nosie pieniądze?

– Wychowałem się w rodzinie niezamożnej. W poszanowaniu, ale nie kulcie pieniądza. I znowu powołam się na swego ojca. Po-

wiedział mi, że jeśli będę człowiekiem sukcesu, a za sukcesem przeważnie idą pieniądze, nie mogę dać się im ubezwłasnowolnić. To nie one powinny kierować mną, tylko ja nimi. Bo przestanę być sobą.

Więc nie: być czy mieć, ale mając – być?

– W moim przypadku to bardzo ważna sprawa. Znam dziesiątki przykładów, kiedy człowiek dał się zwariować.

Co potwierdza powszechną opinię, że pieniądze zmieniają ludzi?

– Niestety. Niektórych kompletnie. **Osobiście odnoszę wrażenie, że tylko niektórych nie zmieniają.**

– Tak czy inaczej...

Nie wszystkim do twarzy z pieniędzmi? Jak na przykład Andrzejowi Olechowskiemu?

– A Pani zdaniem...

To jego zdanie. Że jest jednym z nielicznych polityków, którym z pieniędzmi do twarzy.

– On nawet mówi, że urodził się w pierwszej klasie. Oczywiście samolotu.

Domyślam się, że nie wiejskiej podstawówki. Ale wracając do Pana. Skoro pieniądze Pana nie zmieniły, czy jest coś, co sam chciałby Pan w sobie zmienić? Inaczej. Czy jest coś, czego Pan w sobie nie lubi?

– Dokładność. Na pograniczu obsesji. I to się z wiekiem pogłębia. W sumie jest to cecha dobra, ale momentami przeszkadza i jest dla ludzi męcząca.

Nie wygląda Pan na mękołę. Cokolwiek to znaczy, naprawdę Pan nie wygląda. Ale à propos... Czy wyglądalność kobiety...

– Chodzi o to, jak wygląda?

Dokładnie. Czy jest to dla Pana najważniejsze?

– W pierwszym momencie na pewno. Jak większość mężczyzn jestem wzrokowcem. Najpierw widzę. Piersi, włosy, pupa... I albo na tym się skończy...

Albo?

– Zafascynuje mnie jako osoba. Nierzadko na tyle, że zdominuje pierwsze wrażenie.

I wtedy to jest to?

– „To” już mam. Ale na pewno nigdy nie interesowały mnie kobiety typu „siedź cicho, nic nie mów, patrz na mnie”.

A patrząc na to od strony kobiety...

– Myślę, że kobieta patrzy na mężczyznę bardziej pragmatycznie. Jak na swego potencjalnego partnera. A więc na to, kim jest, czy zapewni jej stabilizację...

I dlatego nie traci raczej głowy dla bezdomnego z Dworca Centralnego? Choć miłość podobno jest ślepa? Przepraszam. To nie jest pytanie dla wzrokowca. Więc inne. Czy ostatnio coś Pana zbulwersowało?



– Krytyka filmu Jerzego Antczaka. Bo to nie jest próba robienia Hollywoodu z dykty i papieru. To uczciwie, pięknie zrobiony film. I jeśli ktoś posiada choć trochę wrażliwości, to go poruszy. Ale lata pracy nad tym narodem sprawiły...

Że mamy wrażliwość bohaterów reality show, którzy płacząc, nominują swych „przyjaciół” do odstrzału? Bo takie są zasady?

– Gorzej: że wciąż obowiązuje zasada, iż polski artysta, żeby zyskać uznanie, musi albo umrzeć, albo wyjechać za granicę.

I to kusi, i to nęci... Ale poważnie...

– Wierzę, że to się zmieni.

Jednak naprawdę jest Pan optymistą!

– Pragmatycznym.

Ryba, która
nie przypomina ryby,
może sprawić,
że polubisz coś,
czego nigdy nie lubiłeś

Perswazja

Łacińskie porzekadło głoszące, że nie można spierać się o gusta, jest w naszej kulturze mocno nadużywane. W końcu prawie zawsze spieramy się o gusta, tyle że to, co jest rzeczą gustu, nazywamy poglądem lub przekonaniem. Całe szczęście, na arenie kulinarnej retoryka idzie w odstawkę, a perswazja musi mieć charakter całkowicie materialny. Jak kogoś przekonać, żeby polubił coś, czego nigdy nie lubił? Fortelem – jakżeby inaczej? Przytoczę kilka spośród nich.

Pewien warszawski finansista, o którym już wspominałem w tej rubryce, uwielbia ryby, lecz związał się z kobietą czującą do ryb zdecydowaną niechęć. Owszem, podczas wakacji nad morzem zje smażoną flądę, ale tylko po to, by wtopić się w lokalny koloryt. W mieście sandacze, łososie i pstragi w zagadkowy sposób kojarzą jej się z rybą ze szkolnej stołówki, czyli anonimowym

wym filetem w panierce podawanym z ziemniakami i surówką z kiszzonej kapusty. (Zresztą trudno się dziwić przeciwnikom ryb, których w dzieciństwie zmuszano do jedzenia takiego paskudztwa). Zatem Sebastian – bo o jego narzeczonej mowa – postanowił przemówić jej do smaku kotлетem z łososia.

Ugotował na parze dzwonko łososia, kiedy ostygło, pozbawił je skóry i ości, następnie połączył z kilkoma łyżkami zeszklonej czerwonej cebuli, jajkiem, odrobiną maki kukurydzianej i bułki tartej, uformował małe kotleciki i usmażył je w oleju. Do nich przyrządził majonez, który doprawił bazylią oraz papryczką chili opieczoną nad gazem, obraną, wypestkowaną i drobniutko posiekaną. Majonez był pikantny, aromatyczny i pięknie harmonizował ze skropionym sokiem z limony kotlecikami. „Basta” odniósł triumf:

podał rybę, która nie przypominała ryby, a dzięki temu okazała się pyszna. Powinszować.

Bywa i tak, że perswazja nie polega na bezpośrednim oddziaływaniu na kubeczek smakowy grymaszącej osoby. Pewien londyński architekt tak wspomina pierwszy kontakt z kawiozem: „Rodzice urządzili wielkie przyjęcie, na którym podawano bielejącą prosto z osadzonych w półmiskach z lodem puszek. Miałem około 12 lat i od razu dostrzegłem podniecenie gości, którzy starali się zachowywać salonowe maniery, ale tak naprawdę chcieli się po prostu rzucić na te duże puszki czarnego kawioru. Mnie też udzielił się ten entuzjazm, nałożyłem sobie sporą porcję i przekonałem się, że dorośli to idioci. Jak można jeść takie świństwo, a w dodatku udawać, że smakuje? Wkrótce potem dowiedziałem się, że kawior to rzecz bardzo droga i ekskluzywna. Świadom tego, skosztowałem go ponownie, i o dziwo, zaczął mi smakować. Nawet bardzo”. Mamy tu jednak do czynienia z autoperswazją.

Prawniczka z Chicago – pół Jamajka, pół Kolumbijka – z niejasnych przyczyn chciała polubić surowe ostrygi. Zawsze lubiła ostrygi smażone w panierce podawane z sosem tatarskim lub tabasco, lecz surowe napawały ją obrzydzeniem. Wiedziała, że własnymi siłami się do nich nie przekona, więc poprosiła, żebym jej pomógł. Powiedziałem, że świeże ostrygi są rzeczą bardzo drogą i ekskluzywną, lecz nie wywarło to na niej najmniejszego wrażenia. A kłopot polegał na tym, że niewiele da się zrobić z surową ostrygą. Zmiana jej smaku czy konsystencji wiąże się z przemianą ze stanu surowego w stan uduszenia, upieczenia lub usmażenia. Postawiłem wszystko na jedną kartę i przyrządziłem sos z soku z ostryg, soku z limony, natki kolendry i dużej ilości bardzo grubo zmielonego czarnego pieprzu. Wybrałem gigantycznych rozmiarów ostrygi, których w żaden sposób nie można było zjeść w całości, bez pokrojenia na mniejsze kawałki. Podałem do nich kalifornijskie *chardonnay* o upojnym bukacie. Pani mecenas zjadła sześć wielkich ostryg, powtarzając, że nie rozumie, co ludzie w nich widzą, lecz wcinając z ewidentnym apetytem. Udało się – lecz na wszelki wypadek miałem w odwodzie kielbaski.

Jednak to wszystko luksus i zbytek. Jak przekonać malkontentów do polubienia potraw właściwych skromnym budżetom domowym? Takich jak salceson, kaszanka czy kiszona kapusta? Jeśli chodzi o salceson, proponuję podanie go z sałatką z porów na ciepło, ugotowanych na parze i wytyłanych w sosie winegret przyrządzonym ze słodkawej musztardy (na przykład sarepskiej), octu z czerwonego wina, soli, pieprzu i oliwy. Chrupiący chleb i prosta wódka niewielkim kosztem uzupełnią obraz domowego szczęścia. Danie to nosi nazwę Fortel z porów. Niestety, nikt jeszcze nie wymyślił Fortelu z kiszzonej kapusty.

TADEUSZ PIÓRO



RYŚ. MARIUSZ WILCZYŃSKI



Tylko tak można bezpiecznie latać samolotem

Uroki latania

Boisz się latać samolotem?

W tym artykule znajdziesz kilka powodów, dla których powinieneś bać się jeszcze bardziej. Pamiętaj: od tego miejsca czytasz na własną odpowiedzialność!

Ann Price miała 57 lat. 24 lutego wraz z mężem wsiadła na pokład samolotu linii Virgin Atlantic z Miami do Londynu. Podczas siedmiodzinnej podróży w jednej z tyłek pani Price wytworzył się zakrzep. Kilkanaście godzin później oderwał się i zatkał tętnicę płucną, wywołując zator. Pasażerka zmarła w szpitalu dzień po powrocie z wakacji. Przyczyną śmierci była choroba nazywana umownie syndromem klasy ekonomicznej (w skrócie ECS).

Umownie, bo państwo Price lecieli *business-class*, a ECS wbrew nazwie dotyczy na równi zwykłych śmiertelników upchanych w ciasnych rzędach klasy ekonomicznej, co bogaczy zza firanki, którzy siedzą w szerokich fotelach i bezwstydnie objadają się kawiozem. Według brytyjskiego Instytutu Zdrowia Lotniczego w samej tylko Wielkiej Brytanii na tę chorobę

umiera co roku około dwóch tysięcy pasażerów. Bezpośrednią przyczyną powstawania zakrzepów jest bezruch. Brak miejsca w samolotach sprawia, że wszyscy, oszczędni czy rozrzutni, spędzamy większość lotu w jednej pozycji. Zamiast tego powinniśmy się gimnastykować. Jeśli więc podczas lotu na upragnione wakacje twój sąsiad zacznie robić przysiadki, nie patrz na niego z politowaniem – lepiej rób to samo. W ten sposób zwiększysz swoje szanse na dożycie końca urlopu.

ECS nie jest wcale jedynym niebezpieczeństwem, jakie czyha na ciebie w samolocie. Weźmy na przykład promieniowanie kosmiczne. Na powierzchni ziemi jest ono stosunkowo słabe, bo większość emisji pochłania lub odbija ziemiska atmosfera. Ale samoloty pasażerskie latają na wysokościach, na których atmosfera jest rzadsza,

a promieniowanie sto razy silniejsze. Podczas lotu transatlantyckiego każdy z pasażerów otrzymuje taką samą dawkę promieniowania co przy prześwietleniu klatki piersiowej. O ile dla człowieka latającego sporadycznie jest to zupełnie nieszkodliwe, o tyle stali klienci linii lotniczych i obsługa pokładowa są już w gorszej sytuacji. Jak dowodzą badania, piloci samolotów pasażerskich przyjmują w ciągu roku więcej promieniowania niż pracownicy zatrudnieni w elektrowniach jądrowych, a stewardesy na trasach transatlantyckich otrzymują równoważność 250 prześwietleń. Najgorzej jest w samolotach ponaddwukłowych. Jeśli marzysz o locie *concorde*, to lepiej wybij to sobie z głowy. *Concorde* lata nie tylko 20 razy drożej, lecz także dwa razy wyżej niż zwykłe odrzutowce. A to znaczy, że jego pasażerowie są wystawieni na silniejsze promieniowanie.

Czy zastanawiałeś się kiedyś, czym oddychasz w samolocie? Jeśli myślałeś, że powietrzem, to grubo się mylisz. W kabinie panuje takie samo ciśnienie jak na szczycie Rysów (2500 m n.p.m.) – czyli niższe od tego, w którym normalnie żyjemy. Powietrze jest rzad-

sze, a w każdym wdychanym haucie zamiast 25 jest tylko 15 procent tlenu. U niektórych pasażerów różnica ta powoduje senność, zaburzenia wzroku i trudności z koncentracją. Lepiej jest tylko w kokpicie. Zdarza się, że podczas gdy pół samolotu przysypia z niedotlenienia, piloci raczą się powietrzem 10-krotnie bogatszym w tlen niż to, czym oddychają pasażerowie.

Jakby tego było mało, tylko połowa tego „dietetycznego” powietrza jest na bieżąco wymieniana. Pozostałe 50 procent przechodzi przez filtry i trafia z powrotem do kabiny. Urządzenia zasysające powietrze z zewnątrz samolotu prawie nigdy nie chodzą na pełnych obrotach, ponieważ ich praca podnosi zużycie paliwa. Częściowe odłączanie klimatyzacji jest sprawdzonym sposobem na obniżenie kosztów eksploatacji samolotu. Linie lotnicze sięgają po tę metodę bez najmniejszych skrupułów. Tymczasem niektórzy lekarze alarmują, że „stare” powietrze jest szkodliwe dla ludzi, a recyrkulacja przyczynia się do rozprzestrzeniania chorób.

Życzymy przyjemnego lotu.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

SENNICZEK ŚCIŚLE JAWNY

Echu odpowiadać – jak już się za coś weźmiesz, trudno ci skończyć.

Egzamin dojrzałości zdawać – o ile nie był to banalny koszmar postbaturalny, to znaczy, iż dojrzewa w tobie myśl, że czas spadać. Może nawet zdążyć zamiastu uprzewijając w twoim pracodawcy.

Ekscentrykiem być – twoje, dotąd centrowe, poglądy polityczne wydają ci się coraz bardziej anachroniczne.

EKG zrobić – nawet w sprawach sercowych lubisz mieć potwierdzenie na piśmie.

Erekcyjny akt podpisywać – podnieca cię słowo pisane.

Ezechiela cytować – o ile nie jesteś kaznodzieją, twój kultowy sunek do „Pulp Fiction” sprowadzi cię w końcu ze ścieżki sprawiedliwych na złą drogę.

Baraneusz Dobrodziejcz

Obraz wyrażę

Podaj hasło, które zilustrował Mariusz Wilczyński



Opowiedz: Włoch: jak śmierć na chłopskim.

Za 1000 złotych można (wynająć)

- na cztery godziny luksusowego lincolna. Możesz nim wyjechać do 50 kilometrów; za każdy następny kilometr zapłacisz 2,5 złote
- seicento na 16 dni – cena trochę wyższa, jeśli pożyczasz na krócej. Niektóre firmy wymagają jednak wpłacenia kaucji 10-krotnie wyższej niż koszt wynajmu
- klauna na przyjęcie na siedem godzin – w programie występy dla dzieci albo dla dorosłych
- prywatnego detektywa na 25 godzin dyskretnej obserwacji jednej osoby. Za każdy przejechany kilometr dopłacisz trzy złote
- 30-metrowe mieszkanie w centrum Warszawy na miesiąc
- 60-metrowe mieszkanie w katowickim familoku na cztery miesiące
- samolot typu Cessna 72 na rejs widokowy nad Poznaniem dla trzech osób
- sprzątaczkę na 250 godzin pracy na czarno

Wierzyć we własne szczęście



Nie wiadomo, dlaczego niektórzy ludzie są bardziej „fabularni” niż inni. Wydaje się, że więcej się u nich dzieje, więcej robią w życiu, więcej im się niby mimochodem przydarza. Mają więcej „instynktu szczęścia” niż inni. No dobrze. Więc wróćmy po raz kolejny do tej osoby, która po dwóch tygodniach spotkała zgubionego psa. Tak, tej, która znajduje w niespodziewanych miejscach różne rzeczy i która częściej okazuje swój dobry humor niż inni.

Ona też może czyta dla przyjemności więcej książek niż inni. W każdym razie znalazła w pewnym tygodniku konkurs polegający na odgadnięciu, z jakiej książki pochodzi podany cytat. Wysłała kupon z odpowiedzią. Nagroda była niebagatelna. Zwłaszcza że działo się to na początku naszej ustrojowej przemiany, kiedy jeszcze byliśmy nadzwyczaj wygłodniali „normalnych” wyjazdów. Nagrodą była rzecz dość niewyobrazalna – wycieczka dla dwóch osób do Izraela.

Wysyłając kupon, nasza bohaterka obiecała swojej koleżance z pracy i przyjaciółce, że jeśli wygra, weźmie ją na tę wycieczkę. Takie oświadczenie rozśmieszyło, ale i ucieszyło tę koleżankę. Przyjemnie pomyśleć, że ktoś o nas myśli. Po chwilowym zabawieniu się tą myślą zupełnie o sprawie zapomniała.

Tymczasem nasza optymistka konkurs wygrała. Po prostu. Tak podobno bywa, zwłaszcza jeśli to nie toto-lotek. Kiedy się o tym dowiedziała, zadzwoniła do niej i mówi: „Słuchaj, pakuj się, jedziemy na tę wycieczkę”. Na co koleżanka prosi ją: „Nie bądź taka. Nie można tak żartować. To nieładnie”.

Nie jest wcale łatwo uwierzyć we własne szczęście. Przeważnie na taką ocenę zdobywamy się dopiero, kiedy znajdziemy się w sytuacji skrajnej. Szczęście wydaje się albo kontrastem do nieszczęścia, albo wynikiem szczęścia „nadzwyczajnego”. A co z miłymi obietnicami przyjaciół?

W każdym razie dostaliśmy wspaniałe pocztówki z dalekiej podróży. Od obydwu.

Małgorzata Baranowska

m y ś l i

Być może to najuczulniejszy rodzaj miłości – kochać, nie posiadając.
Marion von Dönhoff

Wędrowiec idący drogą dochodzi do jakiegoś końca: tylko błędzenie nie ma kresu.
Seneca

Pamięć i tradycja w osobliwy sposób wymierzają sprawiedliwość.
Paweł Jasienica

Sumienia nie słychać, kiedy książki grają marsza.
Karol Bunsch

Doświadczenie uczy nas dostrzegać olbrzymią różnicę między dobrocią a pobożnością.
Pascal

Mowę wiatru tłumaczy szelest liści.
Wojtek Bartoszewski

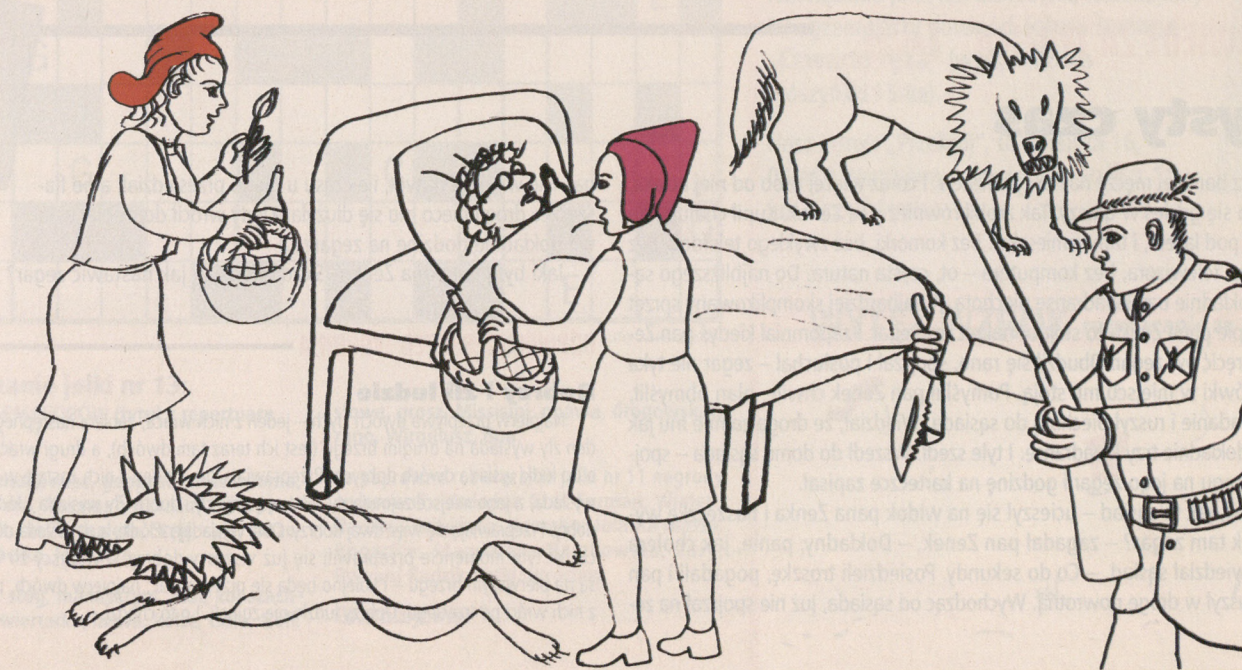
Niekiedy warto docenić nawet mniejsze zło.
Krecia P.

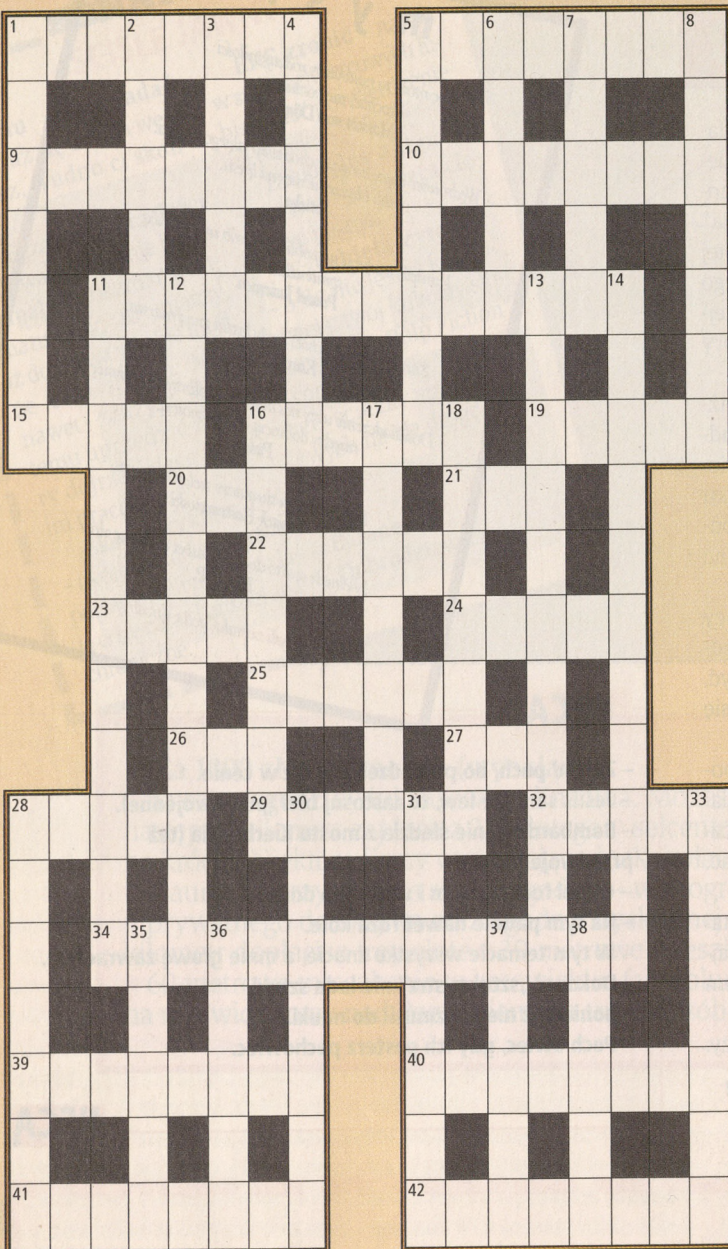
Myśli zebrana Stella Varcaby

HECA

- Zdechł pech, bo powodzenie teraz w cenie.
- Jeśliś sam nie lew, to zastosuj blef (przedwojenne).
- Bombardowanie śledzia z mostu Kierbedzia (też przedwojenne).
- Oddał łom na złom i wrócił do domu.
- Na tym padole nawet róża kole.
- W tym temacie wszystko znacie, a mnie głowę zawracacie.
- Dokonał „sztukmistrz” nie lada sztuki, ponieważ nieuka zmusił do nauki.
- Pech owiec, gdy ich pasterz pechowiec.

HECA





KRZYŻÓWKA nr 15

POZIOMO:

- 1 łaciaty junior
- 5 czapka na daszku
- 9 autor powiedzenia, że wszechświat i głupota ludzka są nieskończone
- 10 truciciel z blaszkami
- 11 kładzie do tóżka za dnia
- 15 patron VI miesiąca
- 16 wskaże północ także w sylwestra
- 19 obszerna peleryna z kapturem
- 20 ropucha olbrzymia
- 21 berliński dworzec
- 22 w kościele w grudniu nie po południu
- 23 Troja
- 24 nie na uniwersytecie, choć wyższe
- 25 płynie sobie przez Omsk
- 26 historyczny
- 27 na drzewie lub w czołgu
- 28 z pustego i karta nie wyciągnie
- 29 nie kwas
- 32 także Muminek
- 34 cecha jedzących cytryny bez problemu
- 39 do smalenia
- 40 na przykład Faradaya
- 41 posuwa się mimo upału
- 42 potwora, co szukała armatora

PIONOWO:

- 1 zadzierzysty w „Weselu”, autor słów: „panowie dużo by już mogli mieć, ino oni nie chcom chcieć!”
- 2 przyrząd z wiązką
- 3 przed morelami
- 4 domowe, muzyczne, zapalne
- 5 była i nie ma
- 6 Beskidzka nad Skawą z karczmą Rzym
- 7 prenumeratorka „Przekroju” tam nie szuka
- 8 kul... w siłowni, na... na plaży
- 11 latem o nim nie pamiętasz
- 12 demonstracja Samoobrony
- 13 wielkie poważanie
- 14 brak jej Amelii
- 16 trzymają się go żabki
- 17 ni srebro, ni złoto
- 18 urwała się z choinki
- 28 w białym stroju od czarnej roboty
- 30 zwolennik, poplecznik
- 31 cel kolei
- 33 miasto z boną
- 35 starcie klas poza szkołą
- 36 mądra główka
- 37 teraz zwie się Malawi
- 38 zdobędziesz je w bójce lub w sklepie z sadzonkami

Rozwiązanie krzyżówki nr 13:

POZIOMO: 1. szczygiełek 6. skakan-ka 7. sprawa 9. rewizja 10. zorza 12. Nakłó 14. zakłęcie 17. radiola 18. przegub 19. azotniak 23. szpik 26. styki 27. ataszat 28. natura 29. westalka 30. autokemping

PIONOWO: 1. szafarz 2. czaprak 3. Grabiec 4. łopian 5. klasyk 6. Szczep- brzeszyn 8. automobilista 11. zapiski

13. antenat 15. lilia 16. ekran 20. Okcy- wie 21. istotki 22. kynolog 24. plotka 25. kamrat

Za poprawne rozwiązanie krzyżów-ki nr 11 nagrody wylosowali: Anita Kaczkowska, Warszawa; K. Ostrow- ska, Legionowo; Bogusław Szumie- lewicz, Itża; Maria Wilczyńska, Łódź; Zbigniew Hobbarski, Gdańsk. Gratulujemy!

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

Czysty czas

Coraz bardziej męczy nas ta cywilizacja. I coraz więcej osób od niej ucieka, zaszywa się gdzieś w głuszy. Tak zrobił również pan Zenek. Kupił chałupę na uboczu, pod lasem, i tam zamieszkał. Bez komórki, bez zwykłego telefonu, bez radia, bez telewizora, bez komputera – ot, czysta natura. Do najbliższego są- siada dokładnie trzy kwadranse piechotą. A najbardziej skomplikowany sprzęt w chałupie pana Zenka to stojący nakręcany zegar. I zapomniał kiedyś pan Ze- nek nakręcić ów zegar. Obudził się rano, spojrzał i posłuchał – zegar nie tyka i wskazówki w miejscu mu stoją. Pomyślał pan Zenek chwilę, plan obmyślił, zjadł śniadanie i ruszył piechotą do sąsiada. Wiedział, że droga zajmie mu jak zwykle dokładnie trzy kwadranse. I tyle siedł. Wszedł do domu sąsiada – spoj- rzał w progę na jego zegar i godzinę na karteczce zapisał.

Sąsiad, jak to sąsiad – ucieszył się na widok pana Zenka i flaszeczkę wy- jął. – Jak tam zegar? – zagaądał pan Zenek. – Dokładny, panie, jak cholera – odpowiedział sąsiad. – Co do sekundy. Posiedzieli troszkę, pogadali i pan Zenek ruszył w drogę powrotną. Wychodząc od sąsiada, już nie spojrzał na ze-

gar. Nie wiedział nawet, ile czasu u niego przesiedział, a po fla- szeczce droga nieco mu się dłużyła. Kiedy wrócił do siebie, usta- wił dokładnie godzinę na zegarze.

Jaki był plan pana Zenka? Skąd wiedział, jak nastawić zegar?

ODPOWIEDŹ SPRZED TYGODNIA

Dobrzy i źli ludzie

Najpierw przepływa dwóch złych – jeden z nich wraca, zabiera następnego złego. Je- den zły wysiada na drugim brzegu (jest ich teraz tam dwóch), a drugi wraca. Wysiada, a do łódki wsiada dwóch dobrych. Przepływają się – jeden z nich zostaje w łódce, drugi wysiada, a jego miejsce zajmuje zły. Wracają więc zły i dobry. Zły wysiada z łódki, a wsiada dobry. Przepływają się więc dwaj dobrzy. Obaj wysiadają z łódki, a zły wsiada do łódki i wr- ca. W tym momencie przepływali się już wszyscy dobrzy, a wszyscy źli w tej chwili są na pierwszym brzegu – i kolejno będą się przepływać: najpierw dwóch, potem jeden z nich wróci po trzeciego. Dobrzy ludzie nie zginęli. I o to chodzi.

JOLKA nr 15

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

A8 – L8 – D7 – J17 / L5 – I16 – G13 – A10 – K8 – C2 / D12 – G2 / A17 – E4 – B13 – K16 – Ł13 – D9 – J8 – G1 / K1 – Ł3 – B7 – G16 – F7 – A2 / J11 – C13 – C4 – A15 – E17 – I17 – G6 – J15 – K4 – G10 /, E1 – D14 – K17 / B8 – A16 – Ł2 – I14 – B3 – H5 – D6 / D5 – H6 – L6 – Ł16 – I10 – Ł4 – K2 / J6 – Ł10 – A1 – G15 – F11 – E15.

Wyrazy 10-literowe:

• kaczuska, czapeczka, cytrusek • śred- niówka dla recytatora

Wyrazy 9-literowe:

• druh na wakacjach • ot, płot

Wyrazy 8-literowe:

• czerwieni się w zieleninie • całe menu mene- la • honorowi niemiła • wynajmowany przez otellów • rujnuje • kręgowiec Szczepanika

Wyrazy 6-literowe:

• warkocz z ekwipunku dawnego wojaka • jeden znany ze Złota Renu, drugi – ze złota w Montrealu • lifting fotki • rośnie bardzo daleko • Gustave od wieży • wie, jak nie wydać za dużo

Wyrazy 5-literowe:

• stolica europejskiego państwa wielkiego jak pól Krakowa • jarecki Salomona • VAT

jako akwarelista odczytany • szczelina Apollina • zło za zło • sztandarowa gadka • ziarno do ziarnka, uzbiera się danko • rączka kobiałki lub... noga kawalerzysty • niejadek Chotomskiej • król idoli • pod- ziemny okres w życiu toporów • Bohun dla kniażni i Horpyny • w zroście, w wyraże- niu, w zestawieniu • komunikacyjny też można przeciąć, ale nie mieczem • wier- my w lepsze • kładzie próbki na kubki (smakowe) • dusza herbaty • kasa z kasy

Wyrazy 4-literowe:

• wszyscy • chata magnata • rywalizują z ekranem • świni obycia zazdrości • najbar- dziej bajeranckie jezioro świata • sklep jak dział dzieł



AUTOR: JERZY BUCZEK

Rozwiązanie jolki nr 13:

MUZYKA SEMAFORÓW (tytuł z repertuaru grupy RSC).

Rzędami: smokowiec, geograf, niewiadoma, fuks, wdowa, koszmar, okrasa, Odra, rol- mops, Zych, stolik, toaleta, Stryj, spis, chrze- śniak, gotówka, lepszcze.

Kolumnami: stóg, manuskrypt, rzut, konszach- ty, Ojców, wiertarka, larwa, kolce, ciało, trefli,

słowa, grosz, Missisipi, obawa, drogowskaz, runo, Wirgiliusz, figa.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 11 nagrody wylosowali: Jadwiga Graś-Furman, Wieleń; Barbara Skibińska, Koszalin; Jolanta Mazur, Bogacice; Magdalena Raczowska, Żary; Ryszard Radzikowski, Wrocław.

Gratulujemy!



MOJO DEWIZO:
Z ŻADNO LUIZO,
Z ŻADNO CECYLIO,
(NI Z WODNO LILIO),
Z ŻADNO KRYSZYNO,
ZOFIO, MALINO,
Z MŁODO, CZY STARO
(SO CAŁO CHMARO),
Z BRZYDKO, CZY ŁADNO
(W OGÓLE Z ŻADNO),
TYLKO Z JEDYNO
MOJO DZIEWCZYNO.

NIE WSZYSCY MOGO
IŚĆ TAKO DROGO,
BY ŻYCIA SEDNO
MIEĆ TYLKO Z JEDNO,
LECZ TYŚ, ILONO,
DLA MNIE STWORZONO,
ZDEJM WIĘC KIMONO
I BĄDŹ MI ŻONO!

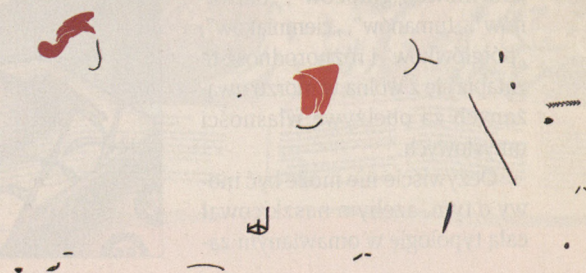


Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 21 kwietnia (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy powieści Johna Irvinga „Czwarta ręka” (wydawnictwo Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 15 lub Krzyżówka 15.



WYTEŻ WZROK rozwiązanie ze stron 70.-71.



Głupieź

Amerykańskie seriale kreowane są przez durniów, a od nadmiernej konsumpcji tych filmów także i widz stopniowo kretynieje

W dziedzinie wielkiej różnorodności ludzkich potencjałów umysłowych można przeprowadzić od siekiery podział na osoby rozumne i pozbawione rozumu. Wystarczy zestawzić znajdujące się w dużym, dobrym słowniku określenia, ażeby się przekonać, jak skromna jest liczba nazw wskazujących na przymioty, którym *homo sapiens* zawdzięcza swoją nazwę, w porównaniu z rozmaitością słów typujących istoty naszego gatunku, którym łacina przydałaby raczej miano *homo stultus*.

Oprócz określenia „mędrzec” sugerującego szczytowanie intelektualne, prócz słownikowych haseł, takich jak „głowacz”, „myśliciel”, może i „geniusz”, a wreszcie „inteligent”, spotykamy po drugiej stronie tego działu smutną obfitość słów, które bywają uznawane nawet za wyzwiska. Na ogół uważa się, że „idiocie” przysługuje przydawka „skończony”. Jest to w pewnym sensie idiota doskonały, o którym powiada język angielski, że jest *science proof* oraz *knowledge resistant*. Natomiast do „kretyna” wydaje się bardziej pasować dodatkowe określenie „umysłowy”. Ponadto mamy „durniów”, „głupców”, „bałwanów”, „tumanów”, „ciemniaków”, „półgłówków” i różnorodność ta zatapia się z wolna w morzu uważanych za obelżywe własności umysłowych.

Oczywiście nie może być mowy o tym, ażebym naszkicował całą typologię w omawianym za-

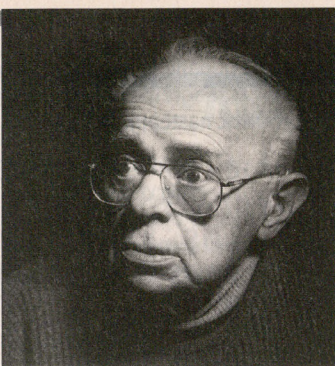
kresie, pragnę jednak ograniczyć się do pewnej szczególnej frakcji osób, które charakteryzują się niezgułowatością wszechstronną. Dla odpoczynku po nadmiernej konsumpcji książek i pism naukowych przez wiele tygodni oglądałem w telewizji satelitarnej seriale, głównie amerykańskiego chowu. Doszedłem w ten sposób do swego rodzaju diagnozy, że amerykańskie filmy odcinkowe kreowane są przez twórców, którzy już to sami są skończonymi bałwanami, już to tylko kompletnych durniów udają.

Szczególnie interesujący wydaje mi się przypadek serialu ukazującego Supermana i jego przygody, ponieważ scenarzyści wpadli na pomysł po prostu najzupełniej genialny w szczytowaniu głupoty. Superman i jego partnerka Lois pracują w redakcji, przy czym

zdarzają im się nieustannie spotkania z czarnymi charakterami szykującymi Supermanowi ponury kres. Wszystko wyciągnięte jest z paprochów prastarej kinematografii thrillerowej, która porodziła laboratoria rozmaitych Frankensteinów z ich rupieciarnią alchemiczną, z promieniami niebieskimi, czerwonymi i nawet zielonymi, które stanowią w sumie zbiór cegiełek układanych w rozmaite konfiguracje.

Prawdziwym triumfem bałwanstwa jest to, że na początku każdego odcinka partner z partnerką niezupełnie mają się ku sobie, lecz w zakończeniu nie tylko padają sobie w ramiona, ale ponadto duchowny właściwego wyznania udziela im ślubu (wzruszające widowisko, w którym uczestniczą oprócz Supermana i jego oblubienicy rodzice tego wspańskiego Amerykanina). W następnym odcinku znowu słabo się znają, znowu ktoś chce ukatrupić ją albo jego, znowu szwarczarakter szykuje dla Supermana wilcze doły, a czasem nawet na naszą planetę wali się asteroida, którą Superman oburącz z największą łatwością ekspediuje z powrotem

Co Pan na to, Panie LEM?



FOT. BOGDAN KRZEL



RYŚ. DMITRIJ SZERWONKOW-KISMELOW

w kosmos. To jednak, że jest on obdarzony obficie zdolnościami takimi jak lewitacja, rozpadanie się w drobny mak i składanie z powrotem, strzelanie oczami, które wyrzucają promienie likwidujące wszelką broń i tym podobne, należy do banalnej rekwizytorni gatunku.

Udało mi się na podstawie obejrzenia innych seriali amerykańskich wykręcić ich oczywistą prawidłowość, że żaden z bohaterów nie może zginąć, ponieważ na prostą koncepcję zmartwychwstawiania inscenizatorzy jakoś nie wpadli. Rozpaczliwe poszukiwanie nowych fabuł prowadzi z reguły w następującym kierunku: zazwyczaj bohater, najczęściej detektyw, działa w pojedynkę. Niedługo, kiedy wyczerpie się już repertuar schematów, heros zostaje zdublowany albo też ulega amnezji i akcja zmierza do tego, ażeby sobie w końcu przypomniał, kim jest. Potem bohater zaczyna poruszać się nie tylko w przestrzeni, lecz także w czasie. Również jego krewni są mieszkańcami innych planet.

Kiedy się ogląda tego rodzaju wizualne elukubracje przez dłuższy czas, człowiek przekonuje się, że obciążony obfitością kolorowych bałwanstw płynących z transponderów sam stopniowo kretynieje. Oczywiście wszystkie z pozoru pełne napięcia sytuacje fabularne są przerywane reklamowymi wstawkami, które widz zmuszony jest łykać niczym gęś przemocą tuczona. Bodajże nikt nie dostrzega homeryckiej miszkulancji masowych mordów obłąanych pomidorową zupą i lirycznych scen propagujących pełną słodczy miękkość papieru klozetowego.

STANISŁAW LEM
28 marca 2002

Fascynująca historia człowieka, który przez 50 lat nosił na swoim ciele stygmaty

Odcinek 26 (1) Ojciec Pio cena z medalikiem 4,29 zł (zawiera VAT 0%)

Jan Paweł II KOLEKCJA

Księga Świętych

BLIŻENIA STYGMATYCZ DZIEJACH KOŚCIOŁA

GOŚCIÓI DZISIAJ GRUPY ODOLITWNE OJCA PIO JAK GRZYBY PO DESZCZU

KRONIKA

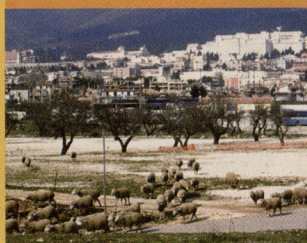
KONKURS CZY ZNASZ SWOJEGO PATRONA

Ojciec Pio

Stygmatyk, uzdrowiciel, niewolnik konfesjonu



Medalik z Ojcem Pio w prezencie



Do wygrania

12 dniowa pielgrzymka dla dwóch osób do Sanktuariów Italii ufundowana przez Duszpasterstwo Pielgrzymkowe Księża Pallotynów APOSTOLOŚ



W kioskach od 11 kwietnia!

PROSIMY O ODPOWIEDŹ

Dlaczego
nie ma
karmy
dla kotów
na bazie
myszy?

FILUTER



HE!

- O skróceniu czasu pracy można myśleć dopiero wtedy, kiedy się wynajdzie dla spędzania czasu coś równie niemęczącego i taniego jak praca.

KINOTEATRZYK P. JURKA

„Władca Pierścieni:
Drużyna Pierścienia”

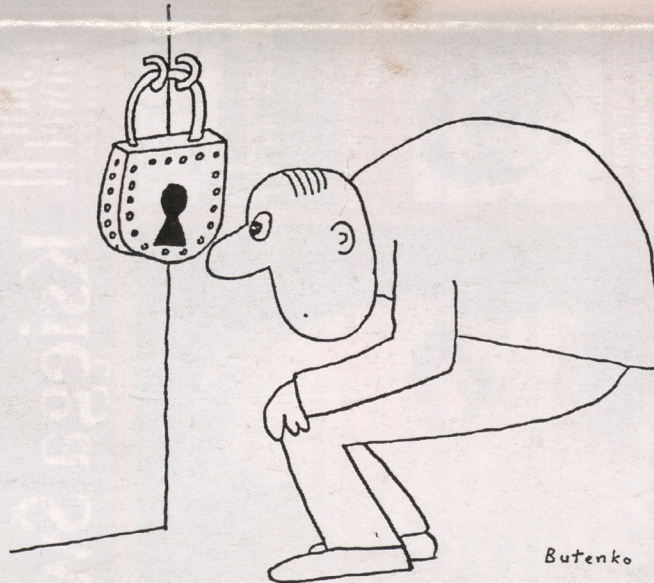
Występują:
ZNAKOMITA
OBSADA FILMU
CHÓR KRYTYKÓW
PUBLICZNOŚĆ

ZNAKOMITA
OBSADA FILMU
(jak jeden mąż odkrywa
Tolkiena dopiero po otrzymaniu scenariusza, o czym z rozbrajającą szczerością donosi w licznych wywiadach)

CHÓR KRYTYKÓW
(nerwowo wertuje
archiwalne numery
miesięcznika „Fantastyka”)

PUBLICZNOŚĆ
(złośliwie porównuje film
Jacksona do pewnej polskiej
produkcji fantasy)

THE END/KURTYNA



Rys. Bohdan Butenko

TRUDNA WIARA

Na internetowej stronie – nomen omen – poświęconej świętym <http://mb-soft.com/believe/tpo/joachim.htm> dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy o świętym Joachimie:

„Święty [Joachim] był ten mąż od Święty [Anne] i ten ojciec od matka boska. On jest nie nadmieniony w ten Biblia. Ten [nonbiblical] Ewangelia od Jakub, [an] apokryficzny

książka, jest ten tylko źródło od informacja około jego. Święto dzień (podzielony z Święty [Anne]): Lipiec 26 (zachodni); Klan. 9 (wschodni)”.

Dla głęboko wierzących jest jeszcze „Zaawansowany Informacja (katolik Perspektywa)” oraz link do „Święty [Anne]”. Tylko co z matka boska?

(Przyniósł wierzący z Warszawy)

czarno na białym



Adam Małysz. Wyskoczył z czarnego jeepa.

(Nadesłał Mariusz Kocurek z Krakowa)

JAN JAKUB NAŁĘŻYTY Czerwony Kapturek

Czerwony Kapturek lasem szedł.
Wbrew nazwie była to dziewczynka.
Do babci szedł Kapturek, wnet
Na swojej drodze spotkał wilka.

Stał Kapturek więc bez słowa,
A wilk językiem groźnie mlasnął.
Popatrzył i zaproponował
Jej rzecz zupełnie niedwuznaczną.

Kapturek owszem, acz niechętnie.
Cóż mu innego pozostaje.
Choć bajka inną miała puentę,
Wilk ów, niestety, nie znał bajek.

Teraz wystarczy chyba przyczyn,
By ta historia morał miała:
Wilk syty
Babcia cała.

HI!

- Gdyby w Norwegii produkowano samochody, byłyby to z pewnością samochody marki Fiord.

KUCHARZE, WYSTĄP

„Życie” z 9 lutego zamieszcza notatkę o pielgrzymce rosyjskich żołnierzy do Lourdes. W tekście czytamy między innymi:

„Przegotowanie pielgrzymki omawiał prawosławny duszpasterz armii”.

Jeśli chodzi o przegotowanie, znacznie bardziej przydatny byłby chyba wojskowy kuchcik? Może być prawosławny.

(Nadesłał Hubert Pobłocki z Gdańska)

HA!

- Raport Kinseya o życiu seksualnym kobiet dowodzi niewątpliwie jednej rzeczy: miałowicie, że kobiety o wiele za dużo mówią.